OPOWIADANIA

Ciotki Ludmiły

przez

Teresę Jadwigę

Warszawa.—Nakład Gebethnera i Wolffa.

OPOWIADANIA CIOTKI LUDMIŁY

Pogrzeb włościański.

OPOWIADANIA

CIOTKI LUDMIŁY

O DAWNYCH CZASACH I LUDZIACH

PRZEZ

TERESĘ JADWIGĘ

WYDANIE NOWE

Z rycinami Juliana Maszyńskiego

WARSZAWA
NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA

Дозволено Цензурою.
Варшава, 19 Іюня 1902 года.

DRUK. RUBIESZEWSKI I WROTNOWSKI NOWY-ŚWIAT № 34

WSTĘP

do części pierwszej.

zdaje mi się, że to było wczoraj — tak świeżo mam ten wieczór w pamięci, tak mi żywo stoją przed oczami wszystkie te postaci, ktore skreślić zamierzam... Dzień chylił się ku zachodowi, dzień cichy, letni, pogodny; słońce schodziło zwolna w purpurze na wysokie łańcuchy gór Alp i rzucało złociste swe promienie ziemi na pożegnanie — i jasno było na niej, jasno, cicho, pogodnie: od łąk, co rospostarły się u stóp Alp, podnosiły się białe mgły, utworzyły lekkie, przejrzyste wieńce i okrążyły niemi ściany skał, a na szczytach tych skał pasterze rozpalili ogniska, na łąkach kwiaty stulały swe kielichy i o śnie zamyślały, a nad niemi unosiły się roje owadów, sprawiając leciuchnemi swemi skrzydły cichy, monotonny szmer... Poza temi łąkami, naprzeciw

łańcucha gór, co je okalały, wznosił się domek jednopiętrowy, drewniany, w guście szwajcarskim; na pierwszem piętrze widać było balkon, którego drzwi do pokoju wiodące na oścież były otwarte; silny zapach kwiatów, lecący od łąk, szmer cichy, jaki tworzyły owady, dostawał się przez owe drzwi do pokoju i pełen on był woni, pełen promieni słonecznych...

W pokoju tym siedziało kilka osób, wszyscy jakoś dziwnie zadumani, zupełna cisza panowała w nim, nikt do siebie nie mówił, — może szmer owadów ich uśpił, może wieczór letni rozmarzył...

Najbliżej drzwi siedziała dziewczynka czternastoletnia, w ciemnej sukience, z ciemnemi włosami, które, splecione w dwa warkocze, spadały jej swobodnie na ramiona. Jakaś nieokreślona tęsknota malowała się w dużych, siwych jej oczach, długą czarną rzęsą przysłoniętych; jakiś smutek poważny malował się na półdziecięcej jej twarzyczce—lecz nie dziw,—choć młodziutką była, miała ona już wspomnienia za sobą: nie tutaj wśród Alp stała niegdyś jej kołyska, ale tam gdzie Wisła płynie, w jednej z wiosek Mazowsza. Lat ośm nie widziała ona już tej wioski, ale pamiętała ją dobrze w snach i we wspomnieniach widywała ją snać nieraz, bo nam, młodszemu rodzeństwu, mowiła o niej często. Była to najstarsza moja siostra, moja dobra, ukochana Terenia... I teraz oto zapach polnych kwiatów, ciepły powiew wiatru, lecący od łąki, przypomniały jej

może wioskę rodzinną—o niej to pewno tak się zamyśliła, o modrzewiowym dworku, który ja też pamiętałam dobrze, o którym lubiłam mówić z siostrzyczką Terenią, w którym nauczyłam się chodzić,—o pięknym sadzie, pełnym grusz, śliw i jabłoni, który otaczał ów dworek, — o murowanym kościołku i cmentarzu, co się z nim łączył. Najlepiej pamiętałam dwie mogiły tego cmentarza — obie były darnią kryte, obie kwiatami osadzone, nad obiema wierzby płaczące zwieszały swe gałęzie wiotkie; pod jedną spał w trumnie mój dziaduś, pod drugą babunia, a nad obiema krzyż kamienny roztaczał swe ramiona; na tym krzyżu czarnemi zgłoskami były wypisane następujące wyrazy:

„Tomasz Gałęzowski i Anna Gałęzowska
jego małżonka tu spoczywają. Pokój, którego
za życia nie zaznali, cieniom ich.“

Siedząc w kącie kanapy naprzeciw Tereni, patrzyłam na nią i myślałam o tem wszystkiem, o czem wspomniałam w tej chwili, i pewną byłam, że ona również myślami do dworku naszego modrzewiowego odbiegła.

Opodal, przytulone główkami do siebie, siedziało dwoje najmłodszych z mego rodzeństwa: dziewięcioletnia Anielcia, o główce pełnej złotych kędziorów, taka bieluchna, przezroczysta, delikatna, że rzekłbyś, powiew wiatru przyniósł ją na ziemię, — obok niej młodszy brat Marcyś, tęgi chłopiec. Ci dwoje wspomnień jeszcze nie mieli,

ze młodzi byli na to, szmer owadów ich ukołysał, drzemali napół. Obok kanapy w jednym szerokim fotelu siedziały dwie moje starsze siostry: Mania o twarzyczce przypominającej wielce Madonnę Rafaela i Magdzia z figlarnym uśmiechem na ustach. Te coś z sobą szeptały, lecz ręczę, że nie o wiosce: ideałem Mani była wielka lalka z warkoczem płowym, Magdzi — figle i psoty; pewno Mania zwierzała się Magdzi, jaką suknię lalce uszyje, lub Magdzia opowiadała, jak psotę wyrządziła Marcysiowi. Mówiły cicho, by nie spłoszyć dumań cioci Ludmiły, która siedziała na przeciw nich w miękkim fotelu, wpatrzona w kwieciste łąki Meranu... Na bladej jej twarzy smutek cichy był wypisany, na czole cierpienia przebyte zarysowały głęboką, podłużną brózdę, w oczach słodycz bezgraniczna i powaga się malowały... Ciocia Ludmiła miała o czem dumać — wiele, wiele wspomnień miała za sobą, wiele, wiele już przeżyła i przebolała... Dwadzieścia kilka lat liczyła ona, gdy pożegnała wioskę rodzinną, gdy z chorym bratem i z jego żoną, delikatną jak cieplarniany kwiatek, który bolesne przejścia i gwałtowne zmiany losu już nadwarzyły, i z tą gromadką, co ją teraz otacza, przeniosła się z Mazowsza między Alpy, do Meranu; tu brata i jego żonę pochowała, tu została jedyną opiekunką nas sześciorga sierot i dobrą, troskliwą była matką. Rośliśmy szczęśliwie pod jej okiem, chowaliśmy się zdrowo, byliśmy jedyną jej pociechą

w dniach tęsknoty, co serce jej tłoczyła, bo ciocia Ludmiła do wioski rodzinnej, do swoich wracać nie mogła—lekarze obawiali się dla niej północnego klimatu, groziła jej bowiem choroba płuc.

Zmrok powoli począł pokój ogarniać. Ciocia Ludmiła poruszyła się w krześle, westchnęła, potarła ręką czoło, i obiegłszy wzrokiem gromadkę dzieci, uśmiechnęła się do nas.

— Już dnie krótkie — rzekła, — wieczory się rozpoczynają, postaram się je wam uprzyjemnić ciekawemi opowiadaniami.

Zerwaliśmy się wszyscy, nawet Marcyś i Anielcia otrząsnęli się z drzemki, przybiegliśmy do niej.

— O czem będziesz opowiadać, ciotuchno?— zapytaliśmy chórem.

— O tem, co było kiedyś, o tych, co kiedyś żyli, o dawnych czasach i zwyczajach—odparła ciocia.

Tu położyła dłoń na głowie Tereni.

— Dzieweczko!—dodała, do niej zwróciwszy się wyłącznie—co ja opowiem, ty z czasem opiszesz i podzielisz się tem ze wszystkiemi dziećmi, które kocham; jesteś najzdolniejsza z rodzeństwa, dlatego zwracam się z tem żądaniem do ciebie.

— Dobrze, ciotuniu! — odparła Terenia z powagą, bo dumną się uczuła z obowiązku na nią włożonego—teraz spiszę twoje opowiadania, a gdy dorosnę, to poprawię i wydrukować każę; mów tylko.

Ciocia uśmiechnęła się.

— Zobaczymy, czy potrafisz tak napisać, aby wydrukować było warto — rzekła — tymczasem przynieś tę wielką kartę, co wisi nad mem łóżkiem, i połóż ją tutaj na stole.

Wyręczając Terenię, pobiegłam spełnić rozkaz cioci i wróciłam niebawem z kartą Europy, położyłam ją tam, gdzie ciocia poleciła; ona podniosła się, siadła na kanapce przed stolikiem, myśmy ją otoczyły wokół. Słońce rzucało już ostatnie swoje promienie, złoty snop światła padł na kartę Europy. Ciocia uśmiechnęła się.

— Tam, gdzie ten promień słoneczny pada, tam od dawien dawna mieszkał lud, Słowianami zwany, lud, od którego my pochodzimy; o nim opowiadać wam będę — rzekła. — Lud to rolniczy, cichy, pobożny, do którego mile wdzięczyły się rozległe łany zbożami okryte, uśmiechały się kwieciste łąki, który całem sercem kochał ziemię swoją i tak czuł się na niej szczęśliwym, iż nazwał ją światem od światła... jasno mu widocznie na niej było.

Czy widzicie tu na północy — ciągnęła dalej ciocia — to morze, Baltyckiem zwane? Dziś jest to wielka zatoka między Danią, Szwecyą, Rosyą i Prusami; niegdyś siedziby Słowian na północ aż do jego brzegów sięgały, aż do jezior Ładogi i Onegi, do początków rzek Peczory, Onegi i Północnej Dźwiny; na południe aż do morza Czarnego o górzystych wybrzeżach, aż do Adryatyku, zwanego także Sinem morzem — tego, co jest zatoką morza

Śródziemnego, między Włochami, Dalmacyą i Turcyą — aż do szerokiego Dunaju, którego wody z zadziwiającą szybkością i siłą się toczą. Zachodnią granicę stanowiła rzeka Elba; ta wypada gwałtownie z gór czeskich, lecz potem toczy poważnie i powolnie swe wody; na wschód Słowianie dotarli aż do okolic poblizkich źródłom Wołgi, najznaczniejszej ze wszystkich rzek europejskich.

Lud ten wielki dzielił się na liczne plemiona: na zachodzie siedzieli Czesi, Morawianie, Łużycanie, Wilcy, Lutycy, Obotryci i wiele jeszcze innych plemion, których dziś śladu niema; na wschodzie Drewlanie, Wyłynianie, Nowogrodzanie, Połoczanie, Krywiczanie i t. d.; na południu Słowacy, Kroaci, Serbowie; we środku, na szerokim płacie ziemi zawartym pomiędzy Odrą i Wisłą — Pomorzanie, Kaszuby, którzy ściągali do Baltyku, Polanie, Łęczycanie, Kujawianie, Mazowszanie, Chrobaci. O tych wszystkich Słowianach mówić wam będę...

To powiedziawszy, ciocia poprawiła się na krześle i zamierzała rozpocząć opowiadanie, gdy wtem u drzwi dało się słyszeć lekkie stukanie. Pobiegłam otworzyć. W progu ukazała się dobra nasza znajoma, pani L., z trzema córkami i synem. Najstarsza z dziewczynek, Zosia, była serdeczną przyjaciółką Tereni—jak tamta, miała wielkie, pełne smutku oczy; druga, Emma, o żywych, siwych oczach, serce Magdzi i Mani posiadała; ja kocha-

łam Adelę, a obie kochałyśmy książki. Wacław, najmłodszy z dzieci pani L., był przyjacielem Marcysia. Zawsze rada tym gościom, dzisiaj nie tak wesoło jak zwykle ich powitałam, bo przerwali opowiadanie cioci; nie wróciła ona już tego wieczoru do rozpoczętej powieści, gdyż pani L. została u nas na herbacie—lecz jakże byłam potem rada z tych odwiedzin! Pani L., dowiedziawszy się o uczynionej nam przez ciocię obietnicy, prosiła, by jej córki mogły też przysłuchiwać się tym opowiadaniom. Terenia gorąco poparła ten projekt, ciocia zgodziła się nań. Odtąd zawsze, gdy zmrok zaczął zapadać, Zosia, Emma, Adelka i Wacio przychodzili do nas, ja rozkładałam na stole wielką kartę Europy, potem otaczaliśmy stół, ciocia siadała wśród nas — i czasem do dziesiątej, czasem dłużej nawet, opowiadała ciekawe dzieje przeszłości, opowiadała bez książki, bo o książkę polską zbyt trudno było w Meranie, — czerpała z pamięci i wrażenie czyniła; słuchaliśmy jej w skupieniu wszyscy, a nazajutrz Terenia spisywała pilnie to, cośmy się od niej dowiedzieli.

Dziś lat wiele już bardzo minęło od owych miłych wieczorów, w Meranie spędzonych, i wiele zmieniło się od tego czasu. Ciocia Ludmiła spoczywa już dawno pod jedną z mogił cmentarza i moja dobra, moja najdroższa Terenia pożegnała nas także; przez lat kilka po śmierci ciotki Ludmiły zastę-

powała jej troskliwą opiekę, poczem za nią podążyła...

I wróciliśmy w istocie do naszej wioski rodzinnej. Wuj, który ją nabył po wyjeździe rodziców, dowiedziawszy się o naszem sieroctwie, wezwał nas do siebie i pracujemy, jak umiemy: Mania, zawołana gospodyni, robi masło, sery, konfitury i na sprzedaż do miasta wysyła; Magdzia wesołym humorem wszystkich rozwesela, przytem leczy chorych; Anielka hoduje kwiaty i sadem się zajmuje, a jej owoce słyną na całą okolicę; Marcyś z wujem w polu pracują, ja uczę dziatwę wiejską.

Przeglądając dawne pamiątki, znalazłam spisane przez drogą moją Terenię opowiadania cioci Ludmiły, przejrzałam je i wydałam drukiem, aby, stosownie do cioci życzenia, wszystkie dzieci mogły je poznać.

CZĘŚĆ PIERWSZA.

I.

Słowianie.

Charakter, obyczaje, urządzenia społeczne.

Kiedy Słowianie przybyli z Azyi do Europy, o tem nikt na pewno nie wie, to jednak wiadomo, że w czasach już bardzo dawnych zamieszkali szerokie przestrzenie ziemi za Dunajem, że należą do szczepu indo-europejskiego, że jeszcze w czasach przedhistorycznych znajdowali się już w Europie, i rozpostarli się w niej od morza Baltyckiego do Czarnego i Adryatyku, od Elby do Wołgi; że dzielili się na liczne plemiona, które tworzyły jakby jedną wielką rodzinę, łączyły ich bowiem jedne obyczaje, jedno urządzenie, jeden charakter, tylko od dawien dawna różniły się te plemiona między

sobą mową, a różnice zachodzące w językach stawały się co raz wyraźniejsze; później i obyczaje przyjęli różne, i charakterem jedni do drugich już nie byli podobni, i religię i sposób urządzenia nie wszędzie mieli jednakowy. Różne okoliczności były tego przyczyną: wpływy sąsiednich, obcych ludów, koleje losu, jakie przechodzili.

Dawni Słowianie byli charakteru łagodnego, kochali życie ciche, pracę domową, byli bardzo pobożni. Napadnięci, bronili się odważnie; rośli krzepcy, mieli ciało zdrowe, zahartowane prostem życiem, jakie wiedli, i trudami łowiectwa, jakiemu się oddawali; siłę też mieli wielką: złamać podkowę, rozerwać powróz przychodziło im z taką łatwością, jakby gałązkę łamali, lub zrywali nitkę. W walce niełatwo odstępowali, używali do obrony dzidy, miecza, oszczepu i łuku ze strzałami jadem zaprawionemi; zbroi nie znali, zasłaniali się tylko tarczą; gdy szli na nieprzyjaciela, to najczęściej odzieży prawie nie brali na siebie. W razie niebezpieczeństwa kryli się pod wodę, a umieli bardzo długo utrzymać się pod nią za pomocą trzcin poszytych, przez których końce ponad powierzchnię wody wystawione wciągali powietrze dla oddychania. Jeśli w bliskości wody nie było, lecz lasy, wówczas w razie niebezpieczeństwa kryli się w nich, pociągając za sobą nieprzyjaciela w miejsca najniedostępniejsze, ciasne, gąszczami zarosłe, w jakich najlepiej walczyć lubili. Porządku w boju Słowianie nie zna-

li, niechętnie potykali się w otwartych miejscach i walki rozpoczynać nie lubili — woleli niespodzianie wypadać z zasadzek; jeśli zaś wypadło im wstępnym bojem na nieprzyjaciela uderzyć, wówczas postępowali zwolna naprzód, krzycząc głośno, i dopiero nacierali na nieprzyjaciela, gdy ten na ich krzyk krzykiem odpowiedział; jeśli zaś nie uczynił tego, wracali do lasu i czekali zaczepki. Gdy zwyciężyli, nie mścili się na nieprzyjacielu, bo zemsta w ich sercach rzadko kiedy gościła; jeńców pobranych do niewoli trzymali do czasu w służbie, obchodzili się z nimi dobrze, a gdy im złożyli pewien okup, pozwalali powracać do domu, lub osiąść wśród Słowian. Nieraz niewolnik tak się przywiązał do swego pana, do rodziny i do ziemi jego, iż ciężko mu było z nimi się rozstawać. Wówczas Słowianie dawali mu posiadłość — boć ziemi w te czasy nie brakło, całe jej obszary niezaludnione do nikogo nie należały — i niewolnik obcym przestawał być dla nich, uważali go za brata. Jeśli dla obcych umieli być ludzkimi, tem więcej dla swoich: starych i chorych otaczali opieką, biednym nie odmawiali wsparcia, a że kradzież była u Słowian nieznaną, więc domy ich były zawsze otwarte, aby podróżny dniem i nocą wstąpić mógł do nich i spocząć. U zamożniejszych stoły były zawsze jadłem zastawione: miód, kołacze, pieczone mięso, ceber świeżej wody czekały głodnych i pragnących—ława strudzonych; gościnność była bowiem jednym z najpiękniejszych

przymiotów Słowian. Wolny czas od pracy chętnie oddawali zabawom, lubili życie towarzyskie, tańce, gonitwy, pieśni, dźwięki gęśli, chętnie gości podejmowali u siebie i hojnie ich przyjmowali, zbytków nie znali wszakże. Jak proste były ich serca, tak proste obyczaje: pili z rogów bawolich, jedli z mis glinanych, z domowej przędzy tkali płótno na ubranie, mieszkali w lichych chatach, najczęściej po lasach i trzęsawiskach rozrzuconych, w które obcy bez przewodnika nie ważył się zapuszczać. Lasy te i błota broniły Słowian od napaści wroga. Najzaciętszym ich nieprzyjacielem byli Niemcy, którzy siedzieli na granicy zachodniej, czyhali na Słowian, ustawicznie na nich napadali, podbijali drobniejsze ludy, wytępiali lub wynarodowiali; to też chaty Słowian miały zawsze kilka wnijść, aby w razie napadu łatwiej uchodzić mogli.

Słowianie dawniejsi zajmowali się rolnictwem, pszczelnictwem, rybołówstwem i myśliwstwem; życie ich domowe przedstawiało obraz czysto patryarchalny: ojciec był głową domu, był królem w rodzinie, królem dobrym, łagodnym, którego dzieci czciły jak świętość; niewiasty tak kochały mężów, iż często, gdy zwłoki męża palono, szły dobrowolnie na stos i ginęły w płomieniach. Rodzeństwo łączył serdeczny stosunek, brat dla brata gotów był życie oddać, a każdy wiedział, iż na pomoc rodzeństwa w razie nieszczęścia na pewno liczyć może. Ojciec rodziny zwał się starostą lub władyką,

miał on władzę zupełną nad dziećmi, był panem ich życia i mienia, był ich sędzią najwyższym. Mieli liczne i piękne przymioty Słowianie, lecz jak niema człowieka bez grzechu, tak i oni mieli wady, które ich gubiły: rody, plemiona, prowadziły często waśnie ze sobą, nie łączyli się Słowianie, lecz rodzielali na drobne państewka, stąd obcy łatwo ich pokonywali, stąd tyle plemion pod niemieckie jarzmo się dostało.

Rząd u Słowian był patryarchalny, na obraz rodziny utworzony: na czele plemienia, które kilkadziesiąt rodzin tworzyło, stał naczelnik, wybrany z pomiędzy ojców; ten prócz dowództwa na wojnie, miał godzić spory, sądzić winy, nagradzać cnoty, karać występki — jednem słowem miał te prawa i obowiązki, co każdy ojciec w rodzinie. Naczelnicy plemion nosili różne nazwy; południowe plemiona zwały ich żupanami, baszami, inne kneziami. Jeśli w rodzinie umarł ojciec, natenczas starszy brat zostawał starostą, pilnował spraw rodziny, dzielił pracę wśród swoich, żywność, odzież, sądził, wydawał wyroki, a bracia słuchać go musieli; lecz gdy nadużywał władzy, krzywdził rodzeństwo, wówczas młodsi bracia zwoływali sąd i albo zmuszali go do zmiany postępowania, albo władzę mu odejmowali i obierali jednego z pomiędzy siebie na jego miejsce. Jeśli umarł kneź, wówczas starostowie zwoływali wiec, narodowe zebranie, i nowego naczelnika z pomiędzy siebie wybierali, a często

synowi zmarłego oddawali tę godność, jeśli ojciec postępowaniem swojem pozyskał ich miłość i szacunek.

Z czasem rząd patryarchalny przybrał u Słowian charakter rządu monarchicznego. Kneziowie plemion zachodnich, zapatrując się na sąsiadów Niemców, z którymi mieli ustawiczne stosunki, poczęli rządzić jak władcy udzielni: otaczać się urzędnikami i rycerstwem; ziemię, którą się opiekowali, uważali za swoją własność; kmiecie, dawni właściciele ziemscy, stali się ich dzierżawcami; tym, co się odznaczyli w usługach im oddawanych, rozdawali obszary, niezamieszkałe wszakże przez nikogo; — tym sposobem wytworzyły się stany: urzędników, rycerzy czyli właścicieli ziemskich i kmieci czyli dzierżawców. Tym sposobem powstały: na zachodzie w wieku IX państwa: *Morawskie* z miastem Welegrodem, *Czeskie* u źródeł Elby w objętej czterema pasami gór kotlinie, z pięknem miastem Pragą; w wieku X państwo Polskie. Te brały cywilizacyę z zachodu. Na wschodzie powstało potężne państwo Ruskie, którego stolicą był Kijów, a z czasem stała się Moskwa; na południu Serbskie i Bułgarskie. Te trzy urządziły się na wzór państwa wschodniego Greckiego i stamtąd cywilizacyę czerpały.

Religia.

Religia Słowian w tych czasach, kiedy urządzenie mieli patryarchalne, była pogańską — po-

wstała ze czci przyrody. Bóstwa jej były nieliczne; wszystkie plemiona uznawały jednego boga najwyższego, któremu w ważniejszych chwilach składali ofiary, nieśli modły, wzywali jego pomocy; dawali oni temu bóstwu wszechpotężnemu, panu świata całego, bogowi piorunów, światła, jasności, różne nazwy. Prowe, Perun, Radegast, Jesse, Syarog, Światowid, Ładо — są odmianami jednego i tego samego pojęcia wszechpotęgi bożej. Prócz tego boga, najpotężniejszego ze wszystkich, czcili jeszcze pomniejsze bóstwa, jak: Marzannę—boginię śmierci [1]), Żywię—boginię żywota, Pochwista —boga wiatrów, Pogodę—boginię dni pięknych i t. d.; oddawali cześć słońcu i ziemi. Ziemię przedstawiali sobie jako kobietę: na wiosnę—jako młodą dziewicę, latem — jako małżonkę słońca, jesienią jako wdowę w żałobie, na początku zimy—jako matkę słońca odradzającego się, w ciągu zimy—jako jędzę babę. Słońce, według Słowian, rodziło się w grudniu, z początkiem zimy, kiedy to dnie zaczynają być dłuższe, i przynosiło z sobą ziemi dary hojne; na wiosnę stawało się młodzieńcem i wyzwalało ziemię z pod władzy bóstwa ciemności; w lecie poślubiało ziemię, zwyciężało ostatecznie bóstwo ciemności i panowało nad światem wszechwładnie; z początkiem jesieni traciło siłę i władzę, nikło prawie z horyzontu i ukrywało się gdzieś na uboczu, we

[1]) Marzanna wyobrażała u Słowian w przyrodzie zimę.

wnętrznościach jakiego potworu, jako złoto, brylant, albo perła. Takie to przesądne pojęcia mieli w owych czasach Słowianie o wszechświecie; wierzyli jeszcze, że istnieją inne, podrzędne bóstwa dobroczynne lub niegodziwe, które snują się po lasach, ukrywają w wodach, w ziemi, w drzewach; do takich należały u nich: biesy, złe duchy, baba jędza, czarownice, zmory pokrewne Marzannie, rusałki, dziewice wodne i obłoczone, wile—mieszkanki lasów i t. d. Ofiary składali najczęściej bogom na wzgórzach lub w gajach; w niektórych wszakże miejscowościach mieli wspaniałe świątynie, które świadczą, że sztuka budowania nie była im obcą. W Arkonie, na wyspie Rugii, leżącej na morzu Baltyckiem, zamieszkałej przez plemiona słowiańskie, wznosiła się piękna świątynia z drzewa modrzewiowego, wzniesiona na cześć najwyższego boga, zwanego tam Światowidem, która licznych pielgrzymów ściągała z darami, do której skarbca, prócz zwykłej daniny, ile razy Rugianie zwyciężyli nieprzyjaciół, składali złoto i srebro, zdobyte na wrogu; trzystu rycerzy zbrojnych strzegło tej świątyni, ozdobioną ona była wewnątrz malowidłami i rzeźbą. W pośrodku świątyni stał bałwan, który wielkością swoją przechodził wzrost ciała ludzkiego; miał on cztery głowy z czterema karkami — dwie głowy naprzód, dwie na tył patrzały. Bożek ów w prawej ręce trzymał róg kruszcem wysadzany, w który kapłan corocznie miodu nalewał, a gdy

owego miodu przez cały rok z rogu nie ubyło, to przepowiadał ludowi urodzaje i wypijał miód, a w róg świeżego nalewał; jeśli zaś w ciągu roku ubyło miodu w rogu, kapłan przestrzegał, iż nastaną lata nieurodzaju i radził, by zbierać zapasy... W lewej ręce trzymał Światowid miecz i wędzidło, gdyż Słowianie wierzyli, iż bóg ten nocą objeżdża na koniu ziemię całą; wybudowali z tej przyczyny obok świątyni stajnię, w której utrzymywali bardzo starannie białego konia. W mieście Retrze wznosiła się wspaniała świątynia na cześć Radegasta, najwyższego boga Obotrytów; sklepienie wspierały słupy, utworzone z rogów zwierzęcych, wewnątrz stał posąg boga, na ścianach zaś były rzeźbione różne bóstwa, złotem i srebrem ozdobione. W mieście Szczecinie aż cztery były świątynie, z których jedna podziw Niemców budziła, tak piękne rzeźby stroiły jej ściany; rzeźby te wyobrażały postaci ludzi, ozdobione farbami—łudziły oko, że to żywe istoty.

Świątynie Słowian wielką czcią były otaczane; wchodzili do nich tylko kapłani, lub ci, co ofiary składali; dawano też w nich przytułek tym, którym niebezpieczeństwo życia groziło. Kapłan, który czuwał nad świątynią, sam w niej porządek utrzymywał, sam ją zamiatał, oczyszczał, a w czasie tej czynności starał się o ile możności dech wstrzymywać, gdyż mniemali Słowianie, że dech człowieka śmiertelnego niemiły jest bogom, — biegał też co

chwila do drzwi, by zaparte w sobie powietrze świeżem zamienić. Kapłani na równi z książętami byli szanowani, używali wielkiej powagi; nosili białe, długie suknie z szerokiemi rękawami, odznaczali się od innych wielkością kędziorów i brodami, które do pasa im sięgały; czuwali oni nad świątyniami, przewodniczyli obrzędom, na cześć bogów odprawianym, składali im ofiary, wydawali w imieniu ich wyroki, wróżyli przyszłość ludowi; wróżenie to czynili z rozmaitych znaków. W świątyni Światowida czynił je kapłan za pośrednictwem konia: gdy wojna groziła krajowi, wówczas kładł przed świątynią trzy rzędy kopij, poczem odprawiwszy modły, wyprowadzał ze stajni konia białego, a jeśli ten w owe rzędy pierwej prawą nogą stąpił, wówczas wróżył ludowi, iż zwycięży wroga; w innych świątyniach wróżki czyli kapłanki, dziewice, które służbie bogów się poświęcały, przepowiadały przyszłość z biegu wody, z płomieni, lub z innych przedmiotów.

Słowianie, którzy wytworzyli państwo Ruskie, oddawali szczególną cześć bogowi, którego Perunem nazywali. Wyobrażali sobie, że bóg ten jeździ po niebie na ognistym wozie, że skrzydlate konie ogniem zionące ciągną ów wóz, a Perun uzbrojony jest w strzały i łuk; strzałami były promienie słoneczne, któremi rozpraszał ciemności nocne, któremi niszczył śniegi i lody; strzałami jego były też błyskawice, przerzynające chmury,—wspaniała zaś tęcza był to łuk Peruna. W ciepłe wiosenne i letnie

dnie zjawiał się Perun z błyskawicami i spuszczał na rolę i niwy zbawienny deszcz. Mroźna zima przychodziła potem, zabijała wszystko życie, lodem pokrywała rzeki i jeziora, śniegiem łąki, pola i lasy, – lecz z wiosną zjawiał się znowu Perun na swym ognistym wozie, topił bryły lodu, wypuszczał z niewoli wody, a łąki, pola i lasy w zielone szaty przystrajał. Bóg Perun, według Słowian, zjawiał się tylko od czasu do czasu, przejście swoje oznajmiał błyskawicami i hukiem grzmotów; bóg Słońce, zwany Daru Bóg, zjawiał się każdego ranka i do samego wieczora darzył ludzi światłem.

Perun był bogiem, władcą nieba i ziemi. Pojęcie o Perunie łączyło się u Słowian z pojęciem o bogu Swarogu—była to jakby jedna całość, był to bóg nieba, bóg świata, prabóg, bóg bogów.

Ofiary składali Słowianie bogom ze zwierząt i ziół różnych, czasem z niewolników. Zabiwszy ofiarę, palili ją na cześć bóstwa na jego ołtarzu; obowiązani też byli przysyłać rocznie kosztowne dary do świątyń. Obchodzili uroczyste święta na początku każdej nowej pory roku na cześć słońca i ziemi: na początku wiosny odbywali uroczystość odradzającej się i wyzwalającej z pod władzy zimy ziemi, a raczej zmartwychwstającej natury; na początku lata odbywali uroczystość na cześć przesilenia się dnia z nocą, a święto owo zwali Kupało; na początku jesieni odprawiali dożynki na uczczenie zebranych plonów, — na początku zimy naro-

dzenie słońca, które u niektórych Słowian zwało się Koleda; obchodzili te święta modłami, ofiarami składanemi bogom, tańcami i biesiadą; najuroczystsze z tych świąt było swięto Kupały.

Mieli też Słowianie swoje obrzędy religijne, jak: postrzyżyny, wesela, pogrzeby; wierzyli w życie pozagrobowe: według ich przekonania, dusza, rozłączywszy się z ciałem, przelatując z drzewa na drzewo, unosiła się następnie na skrzydłach wiatru, przepływała przez powietrze i przez most tęczowy przechodziła do krainy pozagrobowej, gdzie łąki wiecznie zielone, kwiaty zawsze kwitną, drzewa liśćmi szumią, ptaki zawsze śpiewają, słońce świeci ciągle, troski są nieznane i pokój wieczny panuje; krainę tę zwali nów, albo raj. Złych dusze szły, według mniemania Słowian — do piekła, gdzie straszne burze srożą się ciągle, deszcze leją, wyją wichry, gromy biją, gdzie drzewa ogołocone z liści jęczą żałośnie, gdzie wieczna noc panuje.

Z początkiem wieku dziewiątego religia chrześcijańska rozświeciła te przesądne pojęcia i rozszerzyła wśród Słowian światło wiary prawdziwej, a pogańskie obrzędy i uroczystości swemi zastąpiła. Pierwszymi apostołami Słowian byli Cyryl i Metody.

II.

Uroczystości i obrzędy [1]).

Święto Kupały.

Święto Kupały, jedno z najuroczystszych świąt, obchodzili starzy Słowianie w dzień przesilenia się dnia z nocą, na cześć boga dnia i światłości. Kupało znaczyło toż samo, co kąpiel przez ogień, czyli oczyszczenie przez ogień. W dniu tym uroczystym w każdym zakątku ziemi słowiańskiej, nad Elbą i Wisłą, nad Dniestrem i Rodanem, nad morzem Baltyckiem i Adryatyckiem, rozpalano ogniska. Z różnych stron: ze wschodu i zachodu, z północy i z południa, schodzili się Słowianie na oną uroczystość.

Zaledwie świt zarumienił niebo, zrywali się chłopcy z pościeli, biegli do lasu po drzewo i wśród miejsc pustych ustawiali stosy wysokie, szorokie u dołu, w górze śpiczaste. Od rana wśród lasu rozlegał się łoskot siekiery, krzyk spłoszonego ptactwa i śmiechy młodzieży. Drzewo, z którego stosy robili, musiało być świeże, bo koło niego żywi, młodzi i zdrowi zabawiać się mieli; suchego drzewa Słowianie tylko dla umarłych używali, ponieważ, w ich przekonaniu, w suchem śmierć gościła. W chatach niewiasty zajęte były tymczasem pieczeniem kołaczy i przygotowaniem mięsiwa.

[1]) Z Baśni Kraszewskiego czerpane.

Już stosy gotowe, jadło i napitek również, gromady strojne ukazują się z różnych stron lasu, wśród nich idą starzy gęślarze, lecą od pól dźwięki gęśli, pieśń dziewcząt im towarzyszy—lecą od pól słowa pieśni:

„Słoneczko dnia jasnego, świeć nam a grzej,
„Strumienie światła na ziemię lej,
„Kupało! Kupało!
„Niech czarne smoki nie śmieją zakryć twarzy [słońca—
„Tyś życiem, tyś szczęściem, nadzieją, tyś Bóg [nasz,
„Kupało! Kupało!
„Króluj dniom naszym, panuj nam bez chmury, [do życia obudzaj,
„Siej, żyw, budź!
„Kupało! Kupało!“

I śpieszy gromada, bo dziewczętom pilno do tańca, a chłopcom do skoków — przytem święto Kupały tak pełne czarownych zjawisk; wszakże, gdy noc ziemię osłoni, to po rzekach blask srebrzysty będzie się ścigać, a drzewa przechodzić będą z miejsca na miejsce i gadać o bohaterach przeszłości; a kto w oną noc znajdzie kwiat paproci, ten zrozumie mową, ten zobaczy, jak słońce wyjeżdża ze swego pałacu na trzech koniach — srebrnym, złotym i brylantowym, jak w podróży rozsypuje po niebie iskry płomieniste...

Młodzi wierzą, iż zobaczą naprawdę te cuda, więc śpieszą do lasu, więc z utęsknieniem nocy wyglądają i nową pieśń nucą, a gęślarze im wtórują.

„Pieśni ty moja, pieśni, ptaszyno moja złota! — brzmij po siołach.—Tyś jak woda żywota, wskrzeszasz ze śmierci; lecz kto się w nurt twój miota, ten prędko życie prześni.“

„Dwojaka twoja cnota: żywot i śmierć jest w pieśni; pieśń zmarłych z grobu wskrzesza, pieśń żywych na śmierć miota.“

Już las chwyta słowa pieśni, już drzewa ją powtarzają; wesoła drużyna dotarła do celu, dziewczęta i chłopcy, skacząc, klaszcząc w dłonie, wbiegają do lasu. „Kupało, Kupało!“ brzmi zewsząd.

Słońce rzuca już ostatnie blaski ziemi na pożegnanie, lecz jeszcze złoci szczyty sosen, więc ognisk rozpalić jeszcze nie można, trzeba czekać, aż zniknie zupełnie. Starcy i niewiasty rozsiedli się pod drzewami, między nimi gęślarze, opodal postawiono niecki z mięsiwem i cebry z miodem, oraz kołacze; młodzież zabawia się tymczasem gonitwami — chłopcy ścigają dziewczęta, one z krzykiem uciekają, odpędzają ich chustami.

Wreszcie słońce znikło, ciemność las zaległa—młodzież skoczyła do przygotowanych stosów i ogień rozniecać poczęła; trą gałęzie, krzeszą iskry, wreszcie błysnęła jedna, druga, trzecia, płomień się ukazał, zasyczał—czerwone języki pną się ku górze, czepiają liści, chwytają je;

dziewczęta ujęły się za ręce, wiankiem żywym okrążają stosy, brzmi nowa pieśń w lesie:

„Słońce w morzu się kąpało, bo na wesele iść miało. Wiodą pannę młodą, w złote szaty przyodzianą. Księżyc jedzie z gwiazd drużyną. Witaj, słonko kochane - ty mi będziesz królowało. Kupało! Kupało!“

Chłopcy skaczą przez ogień, borykają się, padają na ziemię, tarzają w piasku i do nowych skoków się zrywają; niewiasty i starcy, powstawszy z ziemi, przypatrują się ochocie młodzieży, a z twarzy ich czytać można, że dawne lata wspominają — oczy i usta się im śmieją, klaszczą w dłonie, drepcą nogami, jakby ochota ich brała pójść za młodymi, a młodzi tańczą coraz ochoczej. Wieńce z głów pospadały dziewczętom, warkocze im się rozplotły— one tego nie widzą. Pełno krzyku i wesela w lesie—zbudzone ptactwo z wrzaskiem podniosło się ze swych gniazd, lecz krzyki jego głuszą krzyki ludzkie.

Tak noc zbiegła na zabawie. Gdy świt zarumienił niebo, wówczas puściły się dziewczęta, tańce ustały, ucichły pieśni, niewiasty wróciły do opuszczonych miejsc i jadłem częstować poczęły. Ogniska powoli dogasały; skaczą jeszcze przez nie chłopcy, lecz w coraz mniejszej liczbie, znużenie czuć się daje każdemu; coraz ciszej, coraz spokojniej wśród drzew, słychać tylko radosny świegot ptactwa, które słońce wschodzące wita.

Wreszcie wszyscy otoczyli niecki i cebry, uczta się rozpoczęła. Starzy opowiadają dziwy o dawnych bohaterach, o czarownych zjawiskach, jakie w noc Kupały widzieć można; młodzież słucha ciekawie i żałuje, że nikt kwiatu paproci nie znalazł, nikt przeto słońca wyjeżdżającego naprzeciw księżyca widzieć nie mógł, ani drzew gadających nie słyszał.

Dopiero koło południa gromady opuściły las, kierując się ku domowi, a przez pola i błonia leciały znowu słowa pieśni, dźwięki gęśli i radosne okrzyki „Kupało! Kupało!“, z któremi chłopcy, mając zapalone żagwie w dłoni, niwy obiegali, pilnie bacząc, by ogień nie zgasł, — bo kto do chaty zapaloną żagiew przyniesie, ten szczęście do domu sprowadzi—tak mówili starzy Słowianie.

Święto Kupały obchodzone było przez wszystkie plemiona słowiańskie, lecz nie wszędzie jednakowo. U plemion ruskich młode dziewczęta i chłopcy, wykąpawszy się, zbierali się na pagórku nad rzeką i tam ustawiali dwie postaci, wyobrażające mężczyznę i kobietę; pierwsza zwała się *Kupało* (bóg słońca), druga *Marzanna* (zima). Następnie rozkładali ogień, brali się za ręce parami, chłopcy z dziewczętami i tańczyli wokół; a gdy się zmęczyli, wówczas rzucali się na owe postaci z okrzykami „Kupało! Kupało!“ i wrzucali je do rzeki. W dzień ten zwykli byli Słowianie odprawiać związki małżeńskie.

Do dziś dnia w wielu miejscowościach odprawiają u nas 23 czerwca, kiedy dzień najdłuższy, uroczystość zwaną Sobótką, która wiele przypomina owo święto Kupały; w dniu tym młodzież wiejska również rozpala wśród lasu ogniska, tańczy wokoło nich, śpiewa, lub skacze przez nie,—nazwa zaś tej uroczystości nie pochodzi od wyrazu sobota, jak to wielu mniema, lecz od wyrazu Sabotias, który oznaczał bóstwo słońca. Na Śląsku jest do dziś dnia góra zwana Sobótką, na której w czasach pogańskich Ślązacy słońcu ofiary składali.

Inne uroczystości pogańskie zastąpiono chrześcijańskiemi, pozwalając zachować niektóre z dawnych zwyczajów.

Pogańscy Słowanie uważali jajko jako symbol obfitości i słońca wiosennego, poświęcali je słońcu, — wieprzowinę zaś i ciasto matce słońca, babą zwanej; stąd zapewne ciasta wielkanocne zowią babami.

Zwyczaj dzielenia się jajkiem obchodzono również na cześć boga Słońca, który był także bogiem zgody i pokoju. Dożynki nasze, tak wesoło obchodzone przez lud wiejski, znane były starym Słowianom: na wyspie Rugii po skończonych żniwach lud zbierał się przed świątynią Arkony, naprzód składał Światowidowi ofiarę z ziół lub zwierząt, którą kapłan palił na ołtarzu bóstwa, poczem słuchał wróżby co do przyszłorocznych urodzajów, nakoniec składał w darze kapłanowi ciasto okrą-

głe z miodu, czyli piernik, takiej wielkości, że kapłan mógł się skryć za niem,—co uczyniwszy, pytał ludu, czy go widzi, a gdy odpowiedzieli, że widzą, życzył im, żeby go roku przyszłego nie widzieli, dając tą odpowiedzią do zrozumienia, że im życzy żniw szczęśliwych. Po skończonej ceremonii lud tańcom się oddawał i biesiadzie.

Wiele innych dziś święconych zwyczajów pochodzi również z czasów pogańskich; szanować je winniśmy jako pamiątki, przypominające nam ojców naszych.

Postrzyżyny [1]).

Do lat siedmiu u dawnych Słowian chłopcy zostawali pod opieką matek, — zacząwszy ósmy rok, przechodzili pod opiekę ojców. W dniu tym, w dniu urodzin, odprawiano tak zwane postrzyżyny, obrzęd, przez który chłopię dostawało imię, wchodziło w świat i za dziecko przestało być uważane.

Na tę uroczystość ojciec rodziny spraszał wszystkich krewnych, sąsiadów, przyjaciół, a gdy chata pełną była, wówczas szli wszyscy starsi przed dom, gdzie rósł dąb rozłożysty; zasiadał pod nim ojciec, służba stawiała obok ceber ze źródlaną wodą, krewni go otaczali, a matka przyprowadzała syna. Chłopiec był przybrany na ten dzień w białą suknię; jasne, długie włosy, których ani

[1]) Z Baśni Kraszewskiego.

razu nie tknęły nożyce, spływały mu na ramiona. Przyprowadziwszy chłopca do ojca, który powstał na jego przyjęcie, oddała go mu w ręce; pacholę pochyliło się do nóg starca pokornie, on podniósł je, naprzód do serca przycisnął, poczem nabrawszy dłonią wody z cebra, stojącego obok, skropił głowę chłopca, a czyniąc to, wzywał boga bogów, niewidzialnego, lecz najpotężniejszego ze wszystkich, by miał w opiece chłopca, strzegł od wroga i grzechu; następnie ująwszy nożyce, które mu jeden z krewnych podał, przystrzygał naprzód synowi włosy nad czołem i te krewnym na pamiątkę uroczystości oddawał, potem dokoła przycinał. To uczyniwszy, zbierał skrzętnie resztę włosów, i zwinąwszy je starannie, oddawał matce, aby pod kamieniem zakopała—bo uważano za szkodliwe, jeśli włosy dostały się na ogień, lub wiatr je zaniósł w pole; to uczyniwszy, zwracał się do chłopca.

— Od dziś zwij się Leszkiem—mówił do niego, lub inne jakie imię mu nadawał.

Gdy obrzęd dokonanym został, wówczas z ogródka, łączącego się z chatą, odzywała się pieśń postrzyżyn — dziewczęta tam zebrane, ukazawszy się pod dębem, wzywały słońca jasnego, aby zesłało szczęśliwe promienie na głowę chłopca; rosy, aby go poiła życiem i męstwem; ziemię, aby w niego wlała ducha, aby urósł silny i wielki jak dąb, świecił jak gwiazda, jak orzeł padał na wrogów; — poczem skacząc koło niego, klaszcząc

w dłonie i krzycząc „Ładо! Ładо!“ odżegnywały od niego złe duchy, tak zwane biesy, oraz uroki i nieszczęścia; matka zaś, przyniósłszy wieniec, upleciony z dziewanny, rosiczki, bylicy i gałązek jemiołu, kładła go na głowę syna; wieniec taki miał, wedle pojęć starych Słowian, zdrowiem i szczęściem darzyć dziecko. Teraz znowu ojciec zbliżał się do chłopca, brał go za rękę, i prosząc gości, by szli za nim, prowadził wszystkich na żalnik. Tam pozdrowiwszy duchy dziadów, chłopiec składał na ich mogiłach ofiary, które mu podała matka: wylewał miód na mogiły i stawiał na nich miseczki z jadłem. Następnie wracali wszyscy pod dąb, gdzie zastawiali wielki stół białem płótnem nakryty, na nim misy z mięsiwem, kosze z owocami, kołacze i dzbany z piwem,—zasiadano przeto do uczty, przy której pieśni i dźwięki gęśli nie ustawały.

Do późnej nocy trwała zwykle taka uczta. Gdy goście się rozeszli, wówczas matka, objąwszy ramieniem syna, składała na jego czole czuły pocałunek, a często łzami oblewała jego głowę, poczem ojciec zabierał go z sobą, odtąd bowiem chłopiec miał sypiać z nim razem i z braćmi starszymi, dzielić jego pracę i zabawy, chodzić z nim za pługiem, uganiać się po lasach za zwierzem, zapuszczać sieci na ryby, pilnować pszczół w ulach, harcować na koniu i do boju z wrogiem się sposobić.

Pogrzeb pogański [1]).

Ojcowie rodzin nietylko za życia, lecz i po śmierci u starych Słowian wielką czcią byli otaczani. Gdy umarł starosta, chowano go zwykle bardzo wspaniale; cała rodzina zbierała się na pogrzeb, który odbywał się zupełnie inaczej niż dzisiejsze pogrzeby, gdyż Słowianie ciał zmarłych nie grzebali, lecz palili je na stosach. Zaledwie pan domu zamknął oczy, wnet rodzina rozsyłała w różne strony gońców do braci jego, do sióstr, do dalszych krewnych, do sąsiadów i przyjaciół, zapraszając na pogrzeb; poczem córki zajmowały się ubraniem zmarłego — kładły mu świąteczną odzież, czapkę z kitą, łuk na piersiach mu zawieszały; przez ten czas matka przywdziewała szaty świąteczne najpiękniejsze, jakie miała, stroiła się w bursztyny, w świecące naramienniki; — a gdy córki wyniosły trupa ze świetlicy i na ławie w izbie gościnnej go umieściły, siadała naprzeciw, z głową ku piersiom spuszczoną. Obok niej stawali synowie, córki, płaczki, zawodząc pieśni żałobne:

„Odszedłeś od nas—wołali,—osierociłeś nas, panie; poszedłeś do ojców twoich, do duchów jasnych. Wszystkoś miał, czego dusza zapragnie: ziemie rozległe, zwierza dostatek, trzody bez liku, zboża pasieki, ulów tysiące, chleb i miód biały,

[1]) Z Baśni Kraszewskiego.

miłość miałeś u ludzi, i żonę miałeś, i dzieci posłuszne, i czeladź pokorną i rączе konie! Rzuciłeś wszystko i nigdy nie wrócisz! Patrz na sieroty — włosy rwą z głowy; słyszysz ich jęki, otwórz powieki.“

Tak noc całą śpiewały dzieci i płaczki przy trupie, i rwały sobie włosy i łzy wylewały, a z pieśnią ich żałosną mieszały się jęki matki i wycia psów, które słysząc te szlochania i skargi, wtórowały im.

Na kominie paliło się łuczywo, niezbyt jasno oświecając izbę; od lasu dochodził łoskot siekiery— tam parobcy stos dla umarłego przygotowywali.

Nazajutrz skoro świt schodzić się poczynała rodzina, znajomi i sąsiedzi—izba i dziedziniec często gości pomieścić nie mogły, tyle ich nieraz napłynęło. Płacze i skargi wzmagały się po przybyciu przyjaciół, gdyż wtórowali oni dzieciom.

Gdy parobcy dali znać, że stos gotowy, synowie kładli na nosze zmarłego i nieśli go do lasu; za nimi córki wiodły jęczącą matkę pod ręce, potem służba prowadziła ulubionego konia i psy zmarłego, następnie krewni, sąsiedzi cisnęli się, gęślarze i płaczki, za nimi znowuż służba z popielnicami, z misami pełnemi mięsiwa, ze dzbanami piwa lub miodu.

Szli, jęcząc, zawodząc, przez pola leciały żałosne słowa pieśni, tęskne dźwięki gęśli i krzyki płaczek, które trzymały przy oczach małe na-

czyńka gliniane, łzawicami zwane, i łzy w nie zbierały.

Wśród gęstego boru, na wzgórzu, wznosił się stos wysoki, który cztery grube pale, wbite po rogach, podtrzymywały, a kłody go składające tak były ułożone, iż schody tworzyły, aby wejście ułatwić; synowie sadzali ojca na szczycie stosu, przywiązywali go do kloców, by się nie przewrócił, poczem kładli obok niego wszystko, czego za życia potrzebował: więc pług, miecz, tarczę i dzidę, aby mu niczego w raju nie brakło; następnie wprowadziwszy konia i psy na stos, obok je przywiązywali. Żona nieboszczyka wchodziła sama; klękłszy u nóg zmarłego, jęcząc cicho, obejmowała jego kolana, a krewni i synowie otaczali stos, służba opodal ustawiała popielnice i jadło.

Tymczasem przyjaciele, rzuciwszy iskrę, wykrzesaną przez tarcie suchych gałęzi, na łuczywo, które po rogach stosu leżało, zapalili je; płomień ukazywał się jednocześnie z czterech stron i razem piąć się ku górze poczynał, niebawem objął cały stos; wśród dymu i ognia znikały dzieciom z oczu postaci rodziców. Płaczki poczynały biegać wokoło w szalonych podskokach, miotały ręce, rwały włosy, a krzyki ich w wycie przechodziły; z niemi jednocześnie czterech pachołków na koniach, wywijając dzidami, odstraszało biesy, jakie, wedle mniemania starych Słowian, czychały na duszę zmarłego. Synowie i córki rzucali w ogień co mie-

li najdroższego, co rodzicom było najmilsze; krewni i przyjaciele zawodzili pieśni na cześć Marzanny, bogini śmierci; gęślarze im wtórowali, ptactwo wrzaskiem przeraźliwym napełniało las; zwierz dziki, wystraszony tym hałasem, odzywał się z głębi ponurym rykiem. Hałas ten głuszył jęki palącej się żony, wycie psów i rżenie konia, na śmierć skazanych. Od czasu do czasu wiatr, miotając płomieniami, odsłaniał oczom dzieci szczerniałe postaci rodziców, psów i konia; nareszcie belki zaczynały trzeszczeć, łamać się, usuwać z miejsca, poczem naraz runęły z hałasem—i trup, żona jego, psy, koń, wszystko zapadało w ognistą przepaść. Płomień czas jakiś jeszcze wybuchał, to słabszy, to silniejszy, wreszcie gasł całkiem, tylko dym siny, gęsty, wznosił się jeszcze, tylko iskry migały, wreszcie i te znikały; wtedy płacze i pieśni ucichły, niewiasty, przystąpiwszy do zgasłego ogniska z popielnicą, wsypywały w nią popiół oraz niedopalone szczątki — i znowu ruszał orszak żałobny w uroczystym pochodzie ku miejscu, gdzie mogiłę wznieść mieli, na tak zwany żalnik. Szli, nucąc pieśni żałobne, dzieci i krewni nieśli jedni popielnicę, inni łzawice i posążki bóstw, służba misy z jadłem i dzbany z piwem. Grób już był przygotowany, wstawiono weń popielnicę, którą wiekiem przykrywano, obok niej umieszczono łzawice i posążki, poczem to wszystko razem zasypywano ziemią, a każdy się cisnął, by choć garść

ziemi rzucić; im więcej szanowano pamięć zmarłego, tem wyższą sypano mu mogiłę; gdy ta urosła już duża, wówczas zapalano na niej łuczywo i zasiadano do uczty. Łzy już oschły, płacze i skargi ucichły—Słowianie wierzyli, że przeszedłszy most tęczowy, dusza zmarłego już znajduje się w raju i cieszy się tam wierną żoną, która dobrowolnie za nim poszła w krainę śmierci, ulubionym koniem i psami, że używa ciszy i szczęścia — więc grzechem, według ich mniemania, było dłużej się smucić. Ktoś z sąsiadów, wymowniejszy od innych, wstępował czasami na mogiłę, cnoty i zasługi zmarłego przypominał, by synów do naśladowania zachęcić, lecz to płaczu i jęków już nie wywoływało.

Wysłuchawszy przemowy, pili i jedli wesoło, starzy rozmową się zabawiali, młodzi biegali do celu na wyścigi, lub oszczepem w górę rzucali dla pokazania swej zręczności. Taka uczta zwała się tryzną.

Tryzna trwała zwykle przez noc całą, często i przez dzień następny; nareszcie ustroiwszy mogiłę gałęziami zielonemi, wracali każdy do domu. Czasami Słowianie stawiali na takich mogiłach pomniki, lub okładali je kamieniem; czasami nie grzebali popiołów, tylko umieszczali je przy drogach na słupach, aby przypominały one ludziom, iż życie wiecznem nie jest, że przyjdzie czas, kiedy za uczynki nasze karę lub nagrodę otrzymamy.

Do dziś dnia znajdują się jeszcze w niektórych miejscowościach mogiły, pochodzące z czasów pogańskich. Ludzie, którzy przeszłość ukochali i badaniu jej czas poświęcają, w niejednej znaleźli popielnice i łzawice, które przekonywają, iż w istocie starzy Słowianie palili ciała umarłych,— w innych wszakże nic nie znaleźli. Dochodząc przyczyny, dowiedzieli się, iż Słowianie nie tylko zmarłym sypali mogiły, czyli kurhany, lecz także wznosili je na cześć wodzów, lub na pamiątkę jakiejś chwili pamiętnej w swych dziejach; takie kurhany nie zawierają w sobie żadnych pamiątek, lecz wspomnienia ludu je uświęcają, krążą o nich ciekawe powieści, czyli podania; do takich mogił należą wznoszące się pod Krakowem mogiły Krakusa i Wandy.

Oprócz mogił zmarłym sypanych, które tworzyły cmentarze dawnych pokoleń, oprócz kurhanów na cześć sławnych ludzi wznoszonych, sypali jeszcze starzy Słowianie tak zwane strażnice, czyli kurhany szlakowe, które kształtem mogiły zmarłych przypominały, lecz wewnątrz nie zawierały popielnic; sypane były one po to, by jak gwiazdy na niebie, tak one w pustych, niezaludnionych, bagnami poprzerzynanych dawnych obszarach słowiańskiej ziemi wskazywały podróżnym drogę, strzegły ich od zbłąkania się. Były też jeszcze nasypy, które zwali Słowianie ołtarzami ofiarnemi, gdyż na nich składali bogom ofiary.

W mogiłach, na cześć zmarłych sypanych, często badacze przeszłości znajdują obok popielnic inne przedmioty, jak ozdoby kobiece, broń, naczynia; jak wiadomo, Słowianie zmarłym rzucali na stos to, co oni lubili za życia; przedmioty z metalu zrobione w ogniu nie ulegały zniszczeniu, więc chowano je potem widocznie razem z popiołami do grobu.

III.

Podanie historyczne.

Wielkie plemię słowiańskie dzieliło się na liczne drobne plemiona, z których każde miało swój język, nazwę swoją i swego knezia lub żupana; lecz wszystkie łączyły jednakowe obyczaje, jedna formy rządu i jedne przekonanie rellgijne. Jednem z takich plemion byli Polanie, którzy zamieszkiwali rozległe obszary ziemi od Odry na wschód ku Noteci i wzdłuż Warty po obu jej brzegach; na północ stykali się oni z Pomorzanami, na południe z Chrobatami, również pochodzenia słowiańskiego.

Rozległe obszary pól, jakie Polanie zamieszkiwali, dostarczały im obficie zboża; od tych pięknych złotodajnych pól wzięli oni nazwę Polan. Ciemne, olbrzymie bory, które rosły w północnych

stronach i tak były wielkie, iż przez kilka dni iść przez nie można było, dostarczały Polanom zwierzyny,—rzeki, jak Wisła, Warta, Noteć, piękne jezioro Gopło, oraz innne mniejsze—ryb obficie; mieli też kilka miast, jak: Gniezno, Kalisz, Kruszwica.

Każdy lud ma swoje podania, klechdy, bajki, które snują pierwotne jego dzieje, które mówią o dawnych jego bohaterach i książętach.

Gdy lud jeszcze w kolebce, gdy, jak dziecko, pisać jeszcze nie umie, wtedy, co się zdarzy ważniejszego, ojciec opowiada synowi, syn swojej dziatwie — tak z ust do ust przechodzi przez opowiadanie pamięć o tem zdarzeniu, z dziada na wnuka, z pokolenia na pokolenie; niejeden coś doda, coś zapomni, coś ujmie lub przekształci—tym sposobem podania stają się coraz mniej pewne, w bajkę zamieniają się wreszcie; jakaś cząstka prawdy tkwi wszakże w każdej takiej bajce, pogardzać przeto niemi nie godzi się. Póki lud nie zacznie zapisywać wydarzonych u siebie faktów, dopóty dzieje jego są niepewne, dopóty bajecznemi się zowią.

Wszystkie plemiona słowiańskie miały swoją historyę bajeczną, swoje czasy dzieciństwa—mieli je i Polacy. Historya bajeczna tego ludu powiada, iż dawno, bardzo dawno, z dalekiej krainy, przez Normandów zamieszkałej, przybył do Polan Lech ze swoją drużyną, a znalazłszy tam bory olbrzymie, kazał je ścinać, miasto budować i nazwał je

Gnieznem. Polanie uznali Lecha swym kneziem, zbratali się z jego drużyną. Lech około stu lat rządził nimi. Potem historya bajeczna mówi o Kraku, który mieszkał nad Wisłą, miał tam swoją chatę i swój kawałek ziemi, był kmieciem jednem słowem. W owe czasy dotknęło srogie nieszczęście Polan. Tam, gdzie dziś Kraków, w czarnej pieczarze ukrywał się smok straszny, zwierz potworny, pożerał ludzi, napadał na kmiotków orzących spokojnie zagon, na młode dziewczęta do lasów dążące, na drobną dziatwę bawiącą się nad brzegami Wisły; setki ludzi ginęło co rok w jego żarłocznej paszczęce, a nikt na to poradzić nię umiał... Krak bolał serdecznie nad braćmi swymi, nad ziemią swoją, którą kochał nedewszystko, więcej niż ojca, matkę, niż braci i siostry, niż siabie samego — i, choć młody, smutny był żawsze, noc i dzień myślał tylko o tem, jak pozbyć się smoka, jak uwolnić ziemię Polan od potworu, jak złe usunąć, i wciąż modlił się do bogów, aby mu radę dali, wzywał pomocy dobrych duchów... Aż dnia jednego błysnęła mu myśl szczęśliwa—wybrał ze swego stada największego barana, zabił go, zdjął z niego skórę, napchał ją słomą, siarką, węglem zarzącym i podrzucił pod smoczą jamę. Podstęp się udał: łakomy potwór rzucił się na zdobycz, połknął barana, wnętrzności poczęły go palić; chcąc ugasić ogień, jaki czuł wewnątrz, pobiegł do Wisły i pił chciwie wodę—pił dzień cały, lecz ognia nie ugasił, pił noc

całą, aż rozpękł się wkońcu. Nad rankiem znalazł go Krak nieżywym, wtedy uciął mu łeb i zatknął na wysokiej żerdzi, aby bracia zobaczyli, iż lękać się już nie mają czego, bo smok nie żyje...

Wdzięczni Polanie, zwoławszy wiec, gdyż właśnie wygasł ród Lecha, umarł ostatni z jego potomków, wybrali Kraka kneziem. Krak na górze Wawel nowy gród wybudował i panował długo nad swymi braćmi, panował mądrze, szczęśliwie, a gdy umarł, Polanie uczcili go wspaniałym pogrzebem i usypali na cześć jego tak wielką mogiłę, co aż w górę wyrosła, i nie garściami rzucali na nią ziemię, lecz w rękawach swych sukien ją przynosili...

Po śmierci Kraka rządziła Polanami córka jego Wanda—takie było imię tej córki; była piękną jak gwiazda, łagodną jak gołąb, silną i zdrową jak młody dąb.

Posłyszawszy, iż niewiasta panuje w Polsce, Rydygier, książe niemiecki, zebrawszy zbrojne szyki, napadł na Kraków, pewny, że łatwo gród ten podbije i Słowian w Niemców zamieni — lecz omylił się...

Wanda, zwoławszy kmieci, kazała im się uzbroić i sama braci na bój powiodła, a biła się tak odważnie, tak dobrze bojami dowodziła, iż Niemcy pierzchli. Zdumiony jej odwagą, zachwycony urodą, Rydygier cofnął się z wojskiem, lecz w kilka dni potem wysłał posłów do Krakowa

i oświadczył przez nich Wandzie, że pragnie uczynić ją żoną swoją. Wanda dumnie posłom odpowiedziała, iż żoną Niemca za nic nie zostanie, bo Niemiec to wróg jej ziemi, to wróg wszystkich Słowian: grabi ich ziemie, ludzi morduje, lub do niewoli uprowadza. Rozgniewany tą odpowiedzią, Rydygier powtórnie wkroczył z wojskiem na ziemię Polan, głosząc, że jeśli knehini nie przyjmie go za męża, on nikomu życia nie daruje, żadnego domostwa w całości nie zostawi. Przestraszona Wanda, nie chcąc być przyczyną nieszczęścia swoich, rzuciła się w nurty Wisły. Rydygier dowiedziawszy się o tem, pełen żalu i smutku opuścił ziemię Polan, którzy wydobywszy nieżywą Wandę z wody, równie wspaniały jej pogrzeb jak ojcu, równie wysoką usypali jej mogiłę jak Krakowi...

Następnie czas jakiś rządził u Polan wojewoda z 12 radcami, lecz gdy się znowu jeden z kmieci odznaczył rozumem, a raczej sprytem, zwołali wiec i kneziem go uznali; jedni tego knezia zowią Przemysławem, inni Leszkiem. O tym kmieciu podanie mówi, że kiedy raz na ziemię Polan wróg napadł, palił i rabował wsie, mordował ludzi, lub brał do niewoli, a wszyscy zwątpili w siłę swego oręża, wtenczas jakiś złotnik kmiecego rodu, porobiwszy z kory drzewa tarcze i hełmy, postroił je złotem i zawiesił na górze, a gdy słońce odbiło się w tych tarczach, Niemcy, myśląc, że to wojsko Polan świeci zdala zbroją, wdarli się na wzgórze, by

natrzeć na nie; wtedy Polanie, ukryci pod górą, rzucili się na nieprzyjaciela z tyłu i odnieśli zwycięstwo.

Ród tego Leszka z razu szczęśliwie rządził, lecz pod koniec było inaczej. Wnuk jego miał dwudziestu synów, którzy podzielili między sobą ziemię Polan. Najstarszy osiadł w mieście Gnieźnie; był to pan srogi, okrutny i chciwy. Gorszym był jeszcze syn jego, Popiel II; ten przeniósł stolicę z Gniezna do Kruszwicy, tam pędził życie na próżniactwie, otoczony drużyną równie jak on próżniaczą; mawiał zawsze: „Jedzmy, pijmy, zrywajmy kwiaty, niechaj nie więdną.“

Stryjowie oburzeni takiem postępowaniem, łajali go surowo. Rozgniewało to Popiela, postanowił ich się pozbyć i ziemie ich zagarnąć.

Jakoż dnia jednego zaprosił stryjów do Kruszwicy na ucztę; gdy przybyli, przyjął gościnnie, napoił miodem zaprawionym trucizną, a gdy pomarli, kazał ciała wrzucić do jeziora Gopła; z ciał tych wylęgły się myszy, które wdarły się na zamek książęcy. Popiel z żoną i dziećmi, dosiadłszy łodzi, chciał umknąć przed niemi do wieżycy, znajdującej się na wyspie w pośrodku Gopła, lecz myszy dogonały go i zjadły razem z całą rodziną, a Polanie znowu wiec zwołali, by wybrać sobie knezia.

Bajki te są pełne nieprawdopodobnych wydarzeń, boć przecie, jak nie istnieją, tak nie istniały nigdy na ziemi smoki, myszy też nie zjadają

i nie zjadały nigdy ludzi, jednakże pewna cząstka prawdy, mgłą wieków przyćmiona, tkwi w nich; czas, niedokładne opowiadanie, przeistoczyły ją nakoniec w bajkę.

Ów smok, którego Krak zgładził, może to był rozbójnik, który w lesistej krainie Polan łatwo się mógł ukrywać i zdradziecko na kmieci napadać, a Krak w boju mógł go pokonać i na miłość wnuków przez to zasłużyć... Myszy nie zjadły z pewnością Popiela, lecz gdy uciskał Polan, rządził źle, niesprawiedliwie i zgorszenia przykład dawał, poddani, choć słabsi od niego znaczeniem, złączywszy się, utworzyli siłę i pozbyli się knezia, który ich gnębił, wycięli go jak wrzód, jak raka bolesnego. Poważni historycy utrzymują, iż na czele zbuntowanych stanął ród Myszków i stąd podanie o myszach urosło.

Dwie mogiły pod Krakowem, które lud tamtejszy zowie mogiłą Kraka i Wandy, oraz mysia wieża na wyspie jeziora Gopła, świadczą, że w tych bajkach ukryta jest prawda. Podania te przekonywają nas, że w owych czasach niepewnych, tak odległych, bo przypadają one na czasy zawarte między wiekiem VI a X — Polanie mieli już swoich władców udzielnych, którzy ziemię synom przekazywali, mieli swoje miasta i zamki, roztrząsali sprawy na wiecach, mieli swoje obrzęby i uroczystości — jednem słowem, że za-

czynali tworzyć państwo, urządzone na wzór sąsiedniego państwa niemieckiego, które nas wyprzedziło w cywilizacyi.

Jeszcze z czasów bajecznych.

Od dawien dawna w starej Wielkopolsce wznosiło się miasto Kruszwica. Stolica Popielów bezpiecznie była położoną—z jednej strony długie jezioro Gopło, z drugiej bagna czyniły doń przystęp trudnym, a w razie niebezpieczeństwa ułatwiały obronę.

Było to roku 842. Na szerokich błoniach, rozścielających się za miastem, nad jeziorem Gopłem widać jakiś ruch niezwykły—ze wszystkich stron, z miasta, z sąsiednich i dalszych wsi ściągają na owe błonia ludzie, jedni pieszo, inni konno lub wozami; idą, jadą starzy z białemi jak mleko głowami, z białemi, pomarszczonemi twarzami, w białych świtach, w czapkach baranich, z koszturami w ręku, z workami przewieszonemi przez ramię, z których chleb i wędlina wyglądają; idą młodzi, krzepcy, dorodni, z rumieńcem zdrowia na twarzy, z blaskiem życia w oczach, również w świtach białych, w czapkach baranich, z zapasami żywności, — wszystko to dąży na błonie, pod Kruszwicą się rozciągające, a gdy na nie przyjdą, to rozsiadają się na niem, czapki zrzucają z głowy, kosztury obok siebie kładą i przy-

patrują się sobie, zaczepiają słowami, jeden drugiego pyta, skąd przybył, jak się zowie. Gdy który konno przyjechał, to spętawszy nogi koniowi, puścił go dalej na błonie, sam wśród zebranych zajął miejsce; gdy który wozem przybył, to konia odprzągł, puścił go również, by swobodnie się pasł, lecz wóz zostawił bliżej, bo wóz ten nie pusty—żywnością wyładowany; widocznie ci, co się tutaj zebrali, nie na godzinę się rozsiedli, nie po to, by odpocząć i dalej ruszyć, lecz dłużej posiedzieć zamierzają...

I cóż ich tutaj ściągnęło? Wiec... Polanie chcą wybrać nowego pana, bo kneź Popiel nie żyje; a choć im źle było za jego rządów, bo ich uciskał, niedobrze im i teraz, jak dzieciom bez ojca, jak sierotom bez opieki—niema kogo o radę zapytać, niema komu skargi zanieść; przywykli już do pana, więc wybrać postanowili nowego... Konni wysłańcy, jeżdżąc od wsi do wsi, od grodu do grodu z wicią zieloną, oznajmili braciom, iż wiec ma się odbyć, żeby Polanie zjeżdżali do Kruszwicy, — bo gdy pełnia księżyca nastanie, obrady się rozpoczną. Więc kto był tylko zdrów, ten pośpieszył na wezwanie—i zebrali się w wielkiej liczbie i półkolem błonie obsiedli. Naprzeciw nich wznosił się dąb rozłożysty, a pod nim długa ława stoi; ława ta jeszcze pusta, na niej najstarsi zasiądą, starostowie rodów, lecz ci jeszcze nie przybyli. W dali z jednej strony widać Kruszwi-

cę; w pośrodku miasta na wzgórzu piętrzą się mury zamku Popielów, w którego izbach tak niedawno jeszcze huczne biesiady się odbywały, a teraz głucho i pusto; w pośrodku jeziora na wyspie niewielkiej sterczy samotnie posępna jakaś wieżyca. Polanie z trwogą na nią spoglądają, bo w niej podobno myszy zagryzły Popiela—straszną śmiercią ukarali bogowie truciciela wujów i gnębiciela ludu,—z trwogą patrzą na nią i pytają siebie: byćże to może, co mówią o tej wieżycy?— i wzdychają, by lepszego tym razem pana wybrali.

Naraz na błoniu zaszumiało jak w ulu, zebrani porwali się z ziemi, w dali ukazały się wozy paradne, na nich siedzieli starcy z srebrnemi do pasa brodami, z srebrnemi włosami, które ramion sięgały—to starostowie na wiec przybyli, dworno, paradnie: za każdym ciągną wozy wyładowane żywnością i służba na nich siedzi; ubiorem nie różnią się wszakże od innych. Zszedłszy z wozów, krokiem powolnym weszli na błonie, zebranych skinieniem głowy pozdrowili i, milcząc, ławę zajęli; dopiero gdy szum się uciszył i zebrani wrócili na dawne miejsca, na ziemi naprzeciw nich znowu zasiedli; wtedy jeden, który wydawał się wiekiem najstarszy z pomiędzy starostów, podniósłszy się z ławy, przemówił do braci, a mówił długo, rozumnie, poważnie: radził, by zgodnie obrali nowego pana, przedstawiał tego konieczność.

— Jak w ulu, gdy matka umrze, jest zamęt, póki nowej nie znajdą — prawił im, — tak gdy król umrze; nie traćmy przeto czasu na swary, śpieszmy się z wyborem; pamiętajmy o tem, że na granicy naszej od zachodu siedzą Niemcy, którzy czekają tylko, by Polan ujarzmić, jak ujarzmili wiele ludów słowiańskich, że dowiedziawszy się, iż pana nie mamy, gotowi wpaść do nas, mordy i pożogi rozpocząć, setki ludzi uprowadzić do niewoli.

W skupieniu słuchali go wszyscy, a gdy skończył, przystąpiono do obrad — lecz niestety, choć głos poważny napominał do zgody, wada wrodzona Słowianom wnet górę wzięła nad postanowieniem i swary wybuchły; podzielili się na gromady: ci tego, ci tamtego popierali—i dzień ubiegł. Zachodzące słońce krwawo odbiło się w wodach jeziora, zmrok począł zapadać—trzeba było skończyć obrady, a oni nie wybrali nikogo. Więc zrzucając winę jeden na drugiego, łając się wzajemnie, najpierw spożyli wspólnie wieczerzę, bo na wozach żywności nie brakło, potem jedni na błoniu legli szukać snu, inni w mieście spoczynek znaleźli. Nazajutrz zebrali się znowu, lecz znowu dzień na swarach im upłynął, trzeciego nie było lepiej, aż zniecierpliwiona starzyzna postanowiła wysłać jednego z pomiędzy siebie do najbliższej świątyni i bogów o radę zapytać. I wybrano posła, ten chętnie podjął się misyi,

pozostali radzili dalej... Mijały dnie—zapasy żywności, przywiezione przez starostów i zamożniejszych kmieci, wyczerpały się, w mieście czuć się dawał brak chleba i mięsa—głód groził zebranym. Okrzykami radości powitali też posła, wracającego ze świątyni. Wszedłszy na błonie, pozdrowił on ich naprzód imieniem bogów, potem oznajmił, że Pan najwyższy, władca świata, przez usta kapłana im oznajmia, aby wybrali najskromniejszego i najmędrszego. Odpowiedź ta niewiele ich oświeciła; który z nich jest najskromniejszym a zarazem najmędrszym — nie wiedzieli; każdy radby był za takiego uchodzić... Więc swary podniosły się na nowo, od słowa do słowa przyszło wreszcie do żwawej kłótni, niektórzy już zrywali się z ziemi, podnosili pięści na siebie, gdy wtem ktoś krzyknął:

— Na jeziorze łódź jakaś ku nam śpieszy!

W jednej chwili swary ucichły, wszyscy zwrócili spojrzenia ku Gopłu — w istocie widać tam było łódź ciężko wyładowaną, siwy starzec nią kierował. Łódź powoli dobiła do brzegu, stary kmieć z niej wysiadł, przywiązał barkę do pniaka topoli, sterczącego z ponad wody, i ku zgromadzonym podążył. Wszedłszy w środek koła obradującego, pokłonił się wszystkim, poczem rzekł:

— Słyszałem, że chleba łakniecie... otom przywiózł, co było w chacie; weźcie co jest na

łodzi; znajdziecie tam trochę mięsa, trochę piwa... czem chata bogata, tem darzy; posilcie się, a potem śpieszcie z wyborem, bo jak swarzyć się będziecie, to i na nas ciężar niewoli spaść może, jak spadł na braci naszych z nad Elby.

To powiedziawszy, pokłonił się powtórnie, i ręką wskazując łódź, zdawał się mówić:

— Bierzcie, co daję.

Lecz oni spoglądali po sobie wzrokiem pytającym, przypatrywali mu się ciekawie, bo jeszcze pewni nie byli, kto on — aż jeden wymówił wreszcie:

— To Piast, syn Choszyszka.

Na to imię wysunęło się kilku z poza pleców innych.

— Tak, to on! — potwierdzili — snać ci go znali.

Piast, syn Choszyszka, był to kmieć ubogi, lecz powszechnie szanowany, słynął bowiem z rozumu, serca i pokory.

— Piast, syn Choszyszka, niech nam panuje! — wymówił jeden, za nim drugi, trzeci, dziesiąty...

— Człek mądry, sprawiedliwy, gościnny, gospodarny i pracowity. Bogowie go przysłali w chwili swarów, byśmy je zakończyli — rzekli inni.

— Piast, syn Choszyszka, niech nam panuje! — powtórzyli ci i tamci, z razu cicho, szep-

tem, potem coraz głośniej, nakoniec wszyscy razem wykrzyknęli:

— Piast niech nam panuje!

Piast stał w pośrodku, zmieszany, zdziwiony; oni otoczyli go kołem i wołali: „panuj, rządź, opiekuj się nami!“

On się wymawiał, władzy przyjąć nie chciał.

— Gdzie mnie rządzić, — mówił — umiemci ja być panem w swej chacie, ale nie w książęcym zamku. Dzielniejszego wam trzeba.

Lecz im bardziej się wymawiał, tem więcej oni nalegali, aż wreszcie Piast, widząc, że nie ustąpią, prosił, by zostawili mu czas do namysłu, żeby zastanowili się jeszcze nad wyborem.

Więc zgodzili się na to. Kilku poszło do łodzi po żywność im przywiezioną — Piast wsiadł do niej i odpłynął.

Wśród zebranych panowało chwilę milczenie, patrzali po sobie, naradzali się wzrokiem, aż wreszcie wszyscy razem wykrzyknęli jednym głosem:

— Piast, syn Choszyszka, niech nam panuje!

Nazajutrz przed chatą Piasta kołodzieja stanęli wysłańcy ludu, niosąc kołpak książęcy, piórem ozdobiony; widząc tak stanowczą wolę narodu, nie wzdragał się on dłużej, przyjął kołpak i nazajutrz przeniósł się na zamek książęcy.

Postać tego Piasta jest niepewna, do bajecznych czasów liczy się jeszcze; krążą o nim

różne podania. Historya bajeczna powiada, iż kiedy pewnego razu ów Popiel okrutny, Chwostkiem przezwany, wyprawiał postrzyżyny starszemu swemu synowi i gości zjechało wiele na zamek, a on ich hojnie podejmował, służba mu dała znać, iż dwóch podróżnych, strudzonych drogą, stoi u wrót zamku i prosi go, by im spocząć u siebie pozwolił, — lecz Popiel, który przymiotów Słowian nie posiadał, zamiast przyjąć ich gościnnie, jak nakazywał obyczaj stary, kazał ich wyszczuć psami.

Opuścili dziedziniec zgorszeni jego niegościnnością podróżni i udali się do wsi, a idąc, spotkali ubogą chatę — wstąpili przeto do niej. Chata należała do Piasta, syna Choszyszka, kołodzieja, który również w dniu tym synowi postrzyżyny wyprawiał. Goście nie byli jeszcze zebrani, lecz Piast i żona jego Rzepicha przygotowania na ich przyjęcie czynili; jednakże, gdy ujrzeli podróżnych, przerwali pracę, i wyszedłszy naprzeciw, wprowadzili ich do chaty, na ławie posadzili, napoili, nakarmili, a gdy goście się zeszli i uczta się rozpoczęła, pierwsze miejsce podróżnym za stołem wskazali. Podczas postrzyżyn, gdy przyszło synowi nadać imię, Piast prosił jednego z podróżnych, aby go wyręczył; obcy gość chętnie to uczynił, wstał, zbliżył się do chłopca, i podniósłszy nad głową jego ręce, rzekł uroczystym głosem:

— Bóg mój jest Bogiem wszystkich. W Jego imieniu ojcowskiem, w Syna i Ducha Świętego imieniu, chrzczę cię imieniem Ziemowita; niechaj ci danem będzie widzieć twą ziemię szczęśliwą i spokojną.

To mówiąc, umoczył palec w stojącej w cebrze wodzie i na czole chłopca znak uczynił. Wszyscy zajęli się pięknem imieniem, nadanem chłopcu, winszować mu poczęli, a gdy wreszcie obcych gości przypomnieli, już ich w izbie nie było — zniknęli nagle.

Syn Piasta rósł zdrowo i pięknie, a w chacie starego kmiecia odtąd dziwnie pomyślnie się działo: miodu i piwa z beczek nigdy u niego nie ubywało, mąki i mięsa również — wszystko mnożyło się cudownie.

W tej powieści tkwi także pewna cząstka prawdy. W owe czasy przychodzili od zachodu i wschodu do Słowian pobożni misyonarze, by wiarę Chrystusa wśród nich krzewić; owi podróżni, których Popiel wygnał psami, a Piast przyjął tak gościnnie, może jednymi z takich byli,— może, trafiwszy na postrzyżyny, ochrzcili mu w istocie syna, — a że mnożyło się odtąd jadło i napój w chacie Piasta, to pewno dzięki jego i Rzepichy zabiegliwości i oszczędności; kochając syna, starali się przysporzyć mu mienia.

Co prawdą, co podaniem jest w tej powieści — tego na pewno twierdzić nie można, to tylko

pewna, że ród Piastów panował u nas długo bardzo, zyskał sobie miłość poddanych, a Polska stawała się coraz silniejszą.

Słowianie zwoływali wiece nie tylko wtedy, gdy potrzebowali wybrać nowego knezia, lecz we wszystkich ważniejszych chwilach. Na wiecach odbywały się narady około dobra publicznego, na wiecach sądzono głośniejsze sprawy, zbrodnie i występki. W późniejszych czasach takie zebrania przybrały nazwę sejmów.

Streszczenie części pierwszej

do wieku X.

Cudowna to rzecz pamięć: setki, tysiące wrażeń drobnych, większych, zapisujemy na delikatnych, szarych jej tkankach; setki, tysiące obrazów składamy do tej skarbnicy naszej, mózgiem zwanej, i leżą one tam sobie cicho, zapominamy o nich, nie wiemy nic, że się znajdują w nas, gdy naraz drobna okoliczność budzi te wrażenia i obrazy — stają one przed oczyma duszy naszej tak wyraźne, jakby rzeczywiście istniały, jakby to, coś przeżył, przebolał, pożegnał kiedyś, dawno bardzo, znowuż wróciło do ciebie — i cieszysz się lub smucisz temi wspomnieniami, cierpisz,

lub błogo ci na duszy. Takiego wrażenia doznałam dzisiaj. Pewne pamiątki, pozostałe po Tereni, jakie przeglądałam przez dni kilka, zbudziły w mej pamięci obrazy przeszłości. Zdawało mi się, iż jestem znowu w Meranie, dziewczynką jedenastoletnią, że na stoliku pali się jasno lampa, a my wszyscy z ciotką Ludmiłą otaczamy ten stół i czekamy cierpliwie, aż rozpocznie opowiadanie. Lecz ona nie śpieszyła się jakoś tego wieczora ze swoją powieścią, z uśmiechem łagodnym spoglądała po nas; poczem zatrzymawszy spojrzenie na Marcysiu i Waciu, którzy obok siebie siedzieli, rzekła:

— Powiedzcie mi, chłopcy, co się wam najwięcej podobało z tego, coście o Słowianach słyszeli.

— Najlepiej mi się podobało, kiedy ciocia opowiadała, jak to oni skakali przez ogień, tańczyli koło niego i borykali się ze sobą — odparł Marcyś bez namysłu.

— I mnie także—poparł jego zdanie Wacio.

Roześmiałyśmy się chórem my dziewczęta, ale ciocia Ludmiła uspokoiła naszą wesołość.

— Widzę, iż uważnie słuchaliście — rzekła seryo; — to mnie cieszy i zachęca do dalszych opowiadań; lecz dziś nic się nowego odemnie nie dowiecie, za to ja dowiem się, ileście odnieśli korzyści z tych opowiadań.

Na te słowa serce zabiło mi strachem, poczęłam w myśli porządkować na prędce to, co przez kilka wieczorów usłyszałam; całe nasze kółko zdawało się być mocno poruszone: Magdzia coś Emci szeptała do ucha, Mania i Adelka wylękłemi oczami patrzały na ciotkę, Zosia żartowała z Wacia i Marcysia, że pewno oni najwięcej powiedzą, a chłopcy, zgadując, iż z nich żartuje, gniewali się na nią. Jedna Terenia siedziała spokojna, milcząca.

— To dobrze — rzekła dopiero po chwili namysłu, — uporządkuje mi się w głowie to wszystko, com się dowiedziała przez te dni kilka, bo teraz straszny chaos w niej panuje.

Ciocia Ludmiła uśmiechnęła się do niej.

— Zawsze rozsądną dasz odpowiedź — odparła, — a kiedyś rada z mego projektu — dodała następnie, — powiedz mi, czy wiemy na pewno, w jakiej epoce Słowianie osiedlili się w Europie i gdzie były ich siedziby?

— Ściśle określić epoki, w której Słowianie do Europy przyszli, niepodobna — odparła spokojnie Terenia, — to tylko wiemy, że w czasach bardzo dawnych, że starożytnym Rzymianom byli oni już znani; co do ich siedzib, to wiemy, iż zamieszkali szerokie przestrzenie ziemi, jakie rozpościerają się między Baltykiem a morzem Czarnem, między rzeką Elbą a Wołgą.

Patrzałam z radością na Terenię — jej powodzenie cieszyło mnie zawsze więcej, niż moje własne; z radością i pewną zazdrością czułam, że gdy na mnie kolej odpowiednia przyjdzie, nie zdobędę się na taki spokój; mnie za nią biło serce teraz tak silnie.

— A czy pamiętasz, na jakie plemiona dzielili się Słowianie i jak te plemiona się grupowały? — zapytała znowuż ciocia, której trzeźwe odpowiedzi Tereni widoczną przyjemność sprawiały.

— Pamiętam — odrzekła Terenia: — plemiona słowiańskie tworzyły cztery grupy: zachodnią, wschodnią, południową i środkową; do zachodniej należeli: Wilcy, Lutycy, Obotryci, Czesi, Łużycanie i Morawianie; do południowej: Serbowie, Kroaci, Słowacy; do wschodniej: Połoczanie, Krywiczanie, Wołynianie, Nowogrodzanie, Drewlanie, oraz wiele jeszcze innych, które zlawszy się razem utworzyły państwo Ruskie; do środkowej: Polanie, Mazowszanie, Łęczycanie, Chrobaci, Ślązacy, Pomorzanie, Kaszubi.

Ciocia uśmiechnęła się z zadowoleniem.

— Dobrze, bardzo dobrze! — rzekła, poczem zwróciła się do mnie:

— Teraz Jadwinia mi powie, jaki był charakter Słowian.

Czułam, jak się zaczerwieniłam; spuściłam głowę i poczęłam miąć bez litości róg mego fartuszka; w głowie mej był straszny zamęt, nic

przypomnieć sobie nie mogłam. Ciocia mnie ani łajała, ani odwagi dodawała — i zmieszane myśli ułożyły się jakoś, serce bić wolniej poczęło, podniosłam głowę.

— Byli pobożni — poczęłam mówić trochę drżącym z razu głosem, lecz stopniowo coraz więcej równym, — łagodni, pracowici, gościnni, hojni, ludzcy nawet dla wrogów, lecz między sobą swarzyli się często i zamiast się łączyć, żyli podzieleni na drobne rody, przez co Niemcy łatwo ich ujarzmiali. Niemiec był to wróg odwieczny Słowian.

— I jest nim dotąd, wszak prawda, ciociu? — odezwała się niepytana Terenia.

— W istocie — odparła ciotka Ludmiła, — dlatego też Słowianie powinni starać się żyć w zgodzie i łączyć się, aby mogli opór im stawiać.

— Powiedz mi — rzekła, zwróciwszy się teraz do Zosi, — jakie było urządzenie społeczne u Słowian?

— Patryarchalne — odparła bez namysłu Zosia: — dzielili się na rody, nad każdą rodziną czyli rodem miał władzę nieograniczoną ojciec, zwany starostą lub władykiem; ojcowie w ważniejszych chwilach zbierali się na wiece, były to zebrania starszyzny, i radzili o potrzebach narodu; gdy zaś wojna groziła, wybierali najdzielniejszego z pomiędzy siebie i powierzali mu dowództwo, a cały naród przysięgał wodzowi

wojów (wojewodzie) posłuszeństwo. Po skończonej wojnie wojewoda składał władzę i był znowu tylko kmieciem lub starostą.

— Jabym tam nie złożył -- odezwał się Marcyś.

— Tak też w końcu zrobili — odparła Zosia — nie oddali władzy, potem synom ją przekazali. Tak wytworzyła się u Słowian władza monarchiczna i tak powstały państwa słowiańskie, wszak prawda, pani? — tu zwróciła się z pytaniem do ciotki Ludmiły.

— Tak jest — odparła ciocia, — władza tych monarchów była nieograniczona: byli oni panami życia i mienia swych poddanych, cała ziemia była ich własnością; kmiecie nie byli teraz właścicielami ziemi, jaką uprawiali, lecz dzierżawcami swych kneziów. A czy pamiętasz, Zosiu, jakie były główniejsze państwa słowiańskie?

— Pamiętam—odparła Zosia:—Czeskie, Morawskie, Polskie, Serbskie, Bułgarskie i Ruskie.

— Czeskie i Morawskie nie tworzą dziś udzielnych państw, lecz do Austryi należą; Polskie podzielone zostało przez trzy mocarstwa — objaśniła ciotka Ludmiła; — Ruskie istnieje pod nazwą cesarstwa Rosyjskiego; Serbskie i Bułgarskie po długich latach niewoli, gdyż Turcy podbili je w XV wieku, wyzwoliły się nakoniec i cieszą się dziś swobodą, tworzą osobne państwa.

— Jaką religię mieli Słowianie w czasach, kiedy patryarchalne było u nich urządzenie? — zapytała ciocia Manię.

Mania spuściła oczy.

— Bałwochwalczą — szepnęła niepewnym tonem i umilkła.

— Cóż za bóstwa czcili? zapytała ciocia.

Mania, zamiast odpowiedzi, błagalnym wzrokiem spojrzała na Magdzię — zdawała się wzywać jej pomocy, — lecz i tę pamięć widocznie zawiodła; śmielsza jednak i sprytniejsza od Mani, nie zakłopotała się swem położeniem.

— Ciotuchno kochana, doprawdy, tak i ja nie pamiętam — rzekła; — wiem tylko, iż w IX wieku wyrzekli się bałwochwalstwa Czesi, Morawianie, Serbowie i Bułgarzy, a w X przyjął wiarę chrześcijańską Włodzimierz, wielki książe ruski, i Mieszko I, kneź Polan.

To powiedziawszy, zadowolona zupełnie z siebie, z miną tryumfującą spojrzała po wszystkich; Mania tymczasem przypomniawszy coś sobie z mitologii, podniosła śmielej głowę.

— Słowianie czcili jednego boga najwyższego, któremu różne nazwy nadawali, jak: Świątowid, Perun, Łada, Jese, Prowe. Radegast — poczęła; — czcili też słońce i ziemię, i na cześć tych bóstw na początku czterech pór roku odprawiali uroczystości; czcili jeszcze bardzo wiele bóstw podrzędnych.

— A jakie to były śliczne te uroczystości! Czemu to dziś nie obchodzą święta Kupały? — odezwała się Anielcia.

— Toś zapomniała o sobótkach? — zwrócił jej uwagę Marcyś. — Jeśli kiedy wrócę do naszych gór kochanych, to każę zawsze 23 czerwca układać stosy z drzewa i tańczyć kmieciom koło nich, a potem zaproszę ich na ucztę do dworu.

— Jak widzę, każde z was coś zapamiętało z tego, co mówiłam przez te trzy wieczory — rzekła ciocia, zwracając się do Marcysia; — to mnie zachęca do dalszego opowiadania. Może mi tylko Emcia jeszcze powie, czem zajmowali się Słowianie w epoce, gdy patryarchalne było u nich urządzenie.

— Pasterstwem, rybołówstwem, łowiectwem i pszczelnictwem — odparła Emcia.

— A czy uprawiali sztuki piękne?

Emcia zamyśliła się, podniosła w górę siwe oczy, główka jej chwilę pracowała, poczem rzekła wolno, pewnym siebie tonem:

— Uprawiali budownictwo, gdyż mieli piękne świątynie; rzeźbiarstwo, bo posągi bóstwom stawiali; malarstwo, ponieważ świątynie ich były ustrojone malowidłami; śpiew i muzykę, gdyż podczas uroczystości grali na gęślach i pieśni nucili.

— A zatem i poezyę — wtrąciłam niespodzianie, zdziwiwszy się sama, skąd mi ta odwa-

ga przyszła, i umilkłam naraz, przestraszona tą śmiałością.

— Słuszna twoja uwaga — odparła ciotka Ludmiła: — uprawiali poezyę, gdyż tworzyli pieśni, baśnie i podania. Czesi mają bardzo piękny utwór z tych czasów, opisujący walki, jakie toczyli w obronie swej ziemi z Frankami, plemieniem germańskiem. Polanie, prócz drobnych pieśni, baśni, podań, które z ust do ust przechodząc, nas doszły, piśmiennego pomnika nie zostawili; a może i zostawili, lecz zaginął wśród walk, jakie prowadzili z sąsiadami; tego na pewno powiedzieć wam nie mogę; zato mogę przytoczyć wyjątek z poematu czeskiego, który nosi tytuł „Zabój, Sławój, Ludiek," gdyż umiem część jego na pamięć. — I nie czekając, aż prosić ją zaczniemy, tak poczęła:

Z czarnego lasu wyglądała skała.
Zabój na skały wystąpił czoło,
Po wszech krainach spojrzał wokoło —
Cała kraina smutkiem powiała
I on głębokim zawodzi płaczem.
Siedzi tak długo, w długiej tęsknicy,
Aż się, jak jeleń schwyci na nogi,
Na dół przez bory, przez puste drogi
Pędzi po mężach; był u każdego,
Z włości do włości — w całej ziemicy;
Każdemu w ucho rzekł coś skrytego,

Bogom się skłonił,
Dalej pogonił.
I minął dzień,
Minął wtóry dzień —
Gdy w trzecim spędził księżyc nocy cień,
W las czarny wszyscy przyszli mężowie,
Z nimi Zabój współ.
Poszli w dół,
W najgłębszy parów,
Śród leśnych czaharów;
I Zabój jeszcze
W głębszym parowie stanie.
I bierze w ręce warito [1]) wieszcze:
„Męże bratnich serc,
Męże ognistych wzroków,
Wam pieję pieśń
Z padołu najgłębszych mroków.
Od serca płynie pieśń,
Od serca głębi ku wam,
A w sercu smutek sam:
„Poszedł ojciec za ojcami,
Zostawił dziedzice
Małe dziatki sierotami
I swoje lubice.
Nie zostawił żadnej głowy,
Nie rzekł komu: „bracie, przemów
Ojcowskiemi słowy.“

. . . . . .

[1]) Gęśl.

Z uwagą wielką słuchaliśmy cioci. Serdecznie mi żal było Czechów, lecz niebawem pocieszyłam się. Ciotka Ludmiła, przerwawszy deklamacyę, powiedziała nam, iż poemat opiewa dalej, jak Zabój namówił Czechów, by uzbroili się przeciw najezdzcom, jak stanął razem ze Sławojem na ich czele i pokonali strasznego Ludieka, wodza nieprzyjaciół.

— Posłuchajcie teraz opisu zwycięstwa Czechów — rzekła ciotka. Tu poczęła znowu deklamować:

. . . . . .

I skoczą hufce na rącze konie —
Trop w trop za wrogiem puszczą pogonie.
Cios w cios, już zemstę wywarli krwawą —
Znikają im równiny
I lasy i wyżyny —
Wszystko precz znika w lewo i w prawo.
Huczy strumień wezbrany,
Sadzą w górę bałwany,
Huczą wojacy i skok za skokiem
Walą najezdzcy wzdętym potokiem —
Dużo ich woda topi w swem łonie,
A ziomków niesie ku drugiej stronie.
Długo, szeroko, jak starczy pole,
Drapieżny jastrząb rozwija
W górze szerokie skrzydeł półkole,
Ptaków gromady rozbija.

Wojsko Zaboja puszcza zagony
Długo, szeroko, na wszystkie strony —
Kupa najezdzców spędzona, zbita...
Resztę zdeptały kopyta.

. . . . . .

Z wyciągniętemi rękami przybiegliśmy wszyscy do cioci, by jej podziękować za miły wieczór. Ona uściskała każde z kolei.

— Jutro powrócę znowu do przerwanych opowiadań — rzekła. — Słuchacie z uwagą, korzystacie z tego, co mówię, praca moja niedaremna, więc z ochotą do niej zasiądę.

CZĘŚĆ DRUGA.

I.

Chrzest Polan.

Na zamku gnieźnieńskim panował Mieszko, potomek Piasta kołodzieja; rządził on mądrze i sprawiedliwie, więc lud go kochał i szanował. Lecz od niejakiego czasu niepokojące wieści krążyły wsród Polan, a roznosili je ci, co przy księciu na zamku mieszkali. Polanie poczęli podejrzliwem okiem patrzeć na swego knezia, badać go, podpatrywać. Niestety, czyny potwierdzały krążące pogłoski; mówiono coraz głośniej, iż Mieszko wiarę ojców rzucić zamierza, że wysłał swatów do sąsiedniej krainy Czech, prosząc panującego tam króla Bolka, by mu swą siostrę Dąbrówkę dał za żonę; mówiono, że Bolko przychylną dał odpowiedź, lecz za warunek położył, aby Mieszko

przyjął jego wiarę, tę samą wiarę, którą wyznawali Niemcy, którą mieczem i ogniem wśród Słowian szerzyli, wiarę im nienawistną, wiarę której godłem był krzyż.

Jakoż w istocie do Gniezna zjechała Dąbrówka, Mieszko wziął ją za żonę i oddalił za jej przybyciem dawne żony, których zwyczajem pogańskim miał kilka. Z Dąbrówką przybyło do Gniezna kilku księży chrześcijańskich, a ludzie, co przy dworze księcia mieszkali, mówili, że lada dzień Mieszko każe obalać posągi bóstw pogańskich, palić chramy, a nowe świątynie na cześć Boga swej żony stawiać i chrzcić wszystkich, opornych zaś śmiercią karać będzie.

Z Dąbrówką prócz księży przyjechało też kilku rzemieślników, z których jedni poczęli wystawiać jakieś mury i mówili, że kościół chrześcijański budują, drudzy wyrabiali ze złota i srebra różne naczynia i posągi.

Wzburzenie było silne. Polanie już nie wątpili, że pogłoski mylne nie są — lada dzień oczekiwali, iż bóstwa ich Mieszko niszczyć każe... Smutek powiał po ziemi Polan, starostowie schodzili się po chramach, gajach i lasach, radzili, jak bronić swych bogów i świątyń, wiary swych ojców... Mieli nadzieję, iż bogowie nie dozwolą zniewagi, że sami ukarzą winnego, lub że Mieszko, który w latach dziecinnych łaski bogów doznał, nie wyrzeknie się ich; krążyło bowiem podanie,

iż Mieszko urodził się niewidomym i że nagle podczas postrzyżyn przejrzał... Czekali cierpliwie, rozpaczy nie oddając się jeszcze.

Tymczasem w Gnieźnie, w Kruszwicy, w innych miastach, w siołach sąsiednich i dalszych, rzeczy szły wciąż jednakowym trybem. Mieszko żył z Dąbrówką, lecz bogów i świątyń pogańskich nie znieważał, nie bronił też odprawiać obrzędów starej wiary — wzburzenie poczęło się uspokajać. Starzy łudzili się, że może to wszystko próżne pogłoski, a gdy patrzyli na wznoszone przez robotników czeskich mury, mówili:

— Któż wiedzieć może, czyli kneź nie stawia tej świątyni na cześć Trigłowa, Światowida, lub innego bóstwa naszego? Jest-ci w Retrze piękna świątynia, jest w Arkonie, dlaczegóżby w Gnieźnie być nie miała?

Młodzi, który pod wpływem ojców na obcych przybyszów ze strachem spoglądali, poczęli się z nimi oswajać, boć widzieli, że to nie Niemcy, że nie mordują ich, nie rabują mienia, kajdan niewoli nie nakładają, lecz łagodnie przemawiają i czynią każdemu dobrze...

Kapłani, których z Czech przywiozła Dąbrówka, a których oni tak się obawiali, zaczepiali ich po drogach, do chat ich zachodzili, opowiadali im o swoim Bogu, zachęcali do uznania Go i przyjęcia ich wiary, wiary Chrystusa, która każe ludziom miłować się między sobą, lecz nie

zmuszali nikogo; nie łajali nawet, gdy kto oświadczył stanowczo, iż za nic swych bogów nie opuści, a takie piękne rzeczy z życia Chrystusa opowiadali, tak sławili Jego cnoty, rozum, boskość, iż niejednego brała ochota zostać Jego wyznawcą... Świadczyli też tyle dobrego — leczyli chorych, biednych wspierali, sieroty otaczali opieką. Kilkakrotnie zdarzyło się też, że w nocy ktoś bóstwa pogańskie, stojące po drogach, obalił, rankiem znaleźli je ludzie porąbanemi; kto to uczynił, tego nikt nie wiedział, lecz widocznem było, iż bogi nie pomściły się za zniewagę, nie ukarały winnego, nie odkryły go ludowi — wiara w ich potęgę zachwiała się wśród młodzieży.

Coraz głośniej mówili ci, co na zamku przy kneziu mieszkali, iż Mieszko nową wiarę przyjmie, świątynie nowemu Bogu postawi i lud skłoni do przyjęcia chrztu, — lecz pogłoski te coraz słabsze wywoływały wzburzenie wśród Polan. Jedni przestali wierzyć pogłoskom, które krążyły, a nie spełniały się nigdy, drudzy mówili:

— A choćby i tak było, to cóż?... przyjęli Czesi, przyjęli Serbowie, przyjęli inni nową wiarę, dlaczegóżbyśmy jej przyjąć nie mieli?

Aż dnia jednego, a było to na wiosnę roku 965, Mieszko, zwoławszy starostów z całego grodu i ze wsi okolicznych, powiedział zebranym, iż obznajmiwszy się z wiarą Chrystusową, przekonawszy się, jak piękną jest, postanowił ją

Przyjęcie wiary chrześcijańskiej.

przyjąć i pragnie, by lud poszedł za jego przykładem, że zmuszać nie będzie nikogo, lecz nagrodzi hojnie tych, co z nim razem chrzest przyjmą, i że naznacza im dzień piątego marca za ostateczny do namysłu, a kto w dniu tym przyjdzie na dziedziniec zamkowy, ten ochrzczonym zostanie i darami obdarzon.

W posępnem milczeniu rozeszli się starostowie i znowuż zbierać się, radzić poczęli w tajemnicy. Tymczasem zbliżył się dzień piątego marca — na dziedzińcu zamkowym od rana tłoczno było; z wielką radością dowiedziała się o tem Dąbrówka.

Mieszko ani się domyślał, ilu miał już chrześcijan między poddanymi. Biskup Jordan, ksiądz Bohowita, oraz inni, którzy przybyli z Dąbrówką do Gniezna, cicho lecz pilnie pracowali i praca ich wydała owoce. Dąbrówka posłała czekającym białe szaty, poleciwszy, aby ci, co chrztu pragną, przywdzieli je; od kilku miesięcy już gotowano te szaty na zamku, a jednak okazało się ich za mało. Przybrawszy się w nie, podzielili się na gromadki — po jednej stronie stanęły kobiety, po drugiej mężczyźni. Słońce już było wysoko na niebie, dzień był jasny, pogodny, jakby na uczczenie tak wielkiej uroczystości; na dziedzińcu zamkowym ukazał się wreszcie biskup Jordan w infule na głowie, w kapie srebrzystej — w jednej ręce trzymał kropidło, w drugiej pastorał.

Powaga, słodycz i cicha radość, jakie malowały się na jego obliczu, budziły w czekających uczucia im nieznane w sercach: czci i uwielbienia pełnego pokory.

Przed biskupem szło biało ubrane chłopię i niosło naczynie miedziane, pełne wody; biskup od czasu do czasu maczał kropidło w wodzie, zatrzymywał się przy pojedyńczych grupach, błogosławił je i kropił głowy, a czyniąc w powietrzu znak krzyża, mówił: „Chrzczę ciebie w imię Ojca, Syna i Ducha Świętego!“ — poczem grupom pojedynczym imiona nadawał, na przemian do mężczyzn i niewiast się zwracając. Za biskupem postępowali Dąbrówka i Mieszko, obok nich mali chłopcy, strojnie przybrani, którzy dźwigali ciężkie szkatułki, pełne kosztowności. Kneź i knehini brali z nich złote krzyżyki, medaliki, różańce, obrazki święte i dary te między świeżo ochrzczonych rozdawali. Minąwszy dziedziniec, skierowali się wszyscy do nowej świątyni. Nie była ona jeszcze zupełnie ukończoną, lecz dach już ją pokrywał i biskup Jordan poświęcił ją dnia poprzedniego. Na wielkim ołtarzu woskowe świece gorzały, kilku przybranych uroczyście kapłanów otaczało go. Zbliżywszy się do tego ołtarza, biskup Jordan mszę odprawiać począł. Padła na kolana Dąbrówka, za jej przykładem Mieszko, oraz ci wszyscy, co chrzest już przyjęli i za kneziem tu przyciągnęli.

Śpiewy uroczyste zabrzmiały, pełne radości — dzieło wielkie dokonanem zostało, dzieło nawrócenia ludu całego, bo nie wątpiono, że jak ta garstka, tak i reszta nawróci się równie łatwo.

Po skończonem nabożeństwie odbył się obrzęd chrztu knezia, a potem ksiądz Bohowita pobłogosławił związek małżeński Mieszka z Dąbrówką. Mieszek miał się zwać odtąd Mieczysławem.

Opuściwszy kościół, Mieszko z żoną, księżmi i tymi, co chrzest przyjęli, w uroczystym pochodzie przeszli miasto całe, a gdziekolwiek zobaczył książę ślad pogaństwa, posąg bóstwa, lub świątynię, kazał natychmiast niszczyć je i w owem miejscu krzyż, godło wiary Chrystusa, zatykać.

U wszystkich źródeł, na wszystkich drogach rozstajnych, w gajach, w których Słowianie ofiary stawiali, wszędzie godło nowej wiary wzniesionem zostało.

Reszta dnia zbiegła w zamku na uczcie, na którą świeżo nawróceni zaproszeni zostali.

Nazajutrz Mieszko wydał rozkaz, aby na całej ziemi Polan pogańskie świątynie zburzyć i bogów popalić, wszędzie kazał krzyże i kościoły chrześcijańskie stawiać.

Dzieło nawrócenia szło zwolna, lecz szerzyło się coraz dalej; Mieszko nie zmuszał nikogo, ale zachęcał i nagradzał posłusznych. Starzy odprawiali stare obrzędy, obalali nowowzniesione krzyże; nie karano ich za to, pozwalano im składać

ofiary swym bóstwom, palić ciała umarłych, lecz krzyże napowrót stawiano.

Ta łagodność, a przytem wytrwałość, zwalczyła najuporczywszych; wiara chrześcijan przyjętą została na całej ziemi Polan, Polskę do rzędu państw chrześcijańskich policzono, a zawdzięczamy to Dąbrówce [1]), żonie Mieszka I, która męża do przyjęcia chrztu nakłoniła.

II.

Państwo Mieszka.

Niewielkie to było państwo, jakie Mieszko po ojcu swoim Ziemowicie odziedziczył — składała je właściwa Polska, a raczej Wielkopolska z miastami: Gnieznem, Kruszwicą, Poznaniem, Łęczycą i Sieradzem; Mazowsze rozciągające się na prawym brzegu Wisły z miastem Płockiem — i pagórkowate Kujawy, które na lewym brzegu Wisły się znajdowały. Państwo to graniczyło na północ z Pomorzem i Prusakami, odwiecznymi wrogami Mazowsza; na wschód z Litwinami, z którymi często krwawe zapasy wiodło; na południe ze Śląskiem i Chrobacyą; na zachód z państwem Niemieckiem. Rzeki: Wisła, Warta, Noteć, Bug, i Bzura przebiegały je; z jezior najgłówniej-

[1]) Siostra króla czeskiego Bolesława.

sze było Gopło. Najstarsze ze wszystkich miasto Gniezno położone było wśród jezior i stawów, otoczone wieńcem wzgórz; bajeczne podanie powiada, iż zbudował je Lech. Było ono zrazu stolicą kneziów Polan, lecz Popiel II przeniósł stolicę do Kruszwicy; ze śmiercią jego, gdy Piast kneziem obrany został, znowuż Gniezno uznano głównem miastem w państwie, lecz Mieczysław pod koniec życia przeniósł stolicę do Poznania. Niewiele później od Gniezna wzniósł się Poznań nad rzeką Wartą, ku południowi nad rzeką Bzurą Łęczyca, a niżej jeszcze Sieradz, otoczony rozległemi łąkami, przez które Warta płynęła. Wszystkie te miasta istnieją do dziś dnia, lecz obecnie najpiękniejszem z nich jest Poznań. Na Mazowszu głównem miastem był wówczas Płock, leżący nad Wisłą; Warszawa o wiele później powstała.

Tak w Wielkopolsce, jak na Mazowszu, ogromne obszary ziemi były wtedy niezaludnione, osady ludzkie rzadkie bardzo — cały kraj przedstawiał jedną wielką puszczę leśną, połyskującą jeziorami i bagnami, poprzeżynaną tu i owdzie srebrnemi wstęgami rzek i licznych strumieni, a między temi lasami, bagnami, jeziorami i rzekami zrzadka gzieniegdzie widać było drewniany zamek, otoczony murem, a koło niego wznoszące się skromniejsze zabudowania.

Ówczesne rzeki i strumienie jakże niepodobne były do dzisiejszych; nabrzmiałe wodą, którą ledwo koryto pomieścić mogło, szumiały głośno; a jakie niezliczone roje ryb żyły w tych wodach, nie łatwo to sobie dziś wyobrazić. Lasy były olbrzymie i tak gęste, iż odważnym być musiał nielada ten, co w ich głąb się zapuścił, boć nic łatwiejszego było, jak zabłądzić w nich, a wtedy śmierć od dzikiego zwierza lub straszniejsza jeszcze śmierć z głodu czekała śmiałka

Wszelkie gatunki drzew, jakie tylko w kraju naszym rosną, więc olbrzymie dęby, olchy, klony, jesiony, wiązy, modrzewie, sosny, lipy, tworzyły te gąszcze, splatając razem swe gałęzie; u stóp ich miękki mech zielonym kobiercem zaścielał las — wśród niego najróżnorodniejsze gatunki grzybów, pierzaste paprocie i różowy wrzos tworzyły jakby klomby. Gdy zniszczony wiekiem, który z tych olbrzymów powalił się na miękki mech, to leżał tam wśród paproci i wrzosu nieporuszony i próchniał powoli, a wokoło niego młode latorośle rosły, mężniały i powoli zapełniały puste miejsce.

Lasy te pełne były pszczół, które w pniach spróchniałych drzew się roiły — stąd zwano je miodopłynnemi; pełne dzikiego zwierza: tury, żubry, już dawno wytępione, całemi stadami w owych czasach chodziły po tych gąszczach, zgrabne łosie o rogach rosochatych przebiegały

je, a poza temi lasami, wśród zielonych błoni pasły się tabuny dzikich koni i osłów; nad strumieniami gnieździły się całe miliony bobrów, budując dziwaczne swe pałace, a nad temi lasami, puszczami, łąkami, jeziorami i rzekami unosiły się chmury najróżnorodniejszych ptaków, wśród których szybkolotny sokół królował, o którego ubiegali się myśliwi, gdyż wyuczony wybornie im w łowach pomagał.

Lesistość ta i wodnistość kraju broniły go od napaści wrogów. Miała Polska w owej epoce bardzo niewiele obronnych grodów — lasy i bagna je zastępowały i częstokroć lepszą były obroną od najsilniejszych zamków i twierdz.

Chaty kmiece, które wznosiły się koło uprawnych pól, wielce się też różniły od dzisiejszych; najczęściej w jednej izbie, w której okien i komina nie było, mieścili się razem ludzie i zwierzęta; w dachu znajdował się otwór, pod tym otworem rozniecano ognisko, gdy chciano sobie jeść ugotować, a dym otworem w dachu się znajdującym uchodził pod obłoki. Wszystkie prawie zabudowania ówczesne, nawet zamki książęce, były drewniane, gdzieniegdzie tylko, ku podziwieniu ludności okolicznej, wznosił się kościół murowany.

Prostota wielka panowała w ówczesnych obyczajach, w ubiorze i jadle. Rolnictwo, bartnictwo, rybołówstwo, hodowla bydła lub koni

były głównem zajęciem kmieci; z rozmaitych gatunków zboża najwięcej uprawiano pszenicę, owies i jęczmień; len i konopie były też znane. Rycerze większą część życia na usługach knezia spędzali; gdy mu potrzebni nie byli, łowami czas sobie skracali; o nauce myślał ten tylko, co księdzem był lub na księdza się przysposabiał; kneziowie nawet pisać nie umieli. Co do przemysłu, ten nizko stał jeszcze bardzo za Mieszka i jego następców Piastów.

Rzemieślnicze osady gnieździły się najczęściej w pobliżu zamków lub klasztorów — kmiecie bowiem sami sobie wszystko robili, nie potrzebowali przeto ich pomocy. W takich osadach rzemieślniczych mieszkali: łagiewnicy, którzy naczynia drewniane robili; zduny, którzy z gliny je lepili; cieśle — ci stawiali dwory pańskie; korabnicy — ci zbijali statki do przewozu zboża po rzekach; stolarze, szewcy, krawcy, kołodzieje, którzy wozy robili; tokarze, mularze, tkacze, nakoniec kowale, najwięcej cenieni ze wszystkich ówczesnych rzemieślników, gdyż wyrabiali oręż, tarcze, pancerze i szyszaki, jednem słowem zasłaniali rycerzy od pocisków wroga. Obok osad rzemieślniczych przy zamkach gnieździły się jeszcze osady służebne, które składały się ze służby kuchennej księcia; tu należeli: kucharze, piwowary, miodosytnicy i piekarze; ci, gdy książe puszczał się w podróż po kraju, towarzyszyli mu zawsze.

W licznym orszaku panów i służby książęta odbywali owe podróże; wieźli też zwykle ze sobą namioty, które, gdy noc zaskoczyła, kazali rozbijać wśród łąk lub puszcz leśnych i w nich spoczynek znajdowali, bo w skromnych mieszkaniach swych rycerzy nie mieli chęci nocować; nizkie i ciasne były mieszkania, lecz panowie nie dbali o nie, bo większą część życia na dworze przy księciu spędzali. Koło monarchy wszystko kupiło się wówczas, a włości pańskie albo pustką stały, albo żona wiodła w nich ciche, samotne życie, pilnując domu, dziatwę wychowując i czekając cierpliwie, rychło-li syty trudów bojowych i życia dworskiego mąż do niej powróci. I przybywał od czasu do czasu, lecz zabawiwszy dni kilka, znudzony bezczynnością, wracał na dwór książęcy, a żona znowuż samotne lecz czynne wiodła życie. Niewiasty ówczesne, żony i córki rycerzy, zarówno z żonami i córkami kmieci same przędły nici, tkały płótno, piekły ciasto, dzieci niańczyły, szyły odzież, prały bieliznę, sadów doglądały — jednem słowem nie brakło im zajęcia... Czasami rycerz zabierał żonę i dziatwę ze sobą na dwór książęcy, a wtedy żona jego towarzyszką księżnej była, dzieliła z nią zabawy dworu, dziatwa zaś rosła razem z dziatwą książęcą, a służba pilnowała domu i mienia pańskiego — lecz zdarzało się to rzadko.

Niewiasty, które w domu cicho pracowały, nie widywały prawie obcych, bo rzadko kiedy rycerz we własnym domu wyprawiał uroczystość, chyba odwiedziny książęce lub poświęcenie kościoła skłaniały go do tego; lecz wówczas występował wspaniale, nie żałował niczego. Stare przysłowie: „czem chata bogata, tem rada“ sprawdzał. Co było zapasów w domu, co skrzętna gospodyni latami w śpiżarni i piwnicy nagromadziła, to wszystko kazał wystawiać na stoły, które, gdy izby gości pomieścić nie były w stanie, pod namiotami umieszczano. Miód, piwo, a często i wino domowej przyprawy, pieczone mięsiwa, ciasto — oto były przysmaki, któremi raczono gości.

Mieszkania rycerzy nieco wygodniej niż chaty kmiece były urządzone, lecz z pewnością nie wygodniej, niż chaty dzisiejszych kmieci. Domy były najczęściej z drzewa modrzewiowego budowane, bogatsi ściany izb kobiercami wyścielali, w oknach były szyby z pęcherza lub rogu cienko rzniętego, przez które niewiele światła wchodziło. Zimową porą zasuwano te okna drewnianemi okienicami i rozpalano ogień na kominie, by światło dawał; świece woskowe zapalano tylko w czasie uroczystości. Dębowe ławy i stoły, u bogatych kryte kobiercami, zapełniały wnętrze mieszkania. Do pańskich izb przypierały czeladnie, a do tych stajnia i śpichrz. Dwory pańskie ota-

czane bywały wałem i fosą dla bezpieczeństwa; jednakże najczęściej w razie napadu nieprzyjaciela rycerz żonę i dzieci do zamku odsyłał, a sam szedł z bronią przeciw wrogowi.

Takie było państwo Mieszkowe, takie w niem obyczaje za jego panowania, a niewiele się w niem zmieniło za jego następców Piastów — przybyło tylko trochę więcej ziemi uprawnej, ludzi, osad, podniosło się kilka nowych miast i zamków obronnych.

III.

Bolesław Chrobry.

Było to roku 1000 — w mieście Gnieźnie ruch wielki panuje, lada chwila oczekują w niem bowiem przybycia Ottona III-go, cesarza Niemiec — na wszystkich ulicach tłoczno, gwarno i wesoło. Znany z pobożności Otton III-ci zapragnął odwiedzić grób świętego Wojciecha, którego ciało Bolesław sprowadził do Polski z sąsiedniej Polanom ziemi pruskiej, gdzie był zamordowany przez dzikich Prusaków za to, iż chciał wiarę Chrystusa wśród nich szerzyć. Mówiono też, że inna jeszcze pobudka skłoniła cesarza do nawiedzenia Gniezna — oto chciał on poznać Bolesława, który po ojcu swym Mieszku władzę kneziowską nad Polanami odziedziczył,

a rządząc mądrze i dzielnie, zyskał sławę nie tylko wśród swoich, lecz i wśród obcych.

Zwykle taką pielgrzymkę pobożny, choćby z najdostojniejszej rodziny pochodził, choćby to był sam król, sam cesarz — odprawiał boso, w koszuli.

Wiedział o tem Bolesław, więc kazał od samego Poznania aż do Gniezna i przez Gniezno całe aż do kościoła Wniebowzięcia Panny Maryi, gdzie spoczywały zwłoki świętego męczennika, wysłać drogę czerwonem suknem i na spotkanie cesarza w licznym orszaku rycerstwa podążył.

Około południa pobożny orszak ujrzał wśród błyszczących zdala jak wielkie szmaragdy jezior i stawów naprzeciw siebie mury Gniezna, otoczone wieńcem wzgórz. Przodem szedł Otton III boso, w koszuli, obok niego Bolesław Chrobry w świecącej zbroi, w hełmie na głowie, za nimi na koniach panowie niemieccy i rycerstwo polskie, z których jeden wiódł konia Bolesławowego, drugi Ottona; za tymi szli łucznicy i tarczownicy, którzy stanowili piechotę Bolesława. Rycerstwo polskie strojnie i bogato było przybrane, wszystko w jedwabiach, w złocie, a każdy oddział inną barwę miał na sobie — błękit, purpura, szmaragd mieszały się tu razem i tworzyły olśniewającą grę kolorów.

Minąwszy mury otaczające miasto, weszli do środka i skierowali się ku górze, zwanej Lecho-

wą, na której wznosił się kościół Wniebowzięcia Panny Maryi, wspaniała murowana świątynia.

W progu kościoła spotkał cesarza, otoczony młodszymi kapłanami, biskup poznański Ungier i poprowadził go do wnętrza, gdzie w samym środku kościoła wznosiło się wspaniałe mauzoleum, mające na ołtarzu trumnę, ozdobioną srebrnemi blachami, na których zasługi Św. Wojciecha były wypisane. Trumna zawierała kości męczennika, na niej spoczywał ze srebra wyrobiony sam święty w szatach biskupich.

Na widok grobu świętego męża cesarz Otton padł na kolana, i zalawszy się łzami, modlił się gorąco; inni toż samo uczynili. Gdy powstał, Bolesław zaprosił go do siebie na ucztę—udali się przeto na zamek, lecz pierwej w zakrystyi kościoła cesarz przybrał się inaczej: wdział suknię jedwabną, płaszcz purpurowy, podbity gronostajami, trzewiki i złocistą koronę.

Zamek gnieźnieński skromny był z pozoru, drewniany, prostej budowy — gdyż innych wówczas jeszcze w Polsce nie znano, tylko kościoły stawiano murowane, — lecz wnętrze świadczyło, jak Polska bogatą się stała. W drewnianym budynku ściany izby gościnnej pozakrywane były oponami jedwabnemi, na których lśniły złote i srebrne blachy, tarcze ozdobione drogiemi kamieniami, szable o rękojeściach bogatych, łuki i hełmy. W pośrodku stał stół olbrzymi, do uczty

przygotowany, przykryty srebrną lamą, złote i srebrne puhary, misy, kubki błyszczały na nim rzędem, wokół widać było ławy przykryte kobiercami.

Zaprosiwszy gości do stołu, Bolesław podejmował ich hojnie, po każdem daniu rozdawał panom niemieckim złote kubki, misy lub łyżki; częstował, zabawiał rozmową. Cesarz był olśniony jego hojnością, bogactwem, rozumem, długo w milczeniu rozglądał się i przysłuchiwał, nakoniec nie mógł utaić swego uwielbienia, wstał.

— Na koronę cesarską! — rzekł — daleko więcej tu widzę, niż spodziewałem się zastać; zaprawdę, nie godzi się tak wielkiego męża, jakby jednego z książąt, dukiem albo hrabią nazywać, a słuszna owszem wynieść na stolicę królewską i koroną ozdobić.

To powiedziawszy, zdjął ze swoich skroni koronę i włożył ją na głowę Bolesława, jako znak przyjaźni.

Przez trzy dni jeszcze Bolesław gościnnie podejmował cesarza, obdarzał go i jego służbę kosztownemi darami, poczem, gdy cesarz oświadczył, iż wracać musi do siebie, odprowadził go aż do Merzeburga. Otton przysłał mu potem w darze włócznię świętego Maurycego i gwóźdź z krzyża Pana Jezusa.

Czyn dokonany przez Ottona był bardzo ważnym dla Bolesława i dla całego jego państwa,

w owym bowiem czasie cesarze niemieccy taką władzę posiadali, iż mogli rozdawać korony.

Włożenie przez Ottona korony na głowę Bolesława podnosiło go z podrzędnego stanowiska knezia do godności króla, a ziemię jego do znaczenia państwa niezależnego, gdyż dotychczas cesarze niemieccy uważali Polskę za hołdownicze sobie państwo.

Odtąd też Bolesław począł postępować jak niezależny władca. Zwoławszy rycerstwo, poprowadził je do boju i zdobycze rozpoczął, a szczęście sprzyjało jego mieczowi, zwyciężał prawie zawsze. Rozszerzył on granice Polski od morza Baltyckiego do Dniepru i Elby, a dla pamięci, gdzie granica jego państwa, kazał w Dnieprze, Sali i Elbie wbić słupy żelazne, poczem zajął się wewnętrznem urządzeniem państwa — podzielił je na części, na tak zwane kastelatury; w każdej kastelaturze kazał wybudować gród, a w nim zamek drewniany, kastelum zwany, otoczony wałem i fosą, w której woda zwykle bywała, lub murem wysokim. Najwięcej takich grodów wznosił na granicy niemieckiej; grody te z czasem, gdy ludzie poczęli się do nich garnąć, stawiać koło nich domy, zamieniły się w miasta. W zamku takim mieszkał tak zwany kasztelan, który czuwał nad całą kastelaturą, godził spory mieszkańców, winnych karał, pobierał podatki — te zaś składano wówczas nie w pieniądzach, lecz

w naturze, to jest w tem, co ziemia dawała; z każdego łanu kmiecie obowiązani byli dawać po miarce żyta i owsa w czystem ziarnie na utrzymanie garnizonu, czyli wojska, które każdy kasztelan utrzymywał w grodzie. W razie napadu nieprzyjaciela kasztelan obowiązany był bronić swej kastelatury, w razie wojny poza granicami państwa — dostarczyć królowi oddziału rycerzy. Cała ziemia była własnością króla, kmiecie byli tylko dzierżawcami; rycerzom, którzy na wojnie się odznaczali, rozdawał Bolesław ziemie na własność — stąd za Piastów powstają u Polan stany, czego nie było w dawnych czasach: jest stan rycerzy, czyli właścicieli ziemi; stan kmiecy, czyli dzierżawców, i stan niewolników, którzy powstali z jeńców wojennych.

Przyprowadziwszy sobie z wojny niewolnika, rycerz lub król osadzał go zwykle na swej ziemi i kazał mu różne usługi spełniać — uprawiać ziemię, bydła lub koni pilnować, pełnić rzemiosło, które umiał: więc albo broń robić, albo narzędzia rolnicze, albo płótno tkać i t. d. Taki niewolnik należał w zupełności do pana, który mógł go sprzedać, wygnać, ukarać, jak mu się podobało; na wojnę nie chodził on nigdy, nie mógł przeto wyswobodzić się ze swego stanu niewolniczego; co do kmiecia, gdy powołany na wojnę odznaczył się w niej odwagą, obdarowany od króla, zostawał rycerzem.

Podbiwszy wiele ziem: Pomorze, Śląsk i Chrobacyę, Bolesław wziął bardzo wielu książąt do niewoli, z tych uczynił urzędników świeckich. Najwyższym urzędem w epoce Piastów był urząd wojewody, który w nieobecności króla lub podczas jego choroby zastępował go; potem szli kasztelani, następnie kanclerz, który miał na zamku królewskim kancelaryę i strzegł w niej papierów królewskich, — skarbnik, który czuwał nad skarbem królewskim. Kmiecie, prócz daniny, jąką w zbożu płacili na utrzymanie wojska kasztelanom, składali jeszcze podatki również w naturze na utrzymanie dróg, mostów, opłacenie urzędników i t. d. Każda ziemia dawała, co miała, więc jedna futra piękne, inna zboże, owoce, bydło i t. d. Do urzędników królewskich liczył się jeszcze szatny, podczaszy, kuchmistrz, koniuszy i t. d., których tytuły mówią, jakie zajęcie spełniali.

Liczny poczet takich urzędników otaczał zawsze osobę króla; bywały też i niewiasty dworskie, które różne obowiązki przy królowej spełniały.

Bolesław Chrobry miał władzę nieograniczoną, jego następcy również. Gdy kto przewinił, zanoszono skargę do króla, a ten sam winnego sądził i karał — czasem chłostą tylko, czasem więzieniem, czasem wyrok śmierci wydawał.

Chcąc, by nikomu krzywda w państwie się nie działa, objeżdżał często ziemie, zatrzymywał się w grodach, zwoływał kmieci i pytał, czy nie mają jakiej skargi do zaniesienia.

Urządziwszy państwo na wzór niemieckiego, uczyniwszy je przeto silnem, zabezpieczywszy jego granice, pomyślał następnie o tem, żeby w niem oświatę rozszerzyć; sprowadził przeto do kraju zakon Benedyktynów i osadził ich w Sieciechowie, w Tyńcu, oraz na Łysej Górze, poleciwszy im, by zakładali szkoły przy klasztorach. Benedyktyni uczyli dziatwę czytać, pisać, śpiewu i religii, a prócz tego uczyli dorosłych szczepić drzewa, uprawiać lepiej ziemię, oraz innych pożytecznych rzeczy.

Nakoniec, chcąc uwieńczyć długoletnią swą pracę, Bolesław posłał do Rzymu z prośbą, by papież pozwolił mu odbyć uroczystą koronacyę, a gdy to otrzymał, wówczas arcybiskup Hipolit Ursinos włożył mu na czoło koronę. Uroczystość ta odbyła się w roku 1025 w kościele katedralnym gnieźnieńskim, wobec zebranego tam duchowieństwa.

Bolesław I-szy, syn Mieczysława I-go, przezwany dla swej waleczności Chrobrym, dla rozumu Wielkim, był jednym z najpotężniejszych królów z rodu Piastów.

IV.

Bolesław sędzią.

W komnacie wspaniałej, bogato kobiercami i oponami jedwabnemi przystrojonej, siedział w krześle, które zdobiła wyrzeźbiona korona królewska, Bolesław Chrobry. Kożuch sobolowy, pokryty jedwabiem, buty futrzane i biała, cienka bielizna stanowiły całe jego ubranie. Chmurnie zmarszczone czoło, brew ściągnięta, posępne spojrzenie, jakie wbił w ścianę naprzeciw, świadczyły, iż niewesołe były myśli jego. Tłum panów świeckich i duchownych napełniał izbę — jedni tworzyli grupy i szeptali ze sobą, drudzy siedzieli tu i owdzie na krzesłach, posępnie, jak król; obok tronu na ziemi małe pacholę napół klęcząc, napół siedząc, wpatrywało się w twarz pana, czekając rozkazu. Posępne w istocie były myśli króla. Od pewnego czasu panowie polscy, naśladując niemieckich, poczęli napadać po lasach i drogach, działy się rzeczy srom przynoszące uczciwemu narodowi, bo kupiec spokojnie nie mógł wieźć swych towarów do miasta — rabusie leśni lub panowie ziemscy wypadali na niego z zarośli, rzucali go na ziemię i towary mu zabierali. Nieraz zwyczajni podróżni doświadczali tych samych przygód — zabierano im wszystko, co mieli przy

sobie: stroje, kostowności, pieniądze; służbę do niewoli uprowadzano i zostawiano skrępowanych na drodze. Nieraz napady owe dokonywane były nie w celu rabunku, lecz by dogodzić zemście, zazdrości; wtedy kufrów nie zabierali napastnicy przejeżdżającemu, lecz życie.

Dochodziły ustawicznie skargi do króla o te napady, aż chcąc im koniec położyć, ogłosił wyrok, że ktokolwiek na podobnym uczynku pochwyconym będzie, ten głową bezprawie przypłaci; kazał też kasztelanom pilnie strzedz lasów i dróg, rozstawić straże, by nadużycia się nie działy. I uciszyło się jakoś po tem rozporządzeniu — zlękli się ludzie kary i cieszył się Bolesław, iż złe wyplenił; kupcy spokojnie towary wieźli do miasta, a podróżni do wsi sąsiedniej śpieszyli. Aż oto doniesiono Bolesławowi, że trzech synów możnego rycerza dopuściło się znowu napaści, iż przejeżdżającego kupca napadli, złupili, i zostawiwszy w lesie związanego, na łasce dzikiego zwierza, uciekli z towarami. Szczęściem strażnik, który czuwał nad lasem, usłyszał jęk, poszedł za jego głosem, znalazł kupca i z pęt go uwolnił. Kupiec znał tych co go napadli, zaniósł przeto skargę do grodu, a kasztelan przesłał ją królowi. Rozgniewany Bolesław kazał pochwycić natychmiast oskarżonych i do Gniezna przed swoje oblicze stawić. Siedzi teraz oto posępny, milczący — czeka na winowajców i za

chwilę wyrok na nich wyda. Kroki idących dały się słyszeć — Bolesław zmarszczył się jeczcze bardziej, groźniej jeszcze spojrzał, — rozchyliła się firanka i w progu królewskiej komnaty stanęło trzech młodych chłopców, z których najstarszy mógł liczyć najwyżej lat 18 — za nimi widać było straż. Król skinął na młodzieńców, by się zbliżyli. Straż zatrzymała się w progu. Oni naprzód postąpili, doszedłszy do środka izby, padli na kolana, pokłon królowi czyniąc. W tej samej chwili z prawej strony, gdzie było widać drzwi, wiodące do dalszych komnat, przykryte ciężką firanką, szmer jakiś dał się słyszeć — firanka się odchyliła i na jedną przelotną chwilę ukazała się w jej fałdach głowa niewieścia, poczem znikła i nie pokazała się więcej; w komnacie królewskiej nikt jej nie widział.

Król gniewnem spojrzeniem zmierzył klęczących, poczem rzekł:

— Wstańcie!

A gdy usłuchali rozkazu, zapytał:

— Czy znaliście rozporządzenie moje względem tych, co rabunków dopuszczać się będą? Nie słyszeliście, iż śmiercią zagroziłem tym, co pochwyceni będą na onym gorszącym uczynku?

— Słyszeliśmy — odparli winowajcy.

— I mimo to zbrodni się dopuściliście?

— Sądziliśmy, iż sprawa się nie odkryje — rzekł jeden.

Król ściągnął brew mocniej.

— A ponieważ się odkryła, kara was nie minie — odparł. — Wyprowadźcie ich — dodał po chwili, — jutro niechaj te trzy głowy pójdą pod miecz.

Straż otoczyła młodzieńców i wyprowadziła ich. Komnatę królewską posępna cisza zaległa, z prawej tylko strony, poza firanką, kryjącą boczne drzwi, dał się słyszeć znowu jakiś szelest, jakby odgłos odchodzących kroków, ale nie długo to trwało — wnet i ten hałas ścichł.

Minęło kilka miesięcy od powyżej opisanego wypadku. Bolesław znowu siedział w swej komnacie, lecz dziś jasny, wesół, rozmowny, huśtał na kolanach ukochanego syna, który imię dziada nosił. imię Mieszka; obok niego siedziała żona jego Kunilda i do dziecka się wdzięczyła, dalej kilku panów i niewiast kilka. Śmiechy, żarty odbijały się o ściany komnaty. Naraz jakieś kroki dały się słyszeć — król sposępniał, ciężkie westchnienie wyrwało mu się z piersi — do komnaty weszło kilka jeszcze osób.

— Co wam jest, panie? — spytała troskliwie żona, spostrzegłszy zmianę w twarzy męża.

— Et, nic — odparł król. — Ilekroć kroki czyjeś rozlegną się poza tamtemi drzwiami, przypominają się mnie owi trzej, których rok temu na śmierć skazałem; za srogi byłem dla nich...

Toż to dzieci były, mogły się jeszcze poprawić. Blade ich twarze często mnie budzą w nocy i zdają się mówić: „oddaj nam życie, które nam wydarłeś; ojczyźnie nie zasłużyliśmy się jeszcze, a ty nam umierać kazałeś.“

Rumieniec oblał twarz Kunildy.

— A gdyby, panie... gdyby pacholęta owe żyły — szepnęła nieśmiałym głosem, — cóżbyś rzekł na to?

— Cudu nie godnym — odparł posępnie Bolesław.

— Nie godzien nikt z nas, lecz miłosierdzie Boże jest bez granic; odpowiedz przeto, panie, cóżbyś uczynił, gdyby cud taki się stał? — nalegała Kunilda.

— Złożyłbym Panu korne dzięki, a pacholęta do łaski przywrócił — odparł Bolesław.

— Mieszku — rzekła Kunilda, do syna się zwracając — padnij ze mną razem do nóg ojcu i błagaj go o przebaczenie dla matki.

Chłopczyna wystraszony jej słowami, sam nie wiedząc dlaczego, padł ojcu do nóg i podniósł na niego wzrok modlący.

— Panie — rzekła drżącym głosem Kunilda, klęknąwszy obok syna, — oto cud stał się: wstali z grobu ci, których śmierć cięży na twem sumieniu, i żyją i czekają w więzieniu twego zmiłowania.

Tu drżącym głosem wyznała, iż, kiedy król wydał wyrok śmierci na winowajców, ona, ukryta za oponą w progu drzwi, wysłuchała wyroku i żal ją zdjął nad dziećmi; kazała przeto odebrać z rąk oprawców i odwieźć do klasztoru świętokrzyskiego pod opiekę Benedyktynów, a tam trzymać za kratą w turmie pod kluczem, dopóki nowe rozporządzenie królewskie nie przyjdzie.

Dworzanie kochali królowę, bo dobrą była, spełnili przeto jej wolę w największej tajemnicy; gdy król był pewien, że wyrok spełniono, młodzi winowajcy na Łysą Górę powiezieni zostali.

Bolesław nie tylko że się nie rozgniewał, lecz wdzięcznym był żonie za to, co uczyniła; posłał natychmiast po skazanych, a gdy stawili się przed jego obliczem, naprzód upomniał surowo, by więcej podobnie niegodnych czynów się nie dopuszczali, potem obdarzył i stroskanym rodzicom odesłał.

Tak niejednego zbawiła od śmierci dobra królowa Kunilda, żona Bolesława Chrobrego; poddani błogosławili ją za to i podali jej imię potomnym, aby nie zaginęło w pamięci ludzkiej.

Kunilda była pochodzenia słowiańskiego, ojciec jej zwał się Dobromir.

V.

Ziemie przez Chrobrego zdobyte.

Bolesław Chrobry niewielkie państwo, jakie odziedziczył po ojcu, znacznie rozszerzył, podbiwszy kilka plemion słowiańskich i połączywszy je ze swojem królestwem: Śląsk, Chrobacya, Pomorze — oto były zdobycze, przez niego poczynione. Śląsk i Chrobacya, jak już wiemy, leżały na południowej granicy państwa Mieszkowego. Ślązacy siedzieli na całym obszarze odrzańskiego porzecza, objętym od zachodu stokami gór Sudeckich, od wschodu działem wodnym, rozgraniczającym dopływy Warty i Odry. Oddani rolnictwu, pasterstwu i pszczelnictwu, w obyczajach wielce podobni do Polan, zleli się z nimi łatwo i chętnie wiarę nową przyjęli; główne miasto na Śląsku było Wrocław, leżało ono na lewym brzegu Odry, przy spływie do niej rzeki Olawy. Co do Chrobacyi, to granice jej są niepewne; wiadomo tylko, iż leżała ona na południe państwa Mieszkowego, że nazwa Chrobacyi powstała od wyrazu *chreb*, który znaczy szczyt, *grzbiet góry*, a wiadomo, iż południowa część tej krainy była górzystą — rozciągały się tam łańcuchy wyniosłych Karpat.

Ta część Chrobacyi, którą zdobył Bolesław Wielki, znaną była potem, gdy z Wielkopolską

się połączyła, pod nazwą *Mało-Polski*, a nazwa ta powstała od wyrazu *Młoda Polska*, czyli *Nowa Polska*.

W skład owej Małopolski wchodziły za Chrobrego ziemie położone nad Wartą, Prosną, Notecią, między któremi z czasem najprzedniejsze miejsce zajmowała ziemia Krakowska, która rozciągała się po obu stronach Wisły, na południe graniczyła z górami Karpackiemi, na północ i wschód z ziemią Sandomierską, na zachód ze Śląskiem, a główne miasto w niej było Kraków, o którym bajeczna historya powiada, iż zbudował je Krak, pogromca smoka. Ziemia Krakowska uchodziła za najbogatszą ze wszystkich, należących do państwa Piastów, gdyż urodzajne jej niwy wydawały najpiękniejsze zboże, a w łonie jej ziemi kryły się skarby, jako to: kruszcze różnego gatunku, marmur, sól i t. d.; przytem otoczona wyniosłemi łańcuchami Karpat, posiadała miejscowości pełne uroku i powabu. Na północo-wschód ziemi Krakowskiej rozciągała się ziemia Sandomierska, a za nią Lubelska, również przez Chrobrego zdobyte, obie urodzajne, obie posiadające kopalnie kruszczu i marmuru; głównem miastem pierwszej był Sandomierz, leżący nad Wisłą, drugiej Lublin, położony nad rzeką Bystrzycą, wśród miłej, górzystej okolicy.

Chrobacya, równie jak Śląsk, łatwo się zlała z Wielkopolską; Bolesław Chrobry, podbiwszy ją,

nie miał z nią następnie trudności, zrosła się z państwem Mieszkowem w jedną całość. Inaczej rzecz się miała z Pomorzem. Jedna krew w Pomorzanach i Polanach wprawdzie krążyła, lecz położenie kraju, jaki zamieszkiwali, różne wielce było. Blizkość ponurego Baltyku, z którym graniczyli, oddziałała na ich charakter — Pomorzanie byli posępni, uparci i pochopni do chwytania za broń. Na brzegach Bałtyku uwijali się w owych czasach ustawicznie normandcy korsarze, nieraz wpadali oni na Pomorze i zmuszali mieszkających tam Słowian do walki z nimi; odgraniczeni od Polan ogromnemi lasami, żyjąc w odosobnieniu, przywiązani byli niezmiernie do starych swych obyczajów i, pobici przez Chrobrego, uparcie wracali do wiary pogańskiej, ustawicznie chwytali za broń i wyłamać się usiłowali z pod panowania Piastów.

Pomorze graniczyło się na północ z morzem Baltyckiem, na wschód z Prusami, na południe z Wielkopolską, na zachód z państwem Niemieckiem; główne miasta były w niem Gdańsk i Kołobrzeg. Nadbrzeża były piaszczyste, lecz środek i południowe części tej ziemi, zlane Odrą, która na Pomorzu ma swoje ujście — były urodzajne. Pomorzanie trudnili się rolnictwem, a także pasterstwem, pszczelnictwem i rybołówstwem. Obok tych zajęć zajmowali się też handlem, do którego strzępiaste zatoki przy ujściu Odry zachęcały ich.

To ostatnie zajęcie przyczyniło się, iż miasta pomorskie prędzej od innych polskich wzrosły, rozwinęły się wzbogaciły. Posadzeni nad morzem, mogli z łatwością zawiązywać stosunki handlowe z państwami europejskiemi — inne zaś części państwa Piastów czynić tego nie mogły, bo komunikacya z sąsiadami była wielce utrudnioną. Nieprzebyte lasy, pełne dzikiego zwierza, bagniste puszcze utrudniały podróż kupcom — to też handel późno się w Polsce rozwinął; a choć z czasem za staraniem kupców gościńce wygodne poprzeżynały kraj w różnych kierunkach, ułatwiając kupcom podróż, jednakże miejscowi nie brali się do handlu, tylko czekali przejeżdżających przez Polskę handlarzy cudzoziemców i tym sprzedawali surowy produkt: futra, skóry, wosk, a czasem i zboże. Gościńce handlowe szły u nas przez Kraków, Poznań, Gniezno, Płock, Wrocław. Widywano w tych miastach często Niemców, Żydów, Greków, Anglików i Francuzów, jadących z towarami do Kijowa, Carogrodu, lub wracających z tych miast. Kupcy owi zatrzymywali się zwykle w miastach naszych dla zbycia towarów. Pierwsze targi powstały u nas przy dworach książęcych lub biskupich, gdzie rojno było zawsze od przybywających tam panów.

Ta niechęć polaków do handlu złe skutki pociągnęła za sobą, boć wiadoma rzecz, iż w państwie, w którem kwitnie handel i przemysł, bo-

gactwo się podnosi, rozwija oświata. Napłynęło też skutkiem tego wielu w owych czasach cudzoziemców, którzy zakładając sobie po miastach kupieckie kantory, korzystając z tego, iż z każdym dniem na dworach książąt wzmagały się wytworne potrzeby codziennego życia, dostarczali panom przedmiotów zbytku, wyciągali od nich pieniądz i zbogaceni wracali do swej ojczyzny. Mnóstwo żydów osiedliło się też w owe czasy w państwie Piastów; prześladowani w innych krajach, chętnie zbiegali oni do Polski, gdzie gościnnego doznawali przyjęcia i gdzie krajowcy handlem się nie trudnili.

W każdem mieście musiał być wówczas u nas plac niezabudowany, na którym odbywały się od czasu do czasu targi; tam w dniu jarmarku kmiecie zwozili swoje produkty i swoją chudobę, tam obcy przejezdni handlarze rozbijali namioty i wystawiali w nich kosztowne swoje towary, tam spotykałeś czasem i jeńców na sprzedaż wystawionych, gdyż w owych czasach handlowano ludźmi, nie uważając tego sobie za grzech. Gdy który z rycerzy nabrał podczas wojennej wyprawy tylu jeńców, iż nie mógł u siebie pomieścić, wówczas sprzedawał ich innemu rycerzowi, który w swej posiadłości miał za mało rąk do pracy, lub handlarzom żydom; ci chętnie nabywali jeńców, a potem sprzedawali ich Turkom lub Arabom, którzy nie żałowali nigdy złota na

silnych, krzepkich chłopców słowiańskich. Najwięcej jeńców sprowadzili panowie z buntującego się ustawicznie Pomorza; w jednej z wypraw aż 8,000 Pomorzan z żonami i dziećmi dostało się do niewoli.

Wokół placu, na którym jarmark się odbywał, stały zwykle karczmy, a w nich wesoło się odzywały dźwięki gęśli: piwo i wędlina lub inne przysmaki czekały podróżnych. Od tych karczem rozchodziły się w różnych kierunkach ulice brudne, błotniste, zabudowane po obu stronach rzędami lichych chałup drewnianych. Na tych ulicach w dniu targu obok wózków kmiecych i kupieckich widzieć było można paradne kolasy panów, lecz tak jednych jak drugich koła tonęły w kałużach błota, a piesi tylko po kładkach, na prędce z drzewa urządzonych, z jednej strony na drugą dostać się mogli. Najgłówniejsze miasta lepiej nie wyglądały w epoce Piastów — dlatego to Bolesław Chrobry, gdy przyjmował Ottona III w Gnieźnie, kazał wysłać drogę do samej świątyni purpurą i drogiemi kobiercami złotem przeprzetykanemi, aby nędzne ulice stolicy Piastów nie raziły panów niemieckich.

Podczas takich jarmarków kraj ożywiał się zwykle przybyciem obcych handlarzy, a skarb pański wzbogacał się, gdyż cudzoziemcy musieli opłacać cło królowi od towarów, przywożonych do miasta; opłatę składali u wrót zamku, stojące-

go na straży grodu. Prócz owego cła, a raczej myta przywozowego, opłacali jeszcze na targu przy sprzedaży towaru pewien procent od jego ceny, a te opłaty pobierali urzędnicy, zwani celnikami, którzy odnosili pieniądz do skarbca królewskiego.

Za panowania pierwszych Piastów nie było u nas prawie krajowej monety, obcemi pieniędzmi posługiwano się najczęściej, a ponieważ miały one u nas wielką wartość, więc, gdy trzeba było opłacić rzecz mniejszej ceny, przełamywano najczęściej monetę na połowę lub na drobniejsze cząstki, stosownie do tego, ile przedmiot był wart. Dopiero w XI wieku moneta krajowa rozpowszechniła się więcej; podniosły się w tym czasie dwie mennice — jedna w Krakowie, druga w Gnieźnie, — gdzie bito monety z własnego srebra, jakie dobywano w kopalniach górnego Śląska opodal Bytomia i z min Olkusza.

VI.

Włodzimierz Wielki.

Podanie historyczne.

We wspaniałej komnacie książęcej, której ściany i podłogę kryły bogate kobierce, na ławie miękkim dywanem zasłanej siedział w postawie

pół-leżącej Włodzimierz I, pan licznych ziem słowiańskich, wielki książę kijowski; przed nim na stole stały złote dzbany z winem i srebrne puhary, a przy stole kilku rycerzy siedziało z łokciami opartemi o stół, z głowami na dłoniach położonemi. Siedzą i milczą, nie śmieją mówić, bo książę dziś czegoś posępnie zadumany, — lecz czego? — nie wiedzą. Złota i srebra ma podostatkiem, państwo całe po ojcu posiada, podbił Wiatyczan i Radymiczan — plemiona słowiańskie, na wschodzie mieszkające, zdobył część Chrobacyi, pokonał Pieczyngów, setki niewolników z sobą do Kijowa sprowadził — i czegóż chmurny, czego żąda jeszcze? — każdy radby wiedzieć, bo może potrafiłby panu dogodzić... Jeśli niewolników ma za mało, to rycerze pójdą chociażby na końce świata i nowe ludy zawojują; jeśli złota pragnie, to przepłyną morze Czarne, wpadną do Konstantynopola i skarbiec cesarski złupią, przywiozą mu pełne stągwie złota, przywiozą pereł i korali, ile tylko zechce; jeśli mu nudno, to mu piewców sprowadzą.

Tak mówią sobie w myśli rycerze, lecz żaden głośno odezwać się nie śmie; książę milczy, więc i oni milczą... Wtem Włodzimierz dźwignął się z ławy, posępnem okiem powiódł wokoło.

— Kto mi sprowadzi kapłanów wszystkich świątyń, jakie czczą ludy Europy i Azyi, lecz nie

pogańskich kapłanów, tego ja hojnie złotem obdarzę — rzekł.

Na te słowa porwali się rycerze od stołu i wnet rozbiegli się po świecie, szukając kapłanów żydowskich, chrześcijańskich i mahometańskich.

Minęło dni kilka — znowuż Włodzimierz siedzi zadumany w swej komnacie, a przed nim na stole stoją złote dzbany z winem i puchary srebrne, lecz drużyny rycerskiej niema dziś przy nim — siedzi samotny i duma posępnie. Wie on o tem, że jest potężny, że poddani jego i sąsiedzi drżą przed nim — wie, a jednak czegoś mu niedostawa, jednak niepewny, czy cesarz niemiecki i cesarz grecki pierwszym wśród władców słowiańskich nazwaliby go, boć on jeszcze poganin. Naraz drzwi komnaty książęcej się rozwarły i w progu jej ukazało się kilku rycerzy.

— Ci, których żądałeś widzieć, czekają twego wezwania — rzekł jeden.

— Niech wejdą — odparł Włodzimierz.

I weszli do komnaty kapłani różnych wyznań, bladzi, drżący, pewni, że na śmierć idą... W pogańskiem państwie odprawiali w tajemnicy obrzędy swej wiary, w nadziei, że nikt o nich nic nie wie, aż oto porwani zostali i tu przyprowadzeni — nie wątpią, że kneź uczyni z nich ofiarę bożyszczom swoim...

Naprzód postąpili rabini; siwe ich brody pasa sięgają, długie czarne suknie dodają im po-

wagi. Doszedłszy do środka komnaty, stanęli pokorni, nie mają odwagi iść dalej. Lecz książe skinął — postąpili przeto i znowu przy stole się zatrzymali, drżą i czekają, na jaką śmierć ich skaże.

— Jak się nazywa Bóg, którego czcicie? — zapytał ich Włodzimierz. — Wszystkie ludy nam sąsiednie wyrzekły się wiary w bożyszcza, chcę pójść za ich przykładem, lecz jeszcze nie wiem, którego Boga wybrać; słyszałem o żydowskim, mahometańskim i chrześcijańskim. Jednego z nich uznam.

Odwaga wstąpiła w strwożone serca rabinów.

— Nasz Bóg zowie się Jehowa — odparł głosem uroczystym najstarszy.—Potężny on i sprawiedliwy, lud izraelski wywiódł z ciężkiej niewoli egipskiej, manną go karmił na puszczy, pokonał jego wrogów Filistynów i ziemię, dziedzictwo ich ojców, oddał im.

— A gdzież jest ta wasza ziemia? — zapytał zdziwiony książe — nie słyszałem nic o państwie żydowskiem.

— Jehowa za grzechy nasze odebrał ją nam znowu i rozproszył nas po wszystkich stronach świata.

Włodzimierz ze wzgardą ruszył ręką.

— Precz z moich uczu! — rzekł gniewnie — wiary waszej i Boga waszego nie chcę. Jakże śmiecie drugich nauczać, kiedy Bóg własny was

odtrącił i pozbawił tego, co człowiek ma najdroższego, to jest ziemi własnej!...

Odeszli rabini w pokorze, a książę skinął na mahometan. Przystąpili do niego wyznawcy proroka już śmielej niż żydzi, gdyż uspokoili się, że kneź na śmierć ich nie wyda, a Włodzimierz toż samo pytanie im zadał: „Jak się zowie wasz Bóg?“

— Allah — odparł jeden. — Potężny, sprawiedliwy i dobry on dla nas. Kto w imię jego z orężem w ręku polegnie, tego duszę bierze do raju, gdzie cudne ogrody, a w nich wspaniałe drzewa cień miły roztaczają, gdzie szemrzą strumyki i fontanny rozkoszny chłód dają, gdzie huryski czarnookie tak pięknie tańczą, dzieci w czarach kryształowych roznoszą wodę ze źródła rajskiego, gdzie wybrańcy Allaha noszą zielone szaty, perłami ozdobione, spoczywają na miękkich łożach, jadają dwa razy na dzień, gdzie wolno im pić wino...

Kneź słuchał z zajęciem, lecz gdy ostatnie wyrazy usłyszał, zmarszczył brwi.

— Jakto! wino w raju dopiero pić będziecie? — rzekł — o, takiej wiary ja nie chcę! My nie możemy żyć bez wina!

I kazał odejść mahometanom.

Teraz chrześcijańscy kapłani przystąpili.

— Nasz Bóg zowie się Stworzycielem wszechświata — rzekł jeden, — potężny jest i miłosierny, największym grzesznikom przebacza, wła-

snego Syna przysłał na ziemię, by ludzi nauczał. Syn ten mękę poniósł, żeby świat zbawić. Nasz Bóg także nagradza dobrych, wieczny spokój obiecuje tym, co żyją sprawiedliwie. Gdyby wiara nasza była złą, nie przyjęłaby jej twoja babka Olga, a była ona mędrszą od wszystkich ludzi.

Włodzimierz podniósł się z ławy.

— Ten, co kapłanów chrześcijańskich sprowadził, niechaj wystąpi — rzekł. — A wy wracajcie do siebie, posłyszycie niebawem o mnie — dodał, zwróciwszy się do księży; kapłani odeszli, a na środek komnaty wystąpił młody rycerz.

— Jam ich sprowadził — rzekł.

— Złota nie pożałuję tobie — odezwał się doń książę — lecz teraz zbierz drużynę zbrojną, pojedziemy na wyprawę.

Młody rycerz spojrzał zdumiony — spostrzegł to kneż.

— O wiarę prosić nie będę — rzekł, — sam ją wezmę sobie, sam przywiodę tu kapłanów chrześcijańskich.

W kilka dni potem zbrojna drużyna wyjechała ze złotej bramy Kijowa, na jej czele jechał Włodzimierz; skierowali się na południe, ku morzu Czarnemu, tam, gdzie nad brzegami jego wznosiło się miasto Korsuń; należało ono wówczas do Greków. Włodzimierz obległ to miasto i zdobył je, a gdy wkroczył jako bohater, gdy

Grecy padłszy przed nim na twarz, panem go swoim uznali, posłał do cesarza greckiego Konstantego jednego ze swoich rycerzy i tak powiedzieć mu kazał:

— Słyszałem, że masz siostrę dziewicę; jeśli mi jej nie oddasz, z waszem miastem będzie to samo, co z Korsuniem: wezmę je...

Siostra cesarza, Anna, była obecną przyjęciu posła ruskiego; słysząc jego mowę, pobladła jak lilia, lecz podszedłszy do brata, rzekła:

— Bądź spokojny, nie wystawię ja ziemi mojej na zemstę sąsiadów; powiedz księciu kijowskiemu, że jeśli przyjmie chrzest, żoną jego zostanę.

Poseł powrócił z przychylną odpowiedzią i Włodzimierz wyruszył naprzeciw przyszłej swej żony. Annę bracia do obozu księcia ruskiego odwieźli, Włodzimierz oddał za nią Korsuń cesarzowi greckiemu, i zabrawszy z Konstantynopola kapłanów greckich, razem z Anną do Kijowa pośpieszył.

Gdy po Kijowie rozbiegła się wieść, że kneź z żoną chrześcijanką wraca do kraju, wśród pogan podniosły się szemrania; ale w Kijowie w owym czasie było już wielu takich, co w tajemnicy wiarę Chrystusa wyznawali — ci tłumnie wybiegli na powitanie Anny... Zaraz nazajutrz po swoim powrocie do Kijowa Włodzimierz przyjął chrzest, poczem otoczony duchowieństwem

i rycerstwem przeszedł całe miasto i wszędzie kazał niszczyć pogańskie świątynie i bożyszcza. Rozbijano posągi, chramy palono, a zniszczeniu temu towarzyszyły krzyki grozy i krzyki radości. Gdy przyszli na miejsce, gdzie stał posąg Peruna, kneź kazał przywiązać go do ogonów koni, a potem konie do Dniepra popędzić, gdy zaś weszły do wody, odwiązano bałwana i popchnięto go na środek rzeki. Lud stał zdumiony nad brzegami Dniepru, patrzał w ponurem milczeniu na zniewagę najwyższego ich bożyszcza i czekał, by Perun porwał się z wód i zmiażdżył księcia; lecz zatopiony bałwan nie pojawił się więcej. Wtedy smutek i zwątpienie ogarnęły ich serca, a gdy Włodzimierz obaliwszy świątynie i bożyszcza pogańskie, kazał następnie wejść ludowi do rzeki i chrzest przyjąć, większość spełniła ten rozkaz w milczeniu, garstka tylko nieposłusznych uciekła do lasu, unikając przymusu.

Za przykładem Kijowa poszły inne miasta ruskie — chrześcijaństwo rozpostarło się w całem państwie Włodzimierza. Stało się to r. 888.

Włodzimierz Wielki był jednym z potężniejszych książąt ruskich, pochodził z rodu Ruryka. Dzieje pierwotne państwa ruskiego, jak wszystkich państw, są bajeczne, niepewne. Na wschodzie Europy od czasów najdawniejszych mieszkało wiele plemion słowiańskich: Drewlanie, Krywiczanie, Połoczanie, Wiatyczanie, Radymiczanie,

Nowogrodzianie i t. d. Otóż historya bajeczna powiada, iż r. 862 Nowogrodzianie, chcąc koniec położyć waśniom domowym, które państwo ich zakłócały od dawna, postanowili obcego wziąć knezia i wysłali posłów do Szwecyi, zapraszając wodza Rusów, Ruryka, do siebie na tron.

— Ziemia nasza jest rozległa i obfita, lecz niema w niej porządku — kazali mu rzec: — przyjdź władać i rządzić nami.

Ruryk wyruszył chętnie z drużyną, przybył do Nowogrodu, objął władzę i rządził krajem rozumnie, a państwo jego nazwę Ruskiego przybrało; następcy jego coraz bardziej rozszerzali granice tego państwa — zdobyli Kijów, podbili plemiona słowiańskie, od Buga i Karpat aż po Okę mieszkające.

Włodzimierz tem był dla swoich, czem Bolesław dla Polan. Mieli oni wiele wspólnych przymiotów i wiele wspólnych zasług położyli: odważni i energiczni, rozszerzyli granice swych państw, urządzili je, silnemi uczynili; Włodzimierz wśród plemion wschodnich słowiańskich wiarę Chrystusa rozszerzał — Bolesław nawrócił Pomorzan, Ślązaków i Chrobatów; syn Włodzimierza pojął za żonę córkę Bolesława, łączyły ich dobre stosunki, obaj miłość i szacunek poddanych posiadali, obydwóch poddani Wielkimi nazwali.

VII.

Bolesław pod Kijowem.

Po wszystkich ziemiach Polski rozbiegli się wysłańcy Bolesławowi, by oznajmić kasztelanom, iż król rozkazuje, żeby kmieciom zbroić się polecili, zbierali wojska i dążyli z niemi pod Kraków, gdzie król czekać ich będzie ze swojem rycerstwem, a potem razem na wielką wyprawę ich powiedzie przeciw księciu Jarosławowi, który wygnał z Kijowa brata swego Świętopełka i sam na tronie zasiadł. Ów Świętopełk był zięciem Bolesława, miał jego ukochaną córkę za żonę. Dowiedziawszy się o zniewadze mu wyrządzonej, Bolesław zapałał gniewem i poprzysiągł, że Jarosława daleko za Kijów przegna.

I zebrały się niebawem zbrojne szeregi w Krakowie, przyszło też w pomoc królowi pięciuset Madziarów z za Karpat i tysiąc Pieczyngów z za Dniepru. Bolesław stanął na czele olbrzymich zastępów i ruszyli ku Kijowowi; była to stolica książęco-królewska, wspaniałe miasto, przeszło o czterystu cerkwiach, jak stary kronikarz Dytmar opowiada, i ośmiu rynkach, główne ognisko handlu wschodniego, dokąd kupcy prawie z całej Azyi zwozili swe towary,—bogate i piękne miasto, najkosztowniejszy klejnot Wschodu, jak je dawniej zwali.

Z mieczem dobytem przeszedł Bolesław długą drogę, dzielącą Kraków od Kijowa, znacząc ją zwycięstwami licznemi. Pierzchali przed nim wszyscy, bo samo imię Bolesława już w wojskach nieprzyjacielskich popłoch wzniecało. Pogromca tylu nieprzyjaciół począł uchodzić za niezwyciężonego, a ludzie opowiadali sobie, iż mieczowi Bolesława nikt się nie oprze, bo miecz ten dostał on samego Boga. Urosło podanie, iż dnia jednego, gdy król drzemał w swej komnacie, przyszedł do niego anioł światłością otoczony, i podawszy mu błyszczący miecz, rzekł do niego:

— Oto Pan ci przysyła tę broń. Walcz nią dla dobra twej ziemi, walcz o jej cześć i całość, a uczynię cię potężnym.

To powiedziawszy, położył miecz nad głową króla i znikł nagle.

Jako wiatr tumany kurzu, tak ów miecz Bolesławowski zastępy wrogów, drogę mu tamujących, rozpędzał. Bużanie, Łuczanie, Drewlanie, których kraje przechodził, dobrowolnie, bez walki otwierali królowi Polan bramy swych grodów i podarki mu znosili. I stanął wreszcie ten rycerz niezwyciężony pod murami Kijowa.

Jarosław, który do ostatniej chwili nie wierzył, aby Bolesław chciał się ujmować za Świętopełkiem, siedząc sobie spokojnie na barce, łowieniem ryb w rzece Dnieprze się zabawiał, kiedy mu dali znać, że Bolesław z licznem rycerstwem

miasto Kijów dokoła opasał tak, iż znikąd nie można się doń dostać, ani lądem, ani wodą...

Przerażony tem, co usłyszał, kniaź kazał podać sobie konia i w ucieczce szukał ocalenia.

Miasto Kijów zamknęło wszakże bramy swe przed najezdcą; Bolesław musiał przypuścić szturm do murów je opasujących i nie oparły się one zwycięzcy tylu innych grodów, runęły od pocisków wroga, rozwarły się bramy przed niepokonanym i wkroczył w tryumfie do miasta Chroby, a wjeżdżając w tak zwaną złotą bramę, uderzył w nią mieczem, na znak, że miasto bierze w posiadanie — uderzył tak silnie, iż się miecz wyszczerbił.

Bolesław nie miał zamiaru pięknego Kijowa niszczyć, boć barbarzyńcą nie był, ani go sobie zabierać; osadził tylko napowrót na tronie kijowskim zięcia swego Świętopełka, syna Włodzimierza Wielkiego, poczem zabawiwszy jeszcze kilka dni w pięknem, bogatem mieście, wziął ze skarbca książęcego tyle tylko złota, by mieć czem nagrodzić swoje i obce rycerstwo, następnie odesławszy Madziarów i Pieczyngów, sam też do domu powrócił.

Wielki ten król umarł r. 1025. Płakał naród serdecznie po jego śmierci, rok cały wszyscy w Polsce żałobę po nim nosili, nigdzie zabawy, nigdzie muzyki, grania na lutni, lub śpiewu dziewczęcego nie słyszano. Lud długo uwierzyć

w śmierć ukochanego pana nie chciał; długo chodziło podanie, iż Bolesław oddalił się tylko w góry Karpackie i tam śpi snem kamiennym.

Miecz Bolesława, nazwany po wyprawie kijowskiej „Szczerbcem," schowali panowie polscy po śmierci jego do skarbca, jako drogocenną pamiątkę; wydobywali go tylko wtedy, gdy nowy król wstąpił na tron. Wówczas przypasywali mu go do boku podczas koronacyi, aby przypomniał nowowstępującemu na tron monarsze waleczne czyny Chrobrego i zachęcił go do naśladowania ich.

VIII.

Powrót królewicza.

Nie tylko smutno na ziemi Polan, lecz strasznо: po dniach jasnych, pogodnych, nastały dni posępne; po dniach sławy i wielkości — dni upadku.

Potężna, silna, wielka za Bolesława Chrobrego Polska budziła zazdrość w sąsiadach, to też zaledwie umarł dzielny ten król, na którego imię drżeli bliżsi i dalsi, swoi i obcy, natychmiast zewsząd na ziemię Polan napadać poczęli nieprzyjaciele: Brzetysław książę czeski, Henryk II-gi cesarz niemiecki i Pomorzanie. Nie podołał tylu naraz wrogom Mieczysław — pokonany, umarł

wkrótce z żalu; nie podołała również żona jego Ryxa, która niemieckiego pochodzenia będąc, nie umiała przytem sobie zjednać miłości w narodzie, a nie czując się bezpieczną wśród nieprzychylnych, ujechała z synem swym Kazimierzem do brata, zabrawszy ze sobą korony i skarbów wiele.

Gdy pana w domu niestało, nie tylko obcy śmielej jeszcze najeżdżali, lesz wewnątrz kraju podniósł się straszny zamęt. Podbite i w jedno państwo połączone różne słowiańskie ziemie zerwały węzły je łączące, przytłumione pogaństwo podniosło głowę; ci, co dawne obyczaje wspominali jeszcze, poczęli burzyć świeżo wystawione świątynie chrześcijańskie, obalać krzyże, przy drogach stojące; kmiecie, którzy patrzyli z zazdrością na obdarzonych przez króla rycerzy, napadali na ich majątki i zabierali im ziemie, dobytek, niszczyli domy, sprzęty; obce wojska wpadłszy w granice Polski, rabowały wsie i miasta — z bogatym łupem wracało żołnierstwo niemieckie i czeskie z biednej, zniszczonej Polski.

Pola jej były niezaorane, po lasach błąkały się gromady napół odziane, uzbrojone w dzidy i łuki, które tylko mordami i łupem się trudniły zewsząd widać było na niebie czerwone łuny, czarne, posępne dymy pożarów, pnące się ku obłokom, lub ognie buchające z płonących budynków, zrujnowane kościoły, zamki i domostwa panów — wszędzie zgliszcza i popioły, krew i trupy.

Okropny obraz przedstawiała Polska, obraz nieładu i upadku—ziemia i ludzie w niej zdziczeli.

Tymczasem, gdy się tak dzieje w państwie Chrobrego, młodziutki królewicz Kazimierz, wywieziony dzieckiem z ojczyzny, dorastał powoli na obcej ziemi, wśród obcych, wśród nieprzyjaciół wszystkiego, co polskie. Na dworze Henryka II-go, cesarza niemieckiego, nie słyszał on nigdy mowy ojczystej, nikt nigdy nie mówił o przeszłości, czasami tylko w snach widywał Gniezno, zamek stary królewski, panów, którzy stanowili drużynę jego ojca; czasami ktoś z dalekich stron przyjechał na dwór cesarza Henryka i przywiózł wiadomość o zbuntowanych Polanach. Kazimierz słuchał takiego gościa zawsze z wielką uwagą, lecz jakie uczucie te wieści budziły w nim, o tem nie mówił nikomu i nikt go nawet o to nie pytał. Matka i wuj radzi byli, aby zapomniał, czyim był synem, co za węzły go łączą z Polanami, więc nigdy o nich z nim nie mówili. Lecz nie tak łatwo jest w szlachetnej duszy ludzkiej przygłuszyć miłość do tego, co nasze, co swoje. Kazimierz miał duszę szlachetną, nie zapomniał ziemi ojców i braci swoich, cierpiał nad jej upadkiem, nad jej niedolą, lecz milczał, bo wiedział, że póki dzieckiem jest, nikt mu jechać nie pozwoli do kraju, gdzie na każdym kroku śmierć grozi; milczał, lecz tęsknił i na dno duszy składał to, co czuł, krył się z tem, jakby ze skarbem. Aż

wreszcie wyrósł z lat dziecinnych — wtedy dopiero zwierzył się matce i powiedział jej, że pragnie powrócić do państwa swego, ład w niem zaprowadzić, pogaństwo wykorzenić, kościoły chrześcijańskie odbudować i włożyć na czoło koronę dziada. Usłyszawszy to, Ryxa ze łzami błagać poczęła syna, by zaniechał zamiaru; straszyła, że Polanie go zamordują, że ładu nie przywróci, a siebie zgubi; chciała go przekonać, że Polska już na zagładę przeznaczona; obiecywała, że mu odda wszystkie swoje posiadłości w Niemczech, że brat jej, cesarz Henryk, doda mu także ziemi; wystawiała tak rozkosznie życie ciche, spokojne, jakie przy niej wieść będzie, tak okropnie malowała dni, jakiej wśród pogan pędzić mu przyjdzie, iż była pewną, że syna przekona. I wierzył słowom jej Kazimierz, wierzył, że tu przy niej używałby uciech młodości, bawiłby się, spoczywał i hołdy zbierał, tam zaś czeka go praca, znój, trud i niebezpieczeństwo na każdym kroku, — przecież głos jakiś mówił mu: „tam być powinieneś,“—przecież jakieś uczucie nieokreślone i tęsknota wielka parły go do ziemi Polan.

W milczeniu wysłuchał Ryxy, potem pokornie pochylił się do jej kolan i rzekł:

— Nie odwódź mnie, matko, od tego, co jest mym obowiązkiem świętym... Pomyśl, czyż twe serce nie krajałoby się z bólu, gdybym, posłyszawszy, że grozi ci jakie niebezpieczeństwo, z po-

mocą nie przybieżał?.. czyż nie rzekłabyś wtedy: „wyrodny to syn!“ Na miano takie ja zasłużyć nie chcę, a ziemia, to druga matka moja: na niej ja się zrodziłem, ona mnie powietrzem swojem, owocami swojemi i chlebem swoim wykarmiła; żadna posiadłość po wujach spadająca, ani macierzysta, sprawiedliwiej i zaszczytniej nie dzierży się nad ojczystą.

Słowa te zwyciężyły Ryxę — przestała się opierać, pobłogosławiła syna, zaopatrzyła go w złoto i srebro, jakie z Polski wywiozła, poczem do wuja go powiodła, by mu oddał korony, które u niego w skarbcu złożyła. Henryk II nie tylko się nie opierał z wydaniem koron, lecz jeszcze dał siostrzeńcowi 600 ludzi zbrojnych do obrony.

Było to r. 1040-go, w pierwszych dniach grudnia, gdy po siołach i grodach polskich rozbiegła się wieść, że Kazimierz, syn Mieszka II, wnuk Chrobrego, stanął na ziemi Łużyczan, że wrócił do kraju, by mu spokój i szczęście dać. Radość i nadzieja błysnęły w sercach jednych, w drugich gniew i trwoga, lecz większość była takich, którzy ucieszyli się przybyciem królewicza, gdyż większość przekonała się, iż źle jest bez władzy. Kmiecie, którzy radzi byli bezkrólewiu, bo, korzystając z niego, wydarli rycerzom ich mienie, ze zgrozą widzieli, że jak oni tamtym, tak im teraz niewolnicy zabierają ich własność. Nie było sprawiedliwości, więc i porządku nie

było—jeden pracował, drugi nic nie robił, a przecież ten, co dnie pędził z założonemi rękoma, napadał potem na tego, co zebrał coś sobie, i wydzierał mu pracę przemocą. Większość żałowała zburzonego porządku i pragnęła jego powrotu — ci wszyscy, złączywszy się razem, pośpieszyli naprzeciw królewicza, a ujrzawszy go, powitali uroczystą pieśnią: „Witajże nam, witaj, miły gospodynie!“ i ująwszy jego konia za uzdę, wiedli go z radością, w tryumfie do grodu najbliższego, i całowali kraj jego szaty i wyciągali doń ręce błagalnie, wołając: „Ratuj nas, ratuj!“

Opanowawszy jeden z zamków, na granicy niemieckiej się wznoszący, Kazimierz zebrał tutaj koło siebie tych wszystkich, co radzi byli jego powrotowi, i uzbroiwszy ich, rozpoczął walkę ze zbuntowanymi. Poddawały mu się gród za grodem, miasto za miastem i zajmował wsie, ziemie całe. Długa, krwawa i uciążliwa była to praca, gdyż codzień staczać musiał boje z poganami, którzy wypadali nań niespodzianie z lasów i wąwozów, musiał patrzeć na mordy i pożogi, na bezprawie najstraszniejsze, spotykać obalone krzyże i spalone kościoły, a na ich miejsce widzieć wzniesione posągi bóstw słowiańskich, słyszeć pieśni, uświecające obrzędy postrzyżyn lub pogrzebu pogańskiego, — lecz zdarzało się to coraz rzadziej, coraz więcej ziemi wracało pod jego

władzę, znikały po drogach posągi bóstw, krzyże wznosiły się na nowo.

Najdłużej ze wszystkich części opierało się Mazowsze, bo tam niejaki Masław, dawny cześnik króla Mieszka, człowiek zdolny i obrotny, okrzyknął się wodzem zbuntowanych, a pozwalając im odprawiać obrzędy pogańskie, pozyskał sobie ich zaufanie tak, iż szanowali go jak króla, i Masław podobno marzył o tem, by królem całego państwa się uczynić, w czem obiecali mu dopomódz Prusacy, sąsiedni i pogański jeszcze naród. Lecz Kazimierz i tego buntownika pokonał — uciekł Masław do Prusaków, którzy go podobno zabili, a Kazimierz, zaprowadziwszy w całem państwie porządek, wezwał następnie znaczniejszych panów do Gniezna i w obecności ich oraz duchowieństwa i rycerstwa kazał arcybiskupowi Stefanowi włożyć sobie na głowę koronę Chrobrego, — poczem odbudował spalone świątynie, rycerzom powrócił wydarte im ziemie, wszędzie sprawiedliwość wymierzył. Rola przestała leżeć odłogiem, zaszumiały pola zbożem, w pasiekach podniosły się obalone ule, w ogrodach ukazały się drzewa i kwiaty, wsie i miasta zaludniły się, napowrót wrócili Benedyktyni do opustoszałych klasztorów i dziatwę do szkoły wezwali.

W nagrodę za spełnione dzieło Kazimierz przydomek Odnowiciela otrzymał, a pamięć jego zawsze drogą będzie ludowi.

IX.

Król rycerz i pokutnik.

Drugi z kolei Bolesław zasiadał na tronie Piastów. Od lat najmłodszych, w kolebce jeszcze, słyszał syn Kazimierza I-go o wielkich czynach pradziada, o zwycięztwach, jakie nad cesarzem Niemiec Henrykiem II odniósł, i marzyć począł o sławie, o bojach i smutno mu było, iż nie nadarza się do nich sposobność.

Lat szesnaście dopiero liczył, a już chciałby, żeby świat cały słyszał i mówił o nim.

Aż oto dnia jednego dworzanie oznajmili młodemu panu, iż królewicz węgierski Bela, przybywszy na zamek gnieźnieński, posłuchania prosi. Bolesław kazał natychmiast wprowadzić gościa do siebie; stanął przed nim Bela smutny, pokorny ukłon złożył i rzekł:

— Oto, królu, wielką krzywdę mi wyrządzono: Brat mój Andrzej, nie zważając na to, iż sam przysiągł niegdyś, że brat jego młodszy po nim berło obejmie, że naród cały obiecał mi tron po nim, syna swego Salomona kazał ukoronować jako swego następcę.

Obruszył się Bolesław na krzywoprzysięzcę i przyrzekł pomódz pokrzywdzonemu.

Wkrótce potem, roku 1061, liczne hufce, zbrojne od stóp do głów, dążyły z Polski do Węgier, a na ich czele jechał młodziutki król, w którego piersi żył duch rycerski pradziada.

I wkroczyły te hufce na ziemię węgierską i nad Cissą spotkały wojska Andrzeja; bój się rozpoczął, bój krwawy, zacięty, i młody Bolesław wyszedł z niego zwycięzcą. Najsławniejsi rycerze węgierscy dostali się do jego niewoli; król Andrzej raniony, spadł z konia, uciekające tłumy stratowały go. Znaleziono go zdeptanym okrutnie na placu boju — ledwie go poznano; z ran umarł niedługo, a tron po nim zajął Bela.

Okryty chwałą zwycięzcy, powrócił Bolesław II-gi do kraju, lecz, niezadowolony jeszcze z pozyskanej sławy, wmieszał się niebawem w sprawy czeskie, gdzie dwaj bracia, Wratysław i Jaromir, wiedli spory ze sobą, a wróciwszy stamtąd, ruszył na Pomorzan, którzy, korzystając z jego nieobecności, wpadli w granice państwa i mnóstwo wsi popalili.

Sława zwycięstw Bolesława rozbiegła się daleko, przytem począł on uchodzić za opiekuna wszystkich pokrzywdzonych. Wówczas w Kijowie podniosły się podobne czeskim i węgierskim zaburzenia domowe. Niejaki Wszesław, zdobywszy Kijów, zmusił do ucieczki panującego tam Izasława; wygnany książę z dwoma synami, Świętopełkiem i Mścisławem, udali się wprost do Gnie-

zna, licząc na pewno, że Bolesław nie odmówi im przytułku i pomocy. Jakoż nadzieje ich płonne nie były: wzruszył Bolesława los wygnańców i pomoc obiecał.

Szło rycerstwo polskie trzema szlakami, główne siły Bolesław prowadził; zabiegł mu drogę Wszesław, lecz, pokonany uciekł do Połocka, Kijowian na łasce zwycięzcy zostawiając. Przerażona ludność do pokory się uciec postanowiła, czuli się bowiem winni względem Izasława — dopomagali Wszesławowi i zdobycie Kijowa mu ułatwili. Teraz, widząc się przezeń opuszczonymi, wyszli kilka mil naprzeciw wracającego Izasława, a ujrzawszy zdala nadjeżdżających, padli na kolana i łaski błagali, tak Izasława, jako też i Bolesława. Izasław przyrzekł, że krzywdy nie uczyni, iż zemsty nie ma na myśli; Bolesław oświadczył, że nie ma nic do mieszkańców Kijowa. Uspokojeni Kijowianie wprowadzili ich do stolicy razem z rycerstwem. Wjeżdżając w złotą bramę, Bolesław uderzył w nią mieczem i znak przez Chrobrego uczyniony ponowił — druga kresa na niej przybyła, — poczem wyruszył na dalsze podboje: poszedł zdobyć ziemię Przemyską, którą Bolesław Chrobry zdobył, lecz która za jego następców odpadła od Polski.

Spełniły się życzenia Bolesława—swoi Śmiałym go nazwali, obcy mówili, że jest nieodrodnym potomkiem Chrobrego. Lecz miłość sławy przy-

tłumiła niestety w młodym królu wszystkie inne uczucia. Wciąż ubiegając się o nią, rzadko we dworze, ciągle w obozie, rzadko w ojczyźnie, wiecznie z nieprzyjaciółmi przebywał, nie troszcząc się bynajmniej, co się dzieje w domu.

Wróciwszy z wyprawy przemyskiej, pośpieszył do Kijowa, gdzie Wszesław znowu groził Izasławowi; umocnił tego na tronie, Wszesława wygnał, poczem wojsko swoje rozłożył w różnych częściach miasta, przykazawszy surowo, aby rabunków się nie dopuszczało, sam zaś bawić się i ucztować począł z Izasławem, a w bogatym i pięknym Kijowie łatwo było o rozrywkę.

W państwie, gdzie król gościem bywał, źle dziać się poczęło: — kmiecie, przypomniawszy czasy bezkrólewia, napadali na ziemie nieobecnych rycerzy, zabierali im wszystko: sprzęty, kosztowności, nawet żony porywali. Doszły o tych nadużyciach wieści do Kijowa – rycerstwo żądało powrotu do domu, lecz król się ociągał; wtedy rycerze sami, bez pozwolenia, opuszczać go poczęli i Bolesław sam prawie pozostał, a w państwie działy się jeszcze straszniejsze rzeczy: rycerze mścili się na kmieciach, kmiecie na rycerzach — wszyscy rozżaleni byli do króla.

*

* *

Wśród zamieszek, jakie się w kraju działy, naraz straszna wieść rozeszła się w mieście Gnie-

źnie i po siołach okolicznych: biskup krakowski, Stanisław Szczepanowski, zniecierpliwiony postępowaniem Bolesława, rzucił na niego klątwę. Klątwa była to kara kościelna — kto nią dotknięty został, przed tym drzwi wszystkich kościołów były zamknięte: nie wolno mu było spowiadać się, komunikować, słuchać mszy, dopóki ciężkiej i długiej pokuty nie odbędzie; wyklęty nie mógł być panem, a tem bardziej królem, bo każdy był uwolniony od posłuszeństwa względem niego

Zawrzał gniewem na tę wieść Bolesław — z garstką rycerzy pośpieszył natychmiast do Krakowa, napadł na biskupa, odprawiającego mszę świętą w małym kościółku na Skałce, i zamordował go przed ołtarzem.

Lecz zaledwie zbrodni dopełnił, gniew w nim ochłonął, wyrzuty sumienia zbudziły się w jego sercu, żal niem ogarnął, a wstydząc się własnych poddanych, opuścił państwo. Gdzie się udał, nikt nie wiedział — znikł z oczu, jak kamień, gdy go ludzka ręka w głęboki staw rzuci.

Różnie ludzie mówili: że na obcej ziemi szuka sławy i obcym pomaga, że poszedł do Rzymu prosić o rozgrzeszenie, że życie sobie odebrał, że zginął na polowaniu, że do Węgrów się udał o pomoc i lada chwila zjawi się zbrojny, straszny, otoczony rycerstwem, i karać będzie tych, co go opuścili... Czego nie mówiono!.. A tymczasem lata

mijały, żadna z tych wieści się nie sprawdzała, nikt nic pewnego o królu powiedzieć nie umiał.

W tym samym czasie na Węgrzech, do klasztoru, znajdującego się w malowniczej okolicy Ossyaku, która rozciąga się nad pięknem jeziorem u stóp Alp słowiańskich, przybył pielgrzym boso, o kiju, prosząc o przytułek oraz o służbę.

Zakonnicy, litując się nad nim, przyjęli go w swe mury, zajęcia dostarczyli — i nie pożałowali swej gościnności: pielgrzym pracował pilnie od rana do nocy — nosił wodę, rąbał drzewo, palił w piecu, najniższe spełniał posługi, a w chwilach wolnych modlił się gorąco. Lat dziewięć upłynęło wreszcie od przybycia pielgrzyma do klasztoru, lat dziewięć cichych, niezamąconych żadnym ważniejszym wypadkiem, gdy dnia jednego, a było to roku 1089, zakonnicy dali znać swemu opatowi, iż tajemniczy pielgrzym wzywa go do siebie, że jest ciężko chory i spowiadać się pragnie. Opat pośpieszył, siadł przy łożu chorego i spowiadać go począł, a ten wyznał mu, iż jest synem Kazimierza I-go Piasta, wyklętym królem Bolesławem, o którym tak różne krążą wieści, iż za grzech, jaki popełnił, sam sobie tę ciężką pokutę naznaczył; na dowód zaś, że prawdę mówi, pokazał opatowi zawieszony na pierciach kosztowny pierścień.

Opat dał żałującemu rozgrzeszenie i chory tegoż jeszcze dnia umarł. Zakonnicy, lękając się

papieża, pochowali zmarłego za cmentarzem, na ziemi niepoświęconej, — lecz papież, dowiedziawszy się, jak długą i ostrą pokutę naznaczył sobie Bolesław za popełnioną zbrodnię, jak ją sumiennie wypełnił, jak szczerze żałował za grzechy, zdjął z niego klątwę i wzniesiono na mogile króla rycerza i pokutnika grobowiec, który trwa dotąd w Ossyaku. Cmentarz, który się od tego czasu znacznie powiększył, objął i to miejsce, gdzie zwłoki Bolesława spoczywają, tak, iż dziś grób jego na poświęconej ziemi się znajduje.

X.

Pasowanie na rycerza.

Na wojnę się zbierało... Pomorzanie, lubo pochodzenia słowiańskiego, a zatem bratni nam naród, ustawicznie szkody na granicy północnej czynili — korzystali z lada sposobności, jak tylko Polska miała jakie kłopoty i nad nimi czuwać nie mogła, wpadali natychmiast, niszczyli wsie i miasta. I teraz o to przyszły wieści, iż Międzyrzec opanowali, wystawili w nim zamek obronny i ani myśleli ustępować. Siedział wówczas na tronie Władysław I, syn Kazimierza Odnowiciela, któremu Polacy, gdy klątwą dotknięty, splamiony zbrodnią Bolesław II kraj opuścił, władzę oddali.

Władysław był chory, niedołężny, mimo to kazał ogłosić po kraju, iż przedsiębierze wyprawę na Pomorzan, — lecz sam udziału w tej wyprawie nie miał odwagi wziąć, postanowił więc oddać główne dowództwo wojewodzie Sieciechowi, który był jakby prawą jego ręką, we wszystkiem go zastępował — słaby Władysław wyręczał się nim zawsze. Dowiedział się o tem postanowieniu ojca królewicz Bolko [1]), który nie więcej nad lat dziesięć liczył wówczas, i począł prosić króla, aby kiedy sam nie jedzie, jemu pozwolił wziąć udział w wyprawie.

— Godzi się — mówił, — aby syn, gdy ojciec chory, w zastępstwie jego własnemi piersiami ziemię swą zasłaniał i przykład rycerstwu dawał.

I póty prosił, przedstawiał, aż uległ wkońcu Władysław.

Ruszyły zbrojne hufce pod Międzyrzec, a z nimi Bolko, cały w zbroi, i dwunastu jego towarzyszy, którzy, dowiedziawszy się, że królewicz na wojnę jedzie, uprosili swoich ojców, aby ich też wysłali. Byli to po większej części synowie urzędników.

Sieciech mruczał trochę na tę pomoc z dzieci — iż przeszkadzać mu będą, że niańkę chyba

---

[1]) Bolesław, syn Władysława I-go, z powodu wrzodu jaki miał na twarzy, gdy był maleńkim, skrzywione miał usta, stąd zwano go od lat najmłodszych Krzywoustym.

do nich weźmie, — lecz przeciw rozkazowi króla wystąpić nie śmiał.

Wojska ruszyły coś w połowie sierpnia 1095 r. i przez dwa miesiące były o nich wieści — wiedział Władysław, że szczęśliwie na miejsce przybyli, że część rycerstwa zajęła się budowaniem machin oblężniczych, a część napadami zaczepiała nieprzyjaciela i boje z nim staczała; do tych ostatnich należał Bolesław, który spełniał posłusznie rozkazy głównodowodzącego wojewody Sieciecha, w niczem nie wyróżniał się od reszty rycerstwa, sypiał na skórze rysiej, jadł to samo, co wszyscy, po nocach straż odbywał, zrywał się ze snu równo ze świtem.

Pod koniec września wieści poczęły rzadziej przychodzić, wkońcu nie było ich wcale. Król tłómaczył sobie to milczenie tem, że deszcze i błota jesienne utrudniają komunikacyę, mimo to niepokoił się wielce o rycerstwo, a szczególniej o syna. Aż wreszcie dnia jednego, a było to już w drugiej połowie listopada, dźwięki rogów bojowych, jakie rozległy się na dziedzińcu zamkowym, oznajmiły powrót z wyprawy. W chwilę potem wbiegł do komnaty królewskiej Bolko i rzucił się z powitaniem do nóg ojcu, a za nim wszedł wojewoda Sieciech i kilku ze starszych.

Władysław nacieszyć się nie mógł synem — oglądał go troskliwie, patrzył, czy nie skaleczony, całował, rozpytywał go.

Pogięta w wielu miejscach zbroja, połamany hełm, kresa przez prawy policzek, świadczyły, iż Bolesław nie chował się za plecami starszych, lecz, jak rycerz, narażał się na wroga pociski, — nie chwalił się jednak królewicz, nic o sobie nie mówił.

— Odebraliśmy Międzyrzec—odpowiedział,— zmusiliśmy ich do poddania się; zabrawszy tłomoki i konie. Powędrowali Pomorzanie do siebie.

Lecz jeden ze starszych przerwał Bolkowi.

— Gdyby nie królewicz — rzekł, — nie zdobylibyśmy Międzyrzeca; słoty i dżdże ustawicznie przeszkadzały nam z razu, ziemia tak miękką była, iż brnęliśmy czasem po kolana, a dla tych błot strasznych nie można było przysunąć machin oblężniczych do zamku, bo grzęzły koła i konie poradzić nie były w stanie; narzekaliśmy wszyscy na czas zmarnowany, aż wojewoda chciał już rzucić oblężenie i ustąpić Pomorzanom, lecz posłuszny mu zawsze królewicz tym razem się oparł i rzekł: „Ze wstydem nie wrócę do Gniezna; w imieniu ojca żądam, abyśmy mrozów doczekali; przeciwnościami nie godzi się zrażać; przyjdzie zima, błota zetnie i usuną się przeszkody.“ Te słowa na wszystkich podziałały; przestaliśmy szemrać, czekaliśmy mrozów, czas zapełniając małemi utarczkami z Pomorzanami... I spełniły się słowa królewicza: zima się zbliżyła, skuła lodowemi okowami grzęzawiska i pomknęliśmy bli-

żej z machinami, otoczyliśmy gród stary i wyparowaliśmy zeń nieprzyjaciela.

Władysław, który z jasną twarzą słuchał tego opowiadania, spojrzał na wojewodę, szukając w jego oczach potwierdzenia tych słów. Sieciech stał chmurny, ale nie przeczył.

— Godzien jesteś rycerzem się nazywać — rzekł przeto król, zwracając się do syna, — i lubo lata twoje jeszcze nieodpowiednie, jednakże zważywszy czyny twoje, które dowodzą, iż umysł masz już dojrzały, będę cię pasować na rycerza; jutro przygotowania uczyń potrzebne.

Bolko przypadł do nóg ojca.

— Lecz ze mną towarzysze moi dostąpią także tego zaszczytu — rzekł — wszak oni, zarówno jak i ja, pod Międzyrzecem byli.

— Masz prawo dwunastu wybrać — odparł król.

Zwyczajem wówczas było, iż chcąc być uznanym za rycerza, trzeba było pierwej przejść tak zwaną ceremonię pasowania, która odbywała się bardzo uroczyście; zwykle pełnoletni dopiero dostępowali tego zaszczytu.

Jeszcze tego samego dnia Bolko oznajmił tym co z nim razem przeciw Pomorzanom chodzili, jakie szczęście ich czeka, i kazał im przyjść na noc na zamek. Spali razem w jednej z izb pokotem, a rankiem, zaledwie świt zajrzał w okno, przybrani wszyscy jednakowo — w ciemne po-

kutnicze szaty, do kaplicy podążyli, tam spowiadali się, komunikowali, poczem wysłuchawszy Mszy świętej, wrócili na zamek, gdzie im podano osobno skromny bardzo posiłek. Po obiedzie udali się do kościoła na nieszpory, a po tych nie wracali już do domu, lecz noc całą na rozmyślaniu spędzili. Srebrna lampa, zawieszona przed wielkim ołtarzem, słabe światło rzucała, a w półcieniu tu panującym świątynia tak jakoś wspaniale, uroczyście wyglądała, iż chłopcy z przejęciem pacierze mówili i sen nie naprzykrzał się im do oczu.

Rano, wysłuchawszy znowu Mszy świętej, udali się do łaźni, po której ubrawszy się strojniej, w jedwabne obcisłe suknie, na zamek wrócili, gdzie Bolko miał przyjmować odwiedziny tych, co mu życzenia złożyć chcieli; schodzili się i starzy i młodzi, a każdy jedno powtarzał: by śladami Chrobrego poszedł.

Nareszcie chwila ceremonii się zbliżyła; rano wcześnie bardzo trzeciego dnia przyniesiono Bolkowi strój stosowny: białą koszulę, u szyi i pięści złotem haftowaną, która niewinność oznaczać miała; na tę włożył Bolesław drugą, z drutu żelaznego, która tak delikatna była, iż zdawało się, że to siatka jedwabna; oznaczała ona trud, ból i wytrwałość, boć każdy rycerz na trud i ból się skazywał, a wytrwałym powinien był być. Na ową koszulę drucianą włożył Bolesław kaftan łosiowy — i ten miał swoje znaczenie: kładąc mu go,

stary dworzanin rzekł: „jako ten kaftan kryje koszulę drucianą, tak ty, panie, pokrywaj milczeniem cnoty twoje i cierpienia, bo te Bóg tylko jeden widzieć powinien“. Nareszcie przybrał Bolesław zbroję żelazną, czyli pancerz, ozdobiony złotem i klejnotami, na ręce włożył rękawice, na nogi nagolenniki także z żelaza; zbroja wyobrażała wiarę silną, nieugiętą, która ozdobą być powinna każdego rycerza. Na zbroję włożył płaszcz jedwabny, błękitny, na głowę hełm, piórami ozdobiony; towarzysze jego podobnie przybrani zostali.

Uroczystość pasowania odbywała się zwykle w kościele katedralnym — tam więc król z synem, jego przyjaciółmi, dworem i rycerstwem się udał; duchowieństwo czekało w kościele. Podwórzec zamkowy, wały go otaczające, ulica do kościoła prowadząca, pełne były ludu; każdy wzrokiem szukał królewicza, każdy pytał siebie w duszy: „Będzież on podobny do Chrobrego?... podniesie on państwo do takiej potęgi, na jakiej wówczas stało?“

Na wielkim ołtarzu gorzały świece woskowe. Duchowieństwo, zgromadzone przed cyboryum, zajmowało krzesła najparadniejsze, pod baldachimem arcybiskup; naprzeciw tego stał tron dla króla przygotowany, na nim siadł Władysław, panowie i rycerstwo ławy na kościele się znajdujące zajęli, lud między nimi stał zbity w jedną masę.

Królewicz, a z nim dwunastu towarzyszy, uklękli przed wielkim ołtarzem, zmówili krótką, stosowną do ceremonii modlitwę, poczem kolejno do króla przystępowali, składając przed nim na kolanach przysięgę, iż mieniem, krwią i życiem bronić będą ojczyzny, kościoła, wdów i sierot, że walczyć będą z poganami i krzywdzicielami niewinnych.

Po tej przysiędze i po ucałowaniu krzyża, jaki im ksiądz obok króla stojący podał, klerycy przynieśli królowi miecze, które poprzedniego dnia arcybiskup poświęcił na ołtarzu.

Władysław, uderzywszy naprzód klęczącego Bolka mieczem po ramieniu, co oznaczało, iż powinien znosić ciosy i razy odważnie za wiarę i ojczyznę, przypasał mu go następnie do boku, poczem innym toż samo uczynił.

Gdy młodzi rycerze, powstawszy od stóp tronu, przeszli do wielkiego ołtarza, wtedy odezwały się na chórze organy — i arcybiskup, który oddalił się na chwilę z kościoła, wyszedł ze Mszą. Klęcząc, Bolko oraz jego towarzysze wysłuchali jej pobożnie, a po skończonem nabożeństwie król, zaprosiwszy panów świeckich i duchownych, oraz przedniejszych z rycerstwa, pośpieszył na zamek. Przodem szli świeżo pasowani młodzi rycerze — na ich czele królewicz, promieniejący radością. Lud krzyknął: „Niech żyje syn królewski!“ — dzwony kościoła huczały głośno. Przed kościołem czekały kolasy i rumaki — starsi zajęli pierw-

sze, młodsi na konie skoczyli — i cały ten orszak strojny, głośny, na zamek podążył, ścigany okrzykami ludu i echem dzwonów kościoła.

Tutaj nowa niespodzianka czekała Bolka — król gości na turniej zaprosił... Ówczesna młodzież z ochotą wielką tej zabawie się oddawała. Na wielkim dziedzińcu zamkowym wszystko już było do niej przygotowane. Pogodny lubo mroźny dzień sprzyjał zabawie.

Plac był piaskiem grubo wysypany, dokoła stały ławy suknem kryte: krużganki zamkowe zamieniono w loże, oponami z boków je zasłoniwszy i rozpostarłszy nad każdym baldachim. Plac stanowił miejsce, gdzie młodzi rycerze mieli się popisywać ze swoją zręcznością: wejścia do niego pilnowali halabardnicy i herold, który miał obwoływać imię i herb każdego rycerza, w szranki wchodzącego.

Wokół placu widać było słupy stojące, a na nich zawieszone obręcze żelazne; plac otaczała drewniana balustrada w ten sposób, iż między nim a ławami było wolne przejście. Loże były przeznaczone dla kobiet, dla starszych panów świeckich i duchownych, oraz dla sędziów turnieju, jacy w razie sprzeczki sądzić mieli, który z walczących zasługuje na nagrodę. Najparadniejsza była loża króla i królowej; naprzeciw tej widać było na jednym z ganków, którego opony nie zasłaniały, muzykantów z długiemi trąbami złote-

mi i fletami. Ławy przeznaczone były dla dworu i rycerstwa niższego.

Nie tracąc czasu, król i królowa, panowie i panie, wróciwszy z kościoła, natychmiast miejsca zajęli w lożach i ławach, młodzież na plac pośpieszyła, zagrały trąby i flety, halabardnicy otworzyli wrota na plac wiodące i po obu stronach stanęli, nieco dalej, heroldowie. U wnijścia ukazało się kilku rycerzy; spuszczone przyłbice nie dozwalały poznać, kto oni — wszyscy byli ubrani podobnie do królewicza, tylko płaszcze niejednakowego koloru mieli: jedni pąsowe, inni błękitne, żółte, zielone, najrozmaitszej barwy. Każdy trzymał w jednej ręce kopię, w drugiej tarczę, na której herb rodu rycerza był wyryty, złotem lub klejnotami wysadzony — więc na jednej widać było ul i pszczoły się doń zlátujące, na drugiej jastrzębia z dzióbem rozwartym i szponami rozpostartemi, na innym podkowę lub rogi jelenie... Niektórzy mieli u ramion skrzydła stalowe; skrzydła te podczas wojny grały ważną rolę, bo gdy tak ubrany szedł cały oddział, to te skrzydła sprawiały szum głośny, często wystraszone tym hałasem konie nieprzyjaciół iść na przód nie chciały i cofały się, stając dęba, gdy pan zmuszał je postępować.

Na samym przodzie, przed tymi, co swej zręczności próbować chcieli, stało dwóch, którzy wzrostem wskazywali, iż lat męskich jeszcze nie dobiegli; jeden z nich miał u grzebienia hełmu

złotą przepaskę, drugi niebieską szarfę — było bowiem zwyczajem, iż każdy rycerz, biorący udział w turniejach, obierał sobie damę, w imieniu której walczył, i dama wybrana obdarzała go czemś ze stroju swego.

Ten, co złotą miał przepaskę, pierwszy wstąpił w szranki, podniósł przyłbicę i szmer objął plac: „królewicz Bolko!“ Bolesław, on to był bowiem, skinieniem głowy widzów powitał, poczem posłał uśmiech i spojrzenie do loży, gdzie siedział ojciec jego, macocha Judyta i maleńka 6-letnia siostrzyczka, którą obrał za damę swoją i dostał od niej złotą przepaskę; dziecina na uśmiech pocałunkiem rączką przesłanym odpowiedziała. Bolesław skinął na rycerza, którego zdobiła szarfa błękitna — był to syn jednego z dworzan króla — herold wygłosił obydwóch imiona i herby, poczem zapaśnicy ubiegać się poczęli o zdobycie pierścienia. Z dzidą wystawioną obiegali plac wokół i ze stojących tam słupów starali się zdjąć żelazne pierścienie, zawieszone na nich. Zręczny, zwinny królewicz za każdym razem zdobywał jeden; trzy razy plac obiegli, a dziesięć miał już zawieszonych u boku na rękojeści miecza, bo za każdym razem przystawał i zdejmował pierścień z dzidy. Oklaski uwieńczyły jego zręczność.

Teraz młodzi rycerze do siebie przyskoczyli i we wspólnym zapasie postanowili spróbować swej zręczności — lecz i tutaj Bolko zwycięzcą się

okazał: zdarł dzidą z hełmu towarzysza błękitną szarfę, a wzniósłszy ją w górę, z tryumfem widzom pokazał. Grzmot oklasków uwieńczył powtórnie zwycięstwo królewicza. Pokonany rycerz, opuściwszy przyłbicę, plac opuścił, a Bolko po nagrodę pośpieszył, którą z rąk swej damy miał otrzymać. Maleńka królewna, cała w bieli, ze złotemi włosami, które rozpuszczone spadały jej do ramion, z zielonym wiankiem na głowie, anioła przypominała. Wbiegłszy po sztucznie urządzonych schodach, królewicz dostał się na krużganek, klęknął przed siostrą, a ona ofiarowała mu kosztowny pierścień, jaki ojciec podarował jej rano, polecając, by bratu go dała podczas turnieju, jeśli na nagrodę zasłuży.

Tak bawiono się wówczas.

Występowali potém kolejno inni rycerze; dopóki zmrok nie zapadł, trwał turniej. Wspaniała uczta zakończyła ten dzień pełen wrażeń.

Wówczas każdy ziemianin był rycerzem. W razie niebezpieczeństwa, grożącego krajowi, król rozsyłał tak zwane wici, przez które wzywał każdego, kto zdrów był i szablę mógł udźwignąć, by śpieszył do szeregów.

Prócz tego po grodach stało załogami rycerstwo, które w każdej chwili do boju powinno było być gotowe.

Z czasem królowie przestali powoływać kmieci na wojnę — ich obowiązkiem było dostarczać

podwód i żywności dla wojska i ziemię orać, by chleba nie zbrakło; właściciele ziemscy służyli tylko mieczem rzeczypospolitej, kmiecie zaś pługiem. Lecz obok rycerstwa, z ziemian tworzonego na wojnie, służyła tak zwana piechota. Pierwsi zwali się pancernymi, nosili na sobie zbroję, hełm i skórę rysią zamiast owych jedwabnych płaszczy, jakie podczas uczt wesołych przywdziewali; skóra owa w czasie spoczynku zastępowała im pościel— sypiali na niej; do obrony służył im miecz, kopia, czyli dzida, chorągiewka ustrojona i łuk, który na plecach razem z kołczanem strzały zawierającym nosili.

Piechotę tworzono z niewolników, lub też z tych ludzi, którzy zostali skazani sądownie za popełnioną zbrodnię na utratę wolności. Taki niewolnik był własnością tak osób prywatnych, jak króla; w czasie wojny panowie i król tworzyli z nich zbrojne hufce i brali ze sobą Piechota zbroi nie nosiła, a nazwa sama mówi, iż i koni nie miała; do obrony mieli jedni tarcze i dzidy, drudzy łuki i strzały, za skórzanemi pasami dźwigali topory, które służyły im przy rozrywaniu murów, otaczających grody.

XI.

Chrzest Pomorza.

Pokój panował w kraju. Po śmierci Władysława objął władzę nad większą częścią państwa Bolesław III-ci, syn jego młodszy, który dzieckiem jeszcze zdobył sobie miłość poddanych i sławę dzielnego rycerza. Zamiłowany w myśliwstwie, postanowił skorzystać z dogodnej pory i z liczną drużyną starszych oraz młodszych dworzan wybrał się na łowy w lesiste północne strony swego państwa.

Znużeni trudami całodziennemi król i panowie pod cieniem sosen rozłożyli się na spoczynek i posiłek zamierzali przygotować sobie z ubitego ptactwa, gdy wtem posłyszeli jakiś hałas głośny, wychodzący z poza gęstwiny; sądząc, iż może stado dzików idzie, król porwał się z ziemi i, skryty za pniem drzewa, wycelował łuk, aby, gdy ujrzy łeb strasznego zwierza, strzałę nań wypuścić; lecz omylił się — zamiast dzików ujrzał gromadę ludzi. . Byli to widocznie jacyś rabusie, którzy z łupem i z jeńcami wracali; gdy się im bliżej przypatrzył Bolesław, poznał, że to Pomorzanie. Przekroczywszy granicę, na ziemię polską napadli widocznie, zrabowali jakąś wioskę i teraz z łupem i jeńcami uciekali do domu. Gniew zawrzał w ser-

cu króla — zapomniał, iż z garstką jest ludzi, wypuścił strzałę z łuku — i padł na ziemię jeden z rabusiów, trafnie pociskiem ugodzony; wtedy Bolesław wyskoczył z ukrycia i rzucił się z szablą dobytą na Pomorzan... Przerażeni niespodzianą napaścią, puścili zbobycz i uciekać poczęli, — lecz król za nimi pogonił, a z nim kilku dworzan jego, jeńcy zaś, błogosławiąc niebo za szczęśliwe ocalenie, uszli w przeciwną stronę. Las był olbrzymi — Bołesław, niepomny, iż oddala się od drużyny i sam prawie w obce, nieznane sobie strony się zapuszcza, gonił ciągle Pomorzan. Naraz usłyszał tętent, głosy, krzyki, hałas jakiś niewyraźny, który leciał ku niemu z przodu, z prawej, z lewej strony, z tyłu; przystanął, obejrzał się, począł wsłuchiwać i zrozumiał niebawem, co tętent ów znaczy: popadł w zasadzkę. Uciekający przed nim Pomorzanie spotkali zbrojny oddział swoich, powiadomili go o pogoni — i oto wróg go otoczył, a miał on w tej chwili tylko kilku dworzan przy sobie, liczba zaś oblegających była wielka: z poza każdego niemal drzewa wysunęła się postać zbrojnego Pomorzanina. Nie stracił jednak odwagi Bolesław; strach, było to uczucie mu nieznane; skinął na swoich i śmiało rzucił się na wroga. Pomorzanie, zdumieni jego zuchwalstwem, tak się zmieszali, iż Bolesław bez szwanku, kresy jednej nie otrzymawszy, przedarł się przez tłumy, które zastąpiły mu drogę, poczem wrócił na miejsce,

powtórnie drogę mieczem utorowawszy przez wroga, i zamierzał po raz trzeci szczęścia próbować, gdy zdala lecące okrzyki dały mu poznać, że ci z drużyny, co pozostali w tyle, nadciągają. Jakoż w istocie zjawił się wkrótce chorąży Skarbimir z innymi.

Pomorzanie, widząc przybywającą pomoc osaczonym i sądząc, że lada chwila więcej jeszcze rycerstwa polskiego nadciągnie, uciekać poczęli w najwyższym nieładzie.

Bolesław nie ścigał ich więcej, lecz postanowił raz na zawsze ukrócić zuchwalstwo Pomorzan — i powróciwszy do domu, obwołał przeciw nim wyprawę.

Na pograniczu Pomorza i Polski stało w owym czasie miasto Nakło, które sama natura uczyniła obronnem, takie bagna i trzęsawiska je otaczały. To postanowił naprzód obledz. Dowiedziawszy się, iż Bolesław nadciąga z wojskiem, mieszkańcy Nakła, uzbrojeni w dzidy, ustawili się wokół owego miasta, i wystawiwszy ostrza dzid naprzeciw nieprzyjaciół, utworzyli tym sposobem mur niedostępny. Ujrzawszy tę przeszkodę, Bolesław podzielił swe wojska na dwie części: dowództwo jednej powierzył chorążemu Skarbimirowi, nad drugą sam stanął, a posunąwszy się pod ów mur żywy, pierwszy na niego uderzył strzałami, a tyle ich rzucił na Pomorzan, iż zlękli się oni i zmieszali na chwilę, widząc naraz kilkunastu z pomię-

dzy swoich walących się na ziemię. Zmieszani, opuścili broń i w murze otwór się ukazał. Skarbimir, który zdala patrzał i pilnie uważał, co czynić, widząc to, natychmiast skinął na swoich; wpadł w ową próżnię i od strony przeciwnej począł nacierać na nieprzyjaciela. Tak we dwa ognie wzięci Pomorzanie byli zmuszeni ustąpić, a król, kazawszy teraz piechocie przeciągnąć oblężnicze machiny przez błota, przypuścił następnie szturm do Nakła i zdobył je wkrótce, poczem ruszył w głąb kraju. Poddawały mu się kolejno większe i mniejsze miasta, kilka tylko jeszcze opór stawiało, jak Białogród, Alba Regia; ku tym zwrócił się przeto Bolesław i posłał mieszkańcom Białogrodu dwa puklerze do wyboru: czerwony i biały; pierwszy wojnę oznaczał, drugi pokój. Hardzi Pomorzanie czerwony wybrali. Bolesław przypuścił szturm, krwawa walka zawrzała. Stojący na murach, miasto otaczających, Białogrodzianie celnie rzucali kamienne pociski na oblegających, ginęły setki od ich uderzeń, w wojsku wszczął się popłoch, rycerstwo traciło odwagę. Widząc to, Bolesław wziął kilkudziesięciu ludzi z pomiędzy swej piechoty, zeskoczył z konia, i oddawszy go jednemu z pancernych, sam na czele tarczowników ku murom postąpił. Uzbrojeni w tarcze, łuki i topory, innej broni nie mieli, lecz Bolesław przekonał się, że i tą wiele dokazać można. Schował miecz do pochwy,

tarczę wzniósł nad głowę, zasłaniając się nią od pocisków wroga, w drugą rękę wziął topór i poszedł odważny, śmiały, nieustraszony, i dotarł szczęśliwie do samej bramy miasta, bo ludzie jego tak samo tarczami się pozasłaniali i kamienne pociski głów ich dosięgnąć nie mogły. Uderzył w drewniane wrota tak silnie toporem, iż runęły u stóp jego, i wkroczył do miasta. Okrzyk radości wyrwał się z ust rycerstwa polskiego. Tłumnie pośpieszyli teraz oblegający ku murom miasta, z których Pomorzanie uciekli — Białogród zdobytym został. Wystraszeni mieszkańcy jękiem i szlochami napełnili ulice — zdawało się im, iż ostatnia godzina nadchodzi, że Bolesław każe wyrżnąć uparte miasto. Lecz o ile walecznym, o tyle i wspaniałomyślnym był Krzywousty — darował on życie wszystkim mieszkańcom zdobytego grodu.

Wieść o poddaniu się Białogrodu i o tem, jak łaskawie obszedł się Bolesław z pokonanymi, lotem błyskawicy rozbiegła się po Pomorzu; inne miasta, jak: Kanim, Kozlin, Wolin, kolejno uznawały nad sobą panowanie Polski — niebawem całe Pomorze jej uległo.

Zwycięstwo, odniesione nad ludem tak długo opierającym się, okryło sławą nieśmiertelną imię Krzywoustego — teraz szło tylko o to, by w zdobytej ziemi wiarę Chrystusa rozszerzyć. Bolesław rozmyślał nad tem, jakiegoby apostoła posłać Po-

morzanom, bo nie każdy odważyłby się zapuszczać w dziki ten kraj i nie każdego przyjęliby oni.

*

* *

— Cóż to za gość dostojny przybywa do Gniezna, iż Bolesław wyszedł na jego spotkanie aż 200 kroków za miasto, wyszedł boso, chcąc widocznie pokorę swą okazać, wyszedł otoczony pierwszymi panami państwa? Dostojny to musi być gość...

Tak mówili między sobą mieszkańcy Gniezna, widząc króla swego dążącego za mury starego grodu. Ciekawość ich wkrótce zaspokojoną została. Do murów Gniezna zbliżył się jakiś orszak konnych, który jednak zawiódł wszystkich oczekiwania. Na czele orszaku jechał starzec w kapłańskiej szacie, za nim kilku panów polskich.

Zbliżywszy się ku nadjeżdżającemu, Bolesław powitał starca pokornym ukłonem, a starzec krzyż błogosławieństwa nad głową pochylonego uczynił.

Tym starcem był Otton, biskup bamberski, dawny nauczyciel Bolesława, którego król uprosił, aby się podjął nawrócenia Pomorza. Wezwany listownie Otton, pobożny wielce, pełen poświęcenia dla wiary, pośpieszył do Gniezna i obiecał królowi, że spełni jego życzenia. Zabawiwszy kilka dni w starym grodzie, ruszył Otton na pobożną pielgrzymkę, a król dla bezpieczeństwa i ulżenia

pracy dodał mu kilku młodych księży i rycerza Pawlicza z ludźmi zbrojnymi. Otton zakupił sukna drogiego, odzieży pięknej, żywności, kazał wyładować wozy i ruszono w drogę, a droga wiodła przez lasy tak gęste, iż nieraz siekierą musieli ścieżkę sobie tworzyć i schylać się ciągle pod gałęźmi drzew, które ziemi sięgały, a tak były wielkie, iż łatwo zbłąkać się można było wśród nich, gdyby nie Pawlicz, który znał je dobrze. Zwierz dziki i dzikszy jeszcze mieszkaniec Pomorza z tej gęstwiny mógł też łatwo wypaść znienacka na idących. Nieraz natrafiali też na takię moczary, błota, trzęsawiska, iż przebyć je było niepodobna, — wtedy albo cofać się trzeba było i drogi innej szukać, albo rąbać drzewo, walić kłody w błoto i po nich przechodzić. Wreszcie po wielu, wielu dniach, pełnych niebezpieczeństw i trudów, ujrzeli przed sobą mury miasta Pirycza.

Tu nowe groziło apostołom niebezpieczeństwo — śmierć z ręki pogan. Alboż nie zginął z ręki bałwochwalców św. Wojciech?... Iluż tak nie zginęło?... Wspomnienie męczenników stanęło im w pamięci, lecz odwagi nie odebrało ani Ottonowi, ani jego towarzyszom.

Ponieważ noc nadchodziła, rozbili przeto płócienne swoje namioty pod miastem i tu ją spędzić postanowili. Zdala dochodziły ich echa pieśni pogańskich, widzieli porozpalane wielkie ogniska, koło nich młodzież tańczącą — widocznie Piry-

czanie obchodzili jakieś święto... Nie chcieli im przeszkadzać, modlili się cicho i dnia czekali. Ranek wreszcie zawitał, w mieście się uciszyło, wtedy Pawlicz w towarzystwie dwóch żołnierzy udał się do Pirycza i mieszkańcom jego oznajmił, iż przybył do nich z Gniezna biskup bogaty, który nie chce nic od Pomorzan, lecz którego król Bolesław poleca, aby go przyjąć gościnnie. W mieście powstał ruch, ludzie zbierać się poczęli, szeptać, radzić, nareszcie zwołali wiec, na którym starszyzna po długich sporach uradziła, by biskupowi pozwolić wejść do miasta.

— Nie należy obrażać tak potężnego króla, jak Bolesław — mówili starostowie do siebie, — a przytem Bóg chrześcijan widocznie od naszych silniejszy, kiedy Go coraz więcej ludzi uznaje.

Jakoż kilku najstarszych z pomiędzy władyków, otoczeni ciekawą młodzieżą, wybrało się do obozu Ottona. Biskup, uwiadomiony o ich przybyciu, wyszedł naprzeciw w szatach uroczystych i począł im mówić o wielkim Bogu chrześcijan, jak sprawiedliwym i miłosiernym jest, o Bogu, który zarówno pokornych jak i wielkich kochać każe, biednych jak bogatych, szczęśliwych jak strapionych.

Słuchali go Pomorzanie w skupieniu, a gdy skończył, podniósł się głos jeden z tego tłumu:

— Niechaj ten Bóg i naszym Bogiem będzie!

W kilka dni potem odbył się chrzest Piryczan. Na wielkiem polu pod miastem ustawiono kadzie z wodą, w nie zanurzyli się ci, co chrztu pragnęli, przy każdej kadzi stawali rodzice chrzestni, a biskup Otton zbliżał się do zanurzonych w wodzie, olejem świętym ich namaszczał, wymawiał wyrazy błogosławieństwa i nadawał imię. Nawróconym, gdy z wody wychodzili, rodzice chrzestni nakładali białą, świeżą szatę.

Dwadzieścia dni pracował wytrwale biskup Otton w Piryczu, skąd udał się znowu przez lasy i błota do innych miast, wszędzie słowo Boże szerząc.

Pomorze było nawrócone dzięki Bolesławowi Krzywoustemu, który orężem drogę Ottonowi utorował.

Dzieło nawrócenia i zdobycia Pomorza dokonanem było r. 1109.

XII.

Pod Głogowem.

Za czasów panowania królów z rodu Piasta Polacy ustawiczne wojny prowadzić byli zmuszeni — to Niemcy, to pokrewne im ludy słowiańskie: Pomorzanie, Czesi, ziemię ich najeżdżali. Lecz nie tylko u nas tak było wówczas — wszędzie toż sa-

mo, wszędzie wojna była głównem zajęciem książąt, a sława na polu bitwy była sławą najpiękniejszą. Dopiero z postępem oświaty ludzie w człowieku inne przymioty wyżej nad siłę fizyczną cenić poczęli.

Zaledwie Bolesław uspokoił się nieco z Pomorzanami i począł myśleć o tem, by wiarę wśród nich rozkrzewić, doszły go wieści, iż Henryk V, cesarz Niemiec, wkroczył w granice jego państwa — podobno namówił go do tego starszy brat Krzywoustego Zbigniew, który nie mógł darować narodowi, iż młodszemu władzę powierzył, a jemu tylko mniejszą część państwa przyznał. Pogłoska nie była mylną — w istocie cesarz Henryk V, postąpiwszy ku rzece Odrze, z licznem wojskiem na ziemię Polan wszedł i dotarł aż do miasta Bytomia, lecz tu spotkał go tak dzielny opór, iż zawahał się, czy iść dalej. Dumny i zarozumiały, był pewny, że gdy go ujrzą Polacy, padną przed nim na kolana, że nie będą śmieli podnieść broni na cesarza Niemiec, cesarza jednego z największych państw Europy; widząc wszakże, iż się omylił, że, nim Polskę zawojuje, musi pierwej niejeden swój hufiec stracić, wolał zaniechać wojny niepewnej i wysłał do Krzywoustego gońca z listem uprzejmym:

„Cesarz Bolesławowi księciu zasyła pozdrowienie i łaskę—napisał w tym liście.—Poznawszy dzielność twoją, do rady moich wodzów się przy-

chylam i oznajmiam, że odebrawszy 300 grzywien, spokojnie odejdę; inaczej sięgnę pod Kraków."

List ten obraził Bolesława. Trzysta grzywien posłać cesarzowi znaczyło toż samo, co powiedzieć mu: „lękam się twej potęgi," toż samo, co uznać się hołdownikiem cesarza Niemiec. Tego zwycięzca Pomorzan, potomek Chrobrego, nie uczyni. Na list listem odpowiedział.

„Bolesław, książę Polski, pragnie również pokoju — brzmiała odpowiedź, — ale nie za pieniądze; wasza cesarska wola iść dalej lub się wrócić, lecz dla bojaźni nie znajdzie tutaj ani jednego grosza; wolę bowiem władzę, wolność, życie utracić, niż panowanie dzierżyć w pokoju a niesławie."

Wysławszy ten list, począł Krzywousty czynić przygotowania do wielkiej wojny: ściągnął ludzi z pod Krakowa, Lublina, Sandomierza, ze wszystkich dzielnic kraju; zbroił hufce, działa gromadził, rozesłał poselstwa w różne strony, o pomoc prosząc, a tymczasem obrażony odpowiedzią Henryk V obległ znajdujące się na Śląsku miasto Głogów.

Było to stare bardzo miasto, nizkie mury je otaczające obrony bezpiecznej nie stanowiły. Kasztelan głogowski, widząc olbrzymie siły nieprzyjaciela, czuł, iż z nielicznym garnizonem, jakim rozporządzał, jeśli król pomocy nie przyśle, nie

odeprze nieprzyjaciela, że Niemcy zburzą Głogów i pójdą dalej, a zachęceni pierwszem powodzeniem, śmielej działać będą Wysłał przeto gońca do króla, błagając pomocy, a cesarza prosił przez posłów, by wstrzymał się z oblężeniem, póki odpowiedzi od króla nie otrzyma. Cesarz, którego wojska były znużone długim pochodem, chętnie zgodził się na zwłokę, lecz zażądał, aby Głogowianie dali mu w zakład kilku synów najbogatszych rodzin miasta. Głogowianie zgodzili się chętnie — zdrada przez myśl im nie przeszła, wymagali tylko, by cesarz złożył przysięgę, że jeśli Bolesław przyśle im odsiecz i walczyć z cesarzem rozkaże, on wróci im synów. Cesarz złożył przysięgę, że tak uczyni, i Głogowianie posłali mu dziesięciu synów najzamożniejszych rodów; pomiędzy nimi był i syn samego kasztelana Głogowa. Chłopięta poszli odważnie do obozu Niemców, a gdy ich matki płacząc żegnały, mówili:

— Radujcie się raczej, iż syny wasze idą służyć ojczyźnie, lubo dziećmi są jeszcze.

W kilka dni potem przyszła odpowiedź od króla.

Bolesław obiecywał, iż niebawem z pomocą nadciągnie i polecił bronić się swoim odważnie.

Głogowianie przesłali natychmiast tę odpowiedź cesarzowi, żądając jednocześnie zwrotu zakładników; śpiesznie zajęli się naprawieniem starych murów oraz przygotowaniem środków obro-

Habdank.

ny. Jakoż niebawem stanęły na murach Głogowa kusze, które kamieniami wielkości głowy ludzkiej miały razić oblegających, śmigownice, oraz inne machiny, a obok nich stosy kamieni młyńskich, kloce drzewa, snopy słomy, kadzie ze smołą wrzącą, a między tem wszystkiem ludzie uzbrojeni w łuki, topory i szable... Wszystko było gotowe do obrony, dzień i noc pracowali Głogowianie, kobiety mężczyznom pomagały, dzieci kobietom, czekano tylko powrotu zakładników, lecz tych widać nie było, ani też posła, którego po nich wysłali. Tymczasem ranka jednego stojący na murach ujrzeli wielką, czarną masę, pełzającą zwolna, jak żółw, ku miastu; masa ta coraz wyraźniejsze kształty przybierała, stawała się coraz dłuższa i dłuższa, aż wreszcie poznać było już łatwo, że to olbrzymie wojsko Henryka V-go idzie ku Głogowu, a przed wojskiem toczą się ciągnione przez rosłe konie machiny oblężnicze, kusze i śmigownice, wozy pełne belek i kamieni, tarany o głowach żelaznych, baranie kształtem przypominających, a przy machinach własnych synów ujrzeli przywiązanych powrozami.

Zgroza przejęła ich serca: tak to dotrzymywał przysięgi Henryk V. Wierzyć w tak haniebną zdradę jeszcze nie chcieli, łudzili się, że cesarz odda im dzieci, gdy pod miastem stanie. Olbrzymie wojska niemieckie dotarły do Głogowa, obległy wokół jego mury, przed wojskami stanęły machi-

ny, a na nich dzieci Głogowian, lecz szturmu jeszcze nie rozpoczynano. Henryk V wysłał posła do kasztelana grodu; posłem jego był tym razem goniec, który mu odpowiedź Głogowian i żądanie zwrotu zakładników przyniósł: lękał się Niemca posłać. Nieszczęsny goniec oświadczył swym braciom, iż cesarz żąda, aby mu bramy miasta otworzyli, że w takim razie odda im dzieci, — w przeciwnym zatrzyma je, bo mu przydatne będą, aby nie mieli Głogowianie odwagi rzucać pocisków na jego wojsko. Lecz kasztelan Głogowa bram miasta nie otworzył.

— Bądź krzywoprzysiężcą i mordercą, my zdrajcami nie będziem — taką odpowiedź przyniósł poseł cesarzowi.

Niemcy szturm przypuścili — z kusz i śmigownic poleciały ku murom Głogowa kamienie, śmierć na nich siejąc; padł ten i ów żołnierz tam stojący, lecz inni wahają się jeszcze. Rzucić na Niemca pocisk, to znaczy krew własną przelać — wszak tam wśród wrogów stoją ich własne dzieci. Wtem od machin, do których synowie Głogowian są przywiązani, leci jeden okrzyk:

— Ratujcie Głogów! ratujcie miasto!

Okrzyk ten do kroku stanowczego skłania ojców, sił im dodaje.

— Bolesławie, przybywaj! przybywaj! — jękiem bolesnym rozległo się na murach, lecz jednocześnie zaskrzypiały stojące tam kusze i kamienne

pociski spadły na Niemców; warczą strzały, prują ze świstem powietrze i godzą w serca Niemców... Padli wszyscy synowie Głogowian, lecz padło obok nich wielu najezdników, a Głogów zato stoi i opiera się mężnie. Bój zawrzał zacięty. Niemcy, nakryci deskami, podsunęli się pod mury miasta, by je podkopać, lecz Głogowianie, zanurzywszy pęki słomy w smole, zapalili je i rzucali na wroga, gnietli go kamieniami młyńskiemi, jakie staczali na niego ze swych murów. Niemcy przystawili drabiny, wdzierali się na nie, by na szczyt murów się dostać. Głogowianie wodą wrzącą lub smołą oblewali śmiałków i z drabin uciekali Niemcy; czasem który ze stojących na murach chwytał ją zręcznie, przewracał razem z Niemcem, lub wciągał na górę i brał do niewoli śmiałka. Coraz zawzięciej jedni i drudzy walczą, coraz więcej tu i tam trupów; mijają dni za dniami, słońce się kryje i powraca znowu, a Głogów wciąż stoi, a bramy jego dla najeźdźców zamknięte. Tymczasem nadciągnął Bolesław z wojskiem, przyszli z nim Mazowszanie, Chrobaci, Ślązanie, Pomorzanie, Polanie, wszystkie podwładne mu ludy, przyszli i Madziarowie. Olbrzymie to wojsko rozrzuciło się szeroko po ziemi Śląskiej i poczęto napadać pojedynczemi oddziałami — wojska cesarskie zewsząd otoczone zostały. Wtedy sądził Bolesław, iż cesarz przekonał się dostatecznie, iż nie tak łatwo jest ujarzmić tych, których Chrobry złączył

w jedno państwo, i wysłał do obozu cesarskiego posłów, by nakłonili cesarza do opuszczenia ziemi jego.

— Krwi nie chcę od nich, ino spokoju, bo mi żal poddanych — mówił do posłów; — jeśli dobrowolnie odstąpi od Głogowa, dozwolę mu odejść do domu i drogi mu tamować nie będę.

Dowiedziawszy się, iż panowie polscy pragną z nim mówić, Henryk V sądził, że Bolesław do pokory się ucieka. Przybrawszy się w płaszcz cesarski i koronę, zasiadł przeto na swym tronie, kazał przynieść skrzynie, w których kosztowności miał złożone, postawić je obok, kazał hrabiom tron otoczyć i tak przyjął poselstwo. Prowadził je Skarbek z Góry, rycerz wymowny i zacny; przystąpiwszy do tronu, pokłonił się on hardo dumnemu cesarzowi Niemiec i temi słowy się odezwał:

— Oto pan mój, Bolesław, przysłał mnie do ciebie, wielki cesarzu, i rzec ci kazał; „Odstąp od Głogowa, wróć do ojczyzny; zamiast wojować z chrześcijany, wspólnie z nami obróć oręż przeciw poganom, których siła jeszcze na ziemi, a Bolesław Krzywousty z wroga przyjacielem twoim się stanie.“

Lecz cesarz z uśmiechem pogardy posła wysłuchał; gdy mówić skończył, wskazał ręką na skrzynię pełną złota, przed nim stojącą.

— Oto mój oręż, którym Polan ujarzmię — rzekł.

Zawrzał gniewem Skarbek — toż cesarz dawał mu do zrozumienia, iż przekupi Polaków złotem. Polacy na złoto nie chciwi, a na zniewagę drażliwi — hardo spojrzał poseł po wszystkich, zdjął z palca kosztowny pierścień.

— Dodajmyż złoto do złota — odparł i pierścień rzucił do skrzyni.

Potem uderzył ręką po szabli.

— My żelazo wolim — dodał, a wzrok jego więcej mówił, wzrok jego groził.

— *Hab' Dank* — odparł cesarz.

Skarbek pokłonił się cesarzowi — wrócił do króla i słowa Henryka V-go mu powtórzył.

Obrażony Bolesław postanowił zgnębić nieprzyjaciela. Wojna trwała dalej. Niemcy oblegali Głogów, a Polacy nękali ich napadami ustawicznemi; tymczasem poczęło brakować żywności w obozie cesarza, gdyż Bolesław pilnie strzegł, aby mu jej nie dostarczono. Głód począł zaglądać do namiotów niemieckich, zjawiały się w nich choroby zaraźliwe, ludzie umierali z niedostatku, z trudów, ran, zarazy. Źle zagrzebywane ciała rozszerzały powietrze trujące, dłużej niepodobna było wytrwać. Henryk postanowił się cofnąć, lecz nocą, cichaczem, by nikt sromu jego nie widział; przebrany w suknie prostego żołnierza, otoczony odartem, wynędzniałem rycerstwem, uchodził potajemnie, lecz tętent kopyt końskich zdradził go. Straż namiotu Bolesława posłyszała hałas,

dała znać o ucieczce — puścił się w pogoń król za Niemcami i dognał pod Wrocławiem. Tu stoczył bitwę i klęskę straszną wrogom zadał. Z garstką powrócił Henryk do domu — zmarnował olbrzymią armię, setki matek niemieckich płakało na niego. Pole pod Wrocławiem pokryte było trupami; zwabione zapachem krwi, zbiegły się psy z okolicznych wsi i wyprawiły sobie ucztę na owem polu, które do dzisiejszego dnia „Psiem polem“ nazywają.

Odpocząwszy po trudach, Henryk V zaprosił Bolesława Krzywoustego do miasta Bamberga, by pokój i przyjaźń z tak sławnym rycerzem zawrzeć.

Chętnie pośpieszył na to wezwanie Bolesław i pokój zawartym został. Cesarz Henryk V i Bolesław Krzywousty odnowili przymierze, jakie niegdyś Otton III i Bolesław Chrobry z sobą zawarli, prócz tego cesarz królowi panowanie swoje nad Elbą rozszerzać pozwolił, za co Bolesław wydał mu wszystkich jeńców, pojmanych do niewoli w czasie ostatniej wojny.

Streszczenie części drugiej, do wieku XIII-go.

I znowu wieczoru jednego ciotka Ludmiła, zebrawszy nas naokoło stołu, zamiast opowiadać, za-

dawała nam pytania; a gwarny to był wieczór — tyleśmy ciekawych rzeczy dowiedzieli się przez te dwa tygodnie ubiegłe, tak każdy chciał się pochwalić, iż pamięta o czem ciotka mówiła, zasłużyć, by nadal opowiadała, iż każdy chciał pierwszy zabrać głos, ale Marcyś nie dopuścił nikogo.

— Wiesz co, cioteczko — zawołał, zaledwieśmy stół obsiedli, — gdy dorosnę, to pójdę w Karpaty i poszukam Bolesława Chrobrego, zbudzę go ze snu i poproszę, by mi swój Szczerbiec pokazał, bo mu go anioł pewno wtedy odda. Ja bardzo kocham tego króla... on był taki rozumny, taki dobry, taki waleczny.

Ciocia pogładziła jasną główkę Marcysia.

— Tak, to był największy ze wszystkich naszych królów — odparła.

— Co do mnie, bardzo mi się podobał Bolesław Śmiały — odezwała się Adelka — tak chętnie wspomagał drugich w niedoli, choć za to żadnej nagrody nie otrzymał, a potem tak wytrwale pokutował za grzech popełniony... Biedny, jedno uniesienie gniewu zgubiło go!

— Niestety, jeden krok fałszywy, jeden błąd popełniony gubi nas i czyni nieszczęśliwymi na całe życie — odparła ciocia. — Z historyi wiele nauczyć się można. Nie tylko dowiadujemy się z niej bowiem, jakie ważniejsze wypadki w tem lub owem państwie niegdyś się wydarzyły, lecz także z życia ludzi możemy czerpać dla siebie

naukę. Bolesław Śmiały to przykład dla każdego, jak niebezpiecznem jest, gdy od lat dziecinnych nie nauczymy się panować nad naszym charakterem.

— Ja mam najwięcej sympatyi do Kazimierza Odnowiciela, ojca Bolesława Śmiałego — rzekła Terenia. — Ten król, który rzucił spokojne i wygodne życie, jakie wiódł przy matce, by dziedzictwo ratować, który stojące nad przepaścią państwo dźwignął i uporządkował na nowo, który, nie zważając na to, że śmierć mu grozi z ręki zbuntowanych poddanych, śpieszył, by przywrócić porządek w ich ziemi, budzi we mnie cześć i uwielbienie.

— Ach, jaka to szkoda, że dziś niema już turniejów! — odezwała się naraz Adelcia — dałabym Marcysiowi błękitną szarfę, jakby się wybierał na owe turnieje, a gdyby zwyciężył, to ustroiłabym jego hełm wieńcem zielonym.

Ciocia uśmiechnęła się.

— Piękne to były zabawy, nie przeczę — rzekła, — jednakże lepiej dzisiejsze mnie się podobają. Teatr, muzyka, książka, rozmowa, czyż to nie milsza rozrywka? Nie można się wszakże dziwić naszym przodkom: w owych czasach prócz księży nikt czytać i pisać nawet nie umiał, więc obmyślano tego rodzaju zabawy, na których nie rozumem, nie talentem się popisywano, ale siłą. Lecz rozpocznę pytania, bo czas ubiega, a chcia-

łabym się dowiedzieć, co też tam w waszych główkach pozostało z tego, coście odemnie słyszeli...

— Powiedz mi, Jadziu, za czyjego panowania Polanie przyjęli wiarę chrześcijańską i w którym roku.

— Za Mieczysława, syna Ziemowita, potomka Piasta, roku 965 — odparłam dziś tonem zupełnie spokojnym, bo dzisiaj pewną byłam siebie: co wieczór z Terenią powtarzałam to, o czem opowiadała nam ciocia.

— A który z książąt Polan pierwszy królem uznany został? — zapytała znowu ciotka.

— Bolesław Chrobry, syn Mieszka. Roku 1000 Otton III, cesarz niemiecki, przybywszy do Gniezna, by pomodlić się u grobu św. Wojciecha, zaproszony na ucztę przez Bolesława, włożył mu na głowę koronę, mówiąc, iż zasługuje na nią, a r. 1125 Bolesław, otrzymawszy pozwolenie od papieża, odbył uroczystą koronacyę w Gnieźnie.

— Czy położył jeszcze więcej zasług dla kraju Bolesław? — zapytała mnie znowu ciotka Ludmiła.

— Jeszcze bardzo wiele — odparłam: — rozszerzył granice państwa, które za Mieczysława I-go składało się tylko z Wielkopolski, ziemi Łęczyckiej i Sieradzkiej, z Mazowsza i Kujaw. Bolesław zdobył Pomorze, Śląsk i Chrobacyę białą, czyli ziemię Krakowską i Sandomierską; urządził państwo wewnątrz, ubezpieczył jego granice, ustanowił

urzędników, sprowadził zakon Benedyktynów, którzy zakładali szkoły, uczyli lud szczepić drzewa i uprawiać rolę.

— Bardzo dobrze — rzekła ciocia; — chodź, niech cię uściskam.

Zerwałam się uszczęśliwiona, rzuciłam się w objęcia cioci.

— To zasługa Tereni: powtarza ze mną co wieczór to, o czem nam mówisz, cioteczko — wyznałam cicho.

— Powinnaś ją kochać serdecznie, bo dobrą jest bardzo siostrzyczką ta wasza Terenia — rzekła ciocia głosem wzruszonym. — Gdy mnie nie będzie wśród was, ona opiekunką waszą będzie.

To powiedziawszy, wyciągnęła dłoń do Tereni, która tuż obok niej siedziała, a moja dobra siostrzyczka, zarumieniona tą pochwałą, z pocałunkami do jej ręki się pochyliła.

— Powiedz mi, Tereniu, jak to Bolesław urządził swoje państwo i czem ubezpieczył jego granice? — zapytała ją ciocia.

— Podzielił je na części, zwane kastelaturami — odparła Terenia, — w każdej kastelaturze wybudował gród, a w nim zamek drewniany, w którym osadził kasztelana, temu nadał władzę sądowniczą i wojenną, dał mu też do pomocy garnizon wojska. Kasztelan miał sądzić sprawy, karać winnych w swej kastelaturze, a w razie wojny bronić jej, lub śpieszyć z pomocą królowi. Ubez-

pieczył państwo Bolesław przez to, iż na granicy jego pobudował wiele grodów i zamków obronnych.

— Jakie prowadził Bolesław wójny, prócz wojen, w których zdobywał ziemie Słowian? — zapytała jeszcze Terenię ciocia.

— Dał pomoc wygnanemu z Kijowa Świętopełkowi, zdobył dlań Kijów roku 1018, a wjeżdżając do tego miasta, na znak zwycięstwa uderzył swym mieczem w złotą bramę tak silnie, iż miecz się wyszczerbił.

— Wojował też z cesarzem niemieckim Henrykiem II, synem Ottona III — uzupełniła odpowiedź Tereni ciocia. — Czesi obrali Bolesława królem, on przyjął koronę, a cesarz zażądał wówczas, aby mu hołd złożył, bo królowie czescy uznawali się hołdownikami cesarzy. Bolesław odmówił, rozpoczęła się stąd wojna, Bolesław zmuszony był z Czech ustąpić, lecz przeniósł wojnę do kraju Łużyczan i tutaj odniósł zwycięstwo. Roku 1017 cesarz zawarł z nim pokój w Budziszynie, na mocy którego oddał mu wszystkie zdobycze, poczynione w tej wojnie między Odrą i Elbą.

— Teraz Zosia niechaj mi powie — dodała ciocia, zwróciwszy się naraz do niej, — co się działo w Polsce po śmierci Bolesława.

— Rządził w niej Mieczysław, syn jego, ale panowanie to było nieszczęśliwe: napadli nań Czesi i Niemcy, zbuntowali się Pomorzanie; pokonany,

umarł z żalu—śmiało odpowiedziała Zosia.—Żona Mieczysława, Ryxa, po jego śmierci odjechała z małoletnim swym synem do Niemiec, a w kraju był nieład okropny: powróciło bałwochwalstwo, złączone przez Chrobrego ziemie poczęły odpadać. Szczęściem, jak tylko Kazimierz doszedł do lat, pośpieszył do Polski i porządek przywrócił, a było to roku 1040, za co Odnowicielem go nazwano.

W oczach cioci można było czytać zadowolenie, nie chwaliła jednak Zosi, tylko jeszcze jedno pytanie jej zadała:

— Który z synów objął władzę po śmierci Kazimierza?

— Bolesław Śmiały — odparła, zawsze tonem pewnym; — prowadził on wojny: z Węgrami r. 1060, gdzie osadził na tronie strąconego Belę; z Czechami r. 1061, gdzie pokrzywdzonego przez brata Jarosława popierał; roku 1068 pomagał Izasławowi do odzyskania Kijowa.

— Miałam nadzieję, że będziecie mnie słuchać uważnie — rzekła ciocia, — lecz przyznaję, iż wasze odpowiedzi są niespodzianką dla mnie. Bardzom z was zadowolona.

— I codzień więcej będzie ciocia zadowoloną, gdyż pochwała zachęca — rzekła Terenia.

— A mnie pani nic jeszcze nie pytała — odezwała się milcząca dotychczas Emma.

— I mnie także, ciotuniu — dodała Magdzia.

— I nas — tonem zmartwionym odezwał się Marcyś, wzrokiem przyjaciela wskazując.

— Na każdego kolej przyjdzie, nie lękajcie się — odparła ciocia. — Teraz Marcyś powie mi swoje zdanie: Jak ci się zdaje?... czy dobrze dzieje się tam, gdzie pana nigdy w domu niema, a raczej, czy dzieci mogą pozostać bez opieki?

— Nie mogą... bo się pokłócą i pobiją najczęściej, gdy są same — odparł Marcyś.

— Więc czy dobrze działo się w Polsce za rządów Bolesława Śmiałego? Wacio na to pytanie mi odpowie.

Chłopiec zsunął brwi, nachmurzył się.

— A źle bardzo — rzekł poważnym tonem: — był nieporządek, kmiecie napadali na domy panów i zabierali im wszystkó.

— Dobrze, Waciu, dobrze — pochwaliła go najstarsza siostra, nie zdradzając się, że to jej zasługa, bo go uczyła codzień w skróceniu tego, co usłyszała od ciotki Ludmiły, a ciocia nowe pytanie uczyniła:

— Czy nikt nie napominał Bolesława za jego postępowanie?

— Łajał go biskup Stanisław; ale Bolesław nie słuchał, więc biskup go wyklął, za co król tak się rozgniewał, że go zabił przy Mszy świętej.

— Lecz potem żałował tego, co uczynił, złożył władzę, poszedł do klasztoru i w ciężkiej po-

kucie ostatnie lata życia spędził — stanęła żywo w obronie swego ulubieńca Adela.

— A w którymże to roku ową zbrodnię Bolesław popełnił? — spytała ją ciocia.

— Roku 1079 — odparła Adelka.

— Któż władzę po nim objął nad państwem?

— Brat jego Władysław—mówiła dalej Adela, — lecz nie koronował się na króla. Długi czas po owej zbrodni, popełnionej przez Bolesława Śmiałego, władcy Polan używali tylko tytułu kneziów.

— Po śmierci Władysława objął władzę syn jego, Bolesław Krzywousty — odezwała się niepytana Emcia; — był to król waleczny, prowadził on wojnę z Niemcami i pokonał ich roku 1110 pod Wrocławiem, przywiódł do posłuszeństwa Pomorze i ostatecznie je nawrócił roku 1125.

— A jaki błąd popełnił Bolesław? — zapytała ją ciocia.

— Rozdzielił państwo między czterech synów, z czego długoletnie domowe niezgody wynikły.

— Teraz kolej na Magdzię i na Manię, bo one nic jeszcze nie mówiły — rzekła ciocia. — Magdzia mi powie, jaką władzę mieli w tej epoce królowie.

— Nieograniczoną: ziemia cała była ich własnością, mieszkańcy jej ich poddanymi — pośpieszyła z odpowiedzią Magdzia.

— A jakie były wówczas stany w Polsce?

— Urzędnicy, rycerze, kmiecie i niewolnicy. Urzędnicy dzielili się na duchownych i świeckich; najwyższy urzędnik duchowny był arcybiskup, potem biskupi; najwyższy urzędnik świecki był wojewoda, potem szli kasztelani, kanclerz, który kancelaryę miał na dworze króla, podskarbi, który pobierał podatki i do skarbu królewskiego je składał, a podatki te płacono w naturze; rycerze służyli na wojnie, kmiecie rolę uprawiali, niewolnicy rzemiosłami się zajmowali, lub na pańskim zagonie z pługiem chodzili.

— A czy w owych czasach posiadał już kto ziemię na własność? — zapytała ją ciocia.

— Posiadali — odparła Magdzia: — królowie zasłużonych urzędników i rycerzy często w nagrodę obdarzali ziemią, którą oni, umierając, mogli synom swoim przekazywać.

— Teraz niechaj Mania skupi uwagę — rzekła ciocia łagodnie: — powiedz mi, czy duchowieństwo miało w tej epoce wielkie znaczenie u nas.

Mania zarumieniła się.

— Bardzo wielkie — rzekła nieśmiałym głosem: — mogli nawet królów karać; gdy im byli nieposłuszni, rzucali wówczas na nich klątwy, to jest, zabraniali im uczęszczać do kościoła, przyjmować sakramenta i uwalniali każdego od obowiązków posłuszeństwa względem wyklętego.

— Bardzo dobrze — odparła ciocia; — lecz przez co doszli oni do takiego znaczenia?

— Bo byli najrozumniejsi w narodzie — odpowiedziała już śmielej Mania; — oni jedni zajmowali się naukami, królowie zaś i rycerze prowadzili ustawiczne wojny; byli też bardzo pożyteczni, gdyż w ciemnym kraju rozszerzali oświatę.

— Tak jest. Duchowieństwu zawdzięczamy pierwsze promienie światła, które ciemne umysły Polan rozjaśniły — rzekła ciocia, — to też królowie, wywdzięczając się im, obdarzali ich ogromnemi majątkami i duchowieństwo było bardzo zamożne w owych czasach, ale też i dużo dobrego czyniło: zakładało wszędzie szkoły, zajmowało się naukami, wpływało na moralność ludu, na wyrobienie wśród niego obyczajów mniej surowych... Ponieważ oświata w tych czasach nizko bardzo stała, więc literatura była też bardzo uboga; tworzyli niewiadomi poeci po polsku pieśni rozmaite, księża pisali kazania i modlitwy także po polsku lub po łacinie, zapisywali ważniejsze wypadki, jakie zdarzyły się w kraju; tacy zwali się kronikarzami. Pierwszy kronikarz pojawił się u nas za panowania Bolesława Krzywoustego, nazywał się on Gallus. Pisali też księża i po łacinie wiersze. W Poznaniu do dziś dnia można przeczytać na grobie Bolesława Chrobrego następujący wiersz, który wam w polskim języku powiem:

„Tu leży w grobie książę chwalebna gołębica. Chrobrym jesteś nazwany, bądź na wieki błogosławiony. W źródle świętem omyty sługo Boży, ucięte włosy twoje siedmioletniego czasu posłano do Rzymu. Posiadłeś jako zapaśnik Chrystusa państwo Słowian. Cesarz prześwietny chciał ci godności książęcej odmówić, temuś złożył dary, boć na bogactwach nie zbywało. Chwalebny książę, tobie chwała, najjaśniejszy Bolesławie. Zrodzony z niewiernego ojca, lecz z prawowiernej matki, zawojowałeś ziemię. Dla dobrej sławy dał tobie Otton koronę. Dla pieczy nad nami bądź zbawion.“

Tak więc i tego wieczora, chociaż pytania tylko zadawać miała dobra nasza ciotka Ludmiła, usłyszeliśmy jednak coś nowego. Następnych wieczorów dalsze wypadki opowiadała nam znowu.

CZĘŚĆ TRZECIA.

I.

Leszek Biały.

W dawnych bardzo czasach, nad Wisłą i Sanem, tam, gdzie niegdyś te rzeki się łączyły, stało miasto drewniane, bo takiemi były wszystkie wówczas, a zwało się w owym czasie Sudomir; nazwę tę zmieniono z czasem na Sandomierz. Na wzgórzu wznosił się zamek także z drzewa, otoczony murem i fosą; długi wąwóz wiódł do bramy wjazdowej. W owym zamku lat kilka przemieszkiwał wnuk Bolesława Krzywoustego, Leszek, dla jasnych włosów zwany Białym, a z nim matka jego Helena i brat Konrad.

Bolesław Krzywousty podzielił swoje państwo między czterech synów. Piastowie uważali państwo swoje za dziedziczną własność i wedle

Leszek Biały.

upodobania niem rozporządzali; więc Krzwousty, jako dziedzictwo podzielił je między swych synów, jako najmłodszemu Kazimierzowi nic nie zapisawszy. Najstarszy Władysław dostał ziemie: Krakowską, Sieradzką, Łęczycką, Śląsk i Pomorze; drugi z kolei, Bolesław Kędzierzawy - Mazowsze i Kujawy, ziemię Dobrzyńską i Chełmińską, leżące na północ Mazowsza; Mieczysław, zwany Starym — Wielkopolskę; Henryk — ziemię Sandomierską i Lubelską. Krainy te wkrótce dostały się Kazimierzowi, którego ojciec pominął testamentem. Henryk zginął w walce z dzikimi Prusakami, którzy ustawicznie Mazowsze najeżdżali, a ponieważ syna nie zostawił, przeto odziedziczył jego część najmłodszy z braci — tenże Kazimierz.

Władysław otrzymał najwięcej ziemi, lecz i najważniejsze obowiązki włożył na niego umierający ojciec. Miał on rozciągać opiekę nad młodszymi braćmi, bronić ich w razie napadu nieprzyjaciół, czuwać każdej chwili nad nimi. Dzielnica jego tak była położoną, iż graniczyła z dzielnicami wszystkich braci, przez co mu łatwiej było czuwać nad nimi oraz ich odwiedzać.

Prócz obowiązków względem braci, miał jeszcze Władysław cięższe obowiązki względem własnej ziemi: musiał strzedz jej granic od napadu sąsiadów; te obowiązki miał wprawdzie i każdy z synów Bolesława, a i młodsi winni byli po-

słuszeństwo najstarszemu i w razie niebezpieczeństwa mieli spieszyć mu z pomocą.

Temi to obowiązkami połączone były rozdzielone przez Krzywoustego testamentem części wielkiego państwa Chrobrego, i gdyby synowie ściśle ojca wolę byli spełniali, państwo to tworzyłoby jedną potężną całość; lecz, niestety, niezgoda, owa wada narodowa Polan, rozdzieliła je i omal do upadku nie przywiodła. Zaledwie umarł Krzywousty, powstały pomiędzy jego synami kłótnie, które rozdzieliły na długo potężne, wielkie państwo Chrobrego.

Władysław II, podburzany przez chciwą żonę Agnieszkę, siostrzenicę cesarza Henryka V, chciał braciom zabrać ich ziemię i sam całem państwem rządzić bez uczestnictwa drugich; nie pozwolili na to panowie, którzy w owe czasy już do pewnego znaczenia doszli i nieraz opór królom stawiali. Powstała stąd wojna domowa. Pokonany Władysław uszedł do Niemiec i tam wezwał pomocy cesarza Fryderyka Rudobrodego; tymczasem panowie oddali ziemię Krakowską a z nią i powagę, jaką posiadał Władysław, młodszemu z braci: Bolesławowi. Wsparty przez cesarza Niemiec Władysław wypowiedział wojnę Bolesławowi i — pokonał go. Mimo to panowie nie oddali mu ziemi Krakowskiej: do końca życia siedział w niej Bolesław, a gdy umarł, wezwali do Krakowa trzeciego z kolei brata, Mieczysława,

Władysławowi oddawszy tylko Śląsk, który od tego też czasu odpadł od Polski. Inne ziemie połączyły się z czasem z Krakowską; Śląsk—nie.

Mieczysław niedługo siedział w ziemi Krakowskiej. Dumny, chciwy, upokarzał panów i nakładał ciężkie podatki na wszystkich. Zniechęceni poddani odebrali mu władzę najwyższą, i wezwali do Krakowa najmłodszego z synów Krzywoustego: Kazimierza. Kazimierz potrafił zyskać serca poddanych, zaco otrzymał nawet przydomek Sprawiedliwego. Z braćmi żył też w zgodzie. Błysnęła nadzieja, że pokój nastanie; lecz, niestety, Kazimierz umarł młodo, zostawiając po sobie dwóch małoletnich synów, z których starszy Leszek, liczył zaledwie lat 10. Mimo to, panowie ziemię Krakowską oddali Leszkowi, postanowiwszy, że póki książę do pełnoletności nie dojdzie, razem z matką jego Heleną czuwać będą nad nim i nad całem państwem. Niezadowolony z tego postanowienia Mieczysław wypowiedział panom wojnę. Niepokoje domowe znowu państwo niszczyły. Pokonanym wprawdzie został Mieczysław, wszakże nie wyrzekł się jeszcze nadziei odzyskania ziemi Krakowskiej. Widząc, że mieczem nic nie dokaże, — począł namawiać Helenę, aby mu opiekę nad państwem i synem oddała. Przedstawił jej, że panowie nigdy Leszka do całkowitej władzy nie dopuszczą; że choć ten dorośnie, zechcą ją z nim dzielić, on zaś, dostawszy

się na zamek krakowski, dumę ich upokorzy, władzę ukróci, a gdy Leszek dorośnie, odda mu koronę taką, jaką nosił Chrobry: władzę pełną, samodzielną.

Uwierzywszy Helena Mieczysławowi, dobrowolnie oddała mu opiekę nad państwem i nad synami; lecz niebawem przekonała się, jak wielki błąd popełniła. Mieczysław z każdym dniem jawniej dowodził, iż nie myśli władzy oddawać Leszkowi; że syna swego, Władysława, na następcę przygotowuje.

Obrażona Helena, usunęła się do Sandomierza, dziedzictwa synów. Tam wiodła życie we łzach i smutku; tam wychowała Leszka i Konrada. W tem dobrowolnem wygnaniu, pocieszycielem jej i doradcą był stary wojewoda, przyjaciel jej męża, Goworek, którego dzieci, mianowicie starszy Leszek, serdecznie pokochały.

Minęło lat parę od wyjazdu Heleny z Krakowa. Mieczysław wciąż siedział na zamku krakowskim i opiekę nad całem państwem sprawował. Było to roku 1203. Dnia jednego, służba zamkowa dała znać Helenie, że z Krakowa przysłani posłowie chcą widzieć jej syna. Przybrawszy szaty uroczyste, Helena podążyła do sali godowej w towarzystwie synów i wojewody. Niebawem rozległy się w izbie sąsiedniej kroki idących; Goworek pośpieszył naprzeciw; Helena siadła, by panów powitać; w progu komnaty stanęli panowie

krakowscy, przed nimi zaś pacholę, które dźwigało poduszkę szkarłatną, a na niej berło i koronę książęcą. Ujrzawszy Leszka, który stał przy matce, panowie zbliżyli się do niego i korny ukłon mu złożyli; potem, — matce i bratu.

— Synu Kazimierza Sprawiedliwego — przemówił jeden — oto przychodzimy z błaganiem do ciebie. Stryj twój Mieczysław nie żyje, ziemia Krakowska osierocona, przyjmij koronę i berło, panuj nam mądrze i sprawiedliwie, jak ojciec twój panował. Jest, co prawda, w Krakowie brat twój Władysław Laskonogi, syn zmarłego; lecz ojciec jego był nam niemiłym, tobie więc władzę powierzamy, o jedno tylko prosząc, abyś nie brał ze sobą do Krakowa wojewody sandomierskiego, bowiem z tym nie życzy sobie widzieć się Mikołaj Pełka, wojewoda krakowski.

Na te słowa twarz Leszka, która wyrażała przychylność dla posłów, zmieniła się nagle.

— Chcecie, bym zdradą kupił koronę krakowską? — rzekł z gniewem — kupił ją niewdzięcznością względem najszczerszego przyjaciela? Tego syn Kazimierza Sprawiedliwego nie uczyni. Niechaj brat mój Władysław wam panuje.

Próżno prosił Goworek, próżno błagali panowie. Leszek postanowienia nie zmienił. Wrócili posłowie bez syna Kazimierzowego do Krakowa, i Władysław Laskonogi, syn Mieczysława Starego, koronę otrzymał. Niedługo cieszył się nią

wszakże. Gdy roku 1204 Roman z Halicza napadł na ziemię Sandomierską z wojskiem, a Leszek wyszedł przeciwko niemu i sławą bohatera się okrył, — panowie polscy, którzy z rządów syna Mieczysława, Władysława, zwanego Laskonogim byli niezadowoleni, zwrócili się powtórnie do niego z prożbą, by koronę przyjął, i nie żądali już teraz zerwania stosunków z Goworkiem.

Leszek przyjął ofiarowaną mu godność, a Władysław dobrowolnie z ziemi Krakowskiej się usunął. Panował lat kilka Leszek ziemi Krakowskiej szczęśliwie. Roku 1208 wybrał on się na Pomorze, aby odnowić połączenie tej ziemi z dzielnicą Krakowską, gdyż pogłoski biegały, że Pomorzanie oderwać się chcą od Polski; oddał rządy tej ziemi Świętopełkowi, herbu Gryf, żądając, aby hołd mu składał; lecz Świętopełk, zaledwie Leszek się oddalił, począł knuć spisek, by Pomorze niezależnem uczynić. Leszek zwołał zjazd do Gąsawy, chcąc z książętami i panami uradzić, co przedsięwziąć. Przybyli: Władysław Laskonogi — książę Wielkopolski; Henryk Brodaty — książę śląski; Konrad — książę mazowiecki; oraz inni. Przed obradami Leszek udał się do łaźni... Wtem dają mu znać, iż Świętopełk wpadł do Gąsawy na czele zbrojnego oddziału. Ratując życie, Leszek wskoczył na konia, by uciekać. Lecz poznali go napastnicy — dognali — i zabili

we wsi Marcinkowie. Inni książęta uszli szczęśliwie. Świętopełk uznał się niezależnym księciem Pomorza.

II.

Z historyi Halicza [1]).

Już śniegi dawno stopniały. Na urodzajnych niwach Halicza wiatr posępny potrąca trawami. Czarne skiby w majową zieleń się ustroiły. Białe motyle, unosząc się nad niemi, kąpią delikatne swe skrzydła w promieniach słonecznych; a wyżej jeszcze, nad niemi, wzbija się skowronek i nuci radośnie, bo któż się wiosną nie cieszy? Za zielonemi polami widać srebrną wstęgę, wijącą się krętym szlakiem: to rzeka Łukiew. Płynie ona cicho i spokojnie; w jej nurtach setki ryb się pluszczą, a nad jej brzegami tysiące kwitnie niezabudek; dalej jeszcze, za rzeką, widać skupionych kilkadziesiąt domów, śród których świecą okrągłe kopuły cerkwi; nad niemi, górują zamek drewniany o wysokich wieżycach. Wznosi się on na wzgórzu — mur obronny go otacza — a na murze działa. Baszty sterczą ponuro ku niebu... Rzeka Łukiew i Dniepr wspaniały, szeroki, z któ-

[1]) Księstwo Halickie, czyli dzisiejsza Galicya.

rym ta ostatnia się łączy, a który tuż koło zamku toczy swe wody, utrudniają przystęp. To zamek książąt halickich czuwa nad miastem, strzegąc go od napaści wrogów. Niejednych już klęsk doznał Halicz: napady Tatarów, wojny domowe, nieraz dotkliwie czuć mu się dały; lecz dziś nikomu smutne myśli głowy nie mroczą; dziś Halicz się raduje, bo nadzieja pokoju dlań błyska...

Zaledwie ranek zawitał, tłumy ludu wysypały się na rynek miasta, i rozdzieliwszy się, utworzyły dwa żywe szpalery, drogę wolną wpośrodku zostawiając.

I ozwały się dzwony cerkwi Halicza, a lud skupiony na rynku poruszył się niespokojnie... I z dwóch tych mas wybiegło jedno wołanie:

— Jadą! już jadą!

Jakoż, w istocie, na rynek miasta wkroczył orszak wspaniały; przodem, na białych koniach, dwoje dzieci widać. Jedno z nich — to Koloman, syn króla węgierskiego, którego Haliczanie na tron powołali; drugie — to żona Kolomana, Salomea, córka Leszka Białego, księcia krakowskiego. On strój węgierski ma na sobie; ona — białą szatę, perłami szytą; oboje lat dziesięciu jeszcze nie dobiegają. Tuż przy Kolomanie, na rosłym czarnym koniu, w szatach świątecznych, jedzie biskup Ostrochowski; przy niej — Wincenty Kadłubek, biskup krakowski; za obojgiem tłum panów ruskich, polskich i węgierskich. Wszyscy

świecą od złota, drogich kamieni i szat jedwabnych. Pomiędzy panami pierwsze miejsce zajmuje podskarbi. Ten piechotą idzie. Przy nim małe pachołę niesie naczynie pełne złota. Podskarbi sięga dłonią po pieniądz, rzuca go ludowi, a lud chciwie złoto chwyta i woła:

— Niech żyje Koloman, książę Halicza! niech żyje Salomea!

Za panami rycerstwo dąży; za tymi — kolasy z dworem niewieścim; za kolasami — muzykanci, potem służba, potem jeszcze wozy wyładowane.

Cały ten orszak, minąwszy rynek, wtoczył się na dziedziniec. Tu Koloman, Salomea, panowie i rycerze, pozsiadali z koni i — ku kaplicy podążyli. Służba i wozy na dziedzińcu pozostały.

W kaplicy gorejącej od świateł tysiąca, czekał na książęcą parę biskup, w świąteczne szaty przybrany, otoczony przez duchowieństwo. Powitawszy Kolomana i Salomeę, pobłogosławił ich związek małżeński, a potem na godność królewską namaścił, gdyż Koloman taki tytuł przybrał. Właśnie biskup kładł koronę na młodziutkie czoło Kolomana, gdy jakiś hałas rozległ się w świątyni.

Czyjeż to kroki zadźwięczały na kamiennej posadzce kaplicy i zgłuszyły słowa przysięgi, jakiemi Koloman zaręczał, iż dobrym będzie i troskliwym o los poddanych? Wszystkich spojrzenia zwróciły się w stronę, skąd szedł ten hałas, lecz

biskup nie przerwał koronacyi, a Koloman przysięgi dokończył.

Środkiem kaplicy kroczył rycerz olbrzymiej postaci, cały w żelazo przybrany... Prawa ręka jego, żelazną rękawicą odziana, spoczywała na rękojeści miecza... Przyłbicę miał spuszczoną... Zbliżywszy się do miejsca, gdzie orszak książęcy się zgromadził, stanął nieruchomy i — wyglądał jak posąg spiżowy.

Koronacya się odbyła. Paziowie ujęli końce płaszczy królewskich... Koloman i Salomea, otoczeni panami, ku podwojom świątyni się skierowali... Olbrzymi rycerz nie ruszył się z miejsca... Rzekłbyś: wrósł w ziemię... Lecz, gdy królewska para tuż przy nim stanęła, — naraz dał znak życia, podniósł rękę do hełmu, przyłbicę odsłonił, i ponure spojrzenie rzucił na te dwoje dzieci. One zdziwiony wzrok podniosły na niego. Nieznany był im ten rycerz całkiem. Znało go jednak wielu z orszaku. Śród panów podniosły się szepty.

— Mścisław Mścisławowicz!

A ci, co go poznali, nie bez trwogi wymawiali to imię: Mścisław Mścisławowicz, „Zuchowatym“ zwany, lub rycerzem błędnym,— znanym był dobrze, jako dzielny wojak, lubiący nieść pomoc wszystkim uciśnionym.

Ród Ruryka od lat dawnych panował w Haliczu. Pod koniec wieku XII został księciem

Halicza Roman II, pan srogi, okrutny, który w nieludzki sposób obchodził się z bojarami: zakopywał ich żywcem, — ćwiartował, — setki na śmierć skazywał; wojowniczego ducha, wiódł przytem ustawiczne boje; roku 1205 wybrał się na wyprawę przeciw Sandomierzowi, lecz z tej wyprawy nie powrócił, poległszy pod Zawichostem, pokonany przez Leszka Białego.

Zostawił on po sobie dwóch małoletnich synów. Znaczna część Haliczan, lękając się, by synowie, równie jak ojciec, nie uciskali ich, powołali na tron królewicza węgierskiego, który miał córkę Leszka Białego za żonę; Leszek Biały dał im zbrojną pomoc i — młoda para wkroczyła do Halicza oraz ukoronowaną została.

Lecz wielu było niezadowolonych z tego wyboru; na czele tej partyi stał Mścisław Mścisławowicz, który oświadczył, iż bronić będzie sprawy synów Romana, albowiem im się tron Halicki należy.

Zjawienie się niespodziane błędnego rycerza w kaplicy podczas koronacyi, przypomniało stronnikom Kolomana groźbę Mścisława i ci zatrwożyli się o los młodego króla; lecz uczta do jakiej zasiedli, wróciwszy na zamek, zatarła niemiłe wrażenie, zapomnieli o spotkaniu z Mścisławem.

Wkrótce jednak sam przypomniał się im Mścisław Mścisławowicz. Zebrawszy stronników, obległ Halicz — i po kilku dniach szturmu, zdo-

był go. Koloman i Salomea schronili się do warownego kościoła panny Maryi; lecz rycerz błędny głodem zmusił ich do poddania się — wziął do niewoli i—lat kilka w więzieniu trzymał. Andrzej, król Węgierski, i Leszek Biały, książę Krakowski, dowiedziawszy się o losie swych dzieci, zbrojno upomnieli się o nie. Mścisław Mścisławowicz wypuścił ich z więzienia, lecz tronu nie oddał; osadził w Haliczu Daniela Romanowicza, który z czasem stał się jednym z najsławniejszych książąt ruskich.

Księstwo Halickie stanowiło niegdyś cząstkę Wielkiej Chrobacyi, jaka leżała na południu W. Polski, której północno-zachodnią część zdobył Bolesław Chrobry i z państwem swojem połączył. Chrobacya dzieliła się na Białą i Czerwoną. Skąd powstały te nazwy, — różnie tłómaczą: jedni wywodzą je stąd, iż niegdyś mieszkańcy wschodniej Chrobacyi czerwone suknie nosili; drudzy — iż dlatego tak ją nazwano, że najsławniejszem miastem w niej był *czerwony gród*; inni jeszcze dowodzą, iż najeżdżana przez sąsiadów, broczona krwią, z tej przyczyny przybrała nazwę „czerwonej.“ Ziemia Halicka wchodziła w skład Chrobacyi Czerwonej; nazwa jej pochodziła od miasta Halicza, które było w tej części Chrobacyi najważniejszym.

Chrobacya, zdobyta przez Włodzimierza Wielkiego, wcieloną została do jego państwa; lecz

w wieku dwunastym, po śmierci Jarosława Mądrego (syna i następcy Włodzimierza), który państwo swe między potomków podzielił, — ród Ruryka utworzył z niej niezależne księstwo, w którem długo panował.

III.

Tatarzy.

Od lat kilku obiegały już pogłoski o bliskim napadzie Mongołów, czyli Tatarów. Lud ten nie był jeszcze znany Polakom, lecz ci tyle się o nim nasłuchali, iż zdawało się wszystkim, że go znają dobrze, nieraz bowiem nawiedzali Tatarzy sąsiednie Polakom państwa ruskie, i z podań, jakie stamtąd do nas przeszły, utworzyli sobie pojęcie o tych dzikich mieszkańcach Azyi środkowej, którzy od wieków tam osiedleni, prowadzili życie koczownicze, zajmowali się mordem, a podbiwszy różne pokolenia w Azyi, nawiedzać zaczęli Europę.

Na wspomnienie Tatara truchleli starzy i młodzi, bladły kobiety, mężczyźni zęby zacinali... Imieniem Tatara matki dzieci straszyły... Srodzy, okrutni, dzicy, tak wstrętną mieli powierzchowność, jak straszne obyczaje... Twarze mieli szerokie; nosy płaskie; oczy, niby szpary; cerę brudno śniadą... Kożuchy, na wierzch wełną wywróco-

ne — kołpaki baranie na głowie — na plecach dwa lub trzy łuki i sajdak, pełen strzał zatrutych — u boku, topór i szabla krzywa — w ręku, nahajka na konia — oto był strój i przybór wojenny Tatara. Koniki ich, małe, niezmiernie zwinne były. To też, gdy wpadli do miasta lub wsi, trudno było uciec przed nimi: dognali najczęściej. Pożywieniem ich było mięso końskie, którego nie piekli, ani gotowali, tylko, urżnąwszy kawał, kładli pod siodło i — póty na niem jeździli — aż skruszało. Za napój służyło im mleko klaczy.

Podbiwszy liczne pokolenia Azyi, utworzyli tam olbrzymie państwo, które zajmowało dwa razy większą przestrzeń, niż cała Europa. Władzca ich zwał się „chanem“; był on zarazem dowódzcą na wojnie, prorokiem i prawodawcą. Celem ich życia były podboje; sławą największą — mordy i pożogi; powiadano o tych chanach, że po każdej bitwie stoczonej kazali poległym wrogom głowy ucinać, zbierać je do worów, i z głów tych następnie stawiać w państwie wieże; a im większą chan wystawił taką wieżę, tem większą była jego sława, tem głośniej i lepiej o nim poddani mówili... Chanowie głosili, że, jak jeden Bóg jest na niebie, tak z czasem chan jeden będzie tylko na ziemi.

Najsławniejszym z chanów tatarskich, królem królów był Dżyngischan, po nim zaś wnuk

jego Batuchan. Otóż, mówiono, że ów Batuchan ciągnie z Azyi do Europy, z olbrzymią ordą, czyli wojskiem—że wiedzie ze sobą nieprzeliczoną ilość koni, aby, gdy jedne się zmęczą, mieć drugie do zmiany—nieprzeliczoną ilość machin oblężniczych, wozów z żywnością, toporami i strzałami — że ziemia drży pod ciężarem, jaki dźwiga, a rżenie koni, ryk wielbłądów, krzyki Mongołów, tworzą razem tak ogłuszający hałas, że na milę nikt słowa ludzkiego nie rozumie.

Było to roku 1240. Księciem Krakowskim był wówczas Bolesław, syn Leszka Białego. Właśnie zbliżały się święta Bożego Narodzenia. Kunegunda, żona Bolesława, obchodzić je chciała uroczyście. Dobra i pobożna wielce, cieszyła się, gdy komu sprawiła radość, więc zamierzała w tym roku wyprawić na zamku krakowskim wigilię dla wszystkich ubogich i rozpoczęła już przygotowania do tej uroczystości. Pieczono ciasta, znoszono z klasztorów opłatki, gdy dobiegła wieść, że Batuchan z olbrzymią ordą wkroczył w granicę księstwa Ruskiego, zburzył Kijów, i podzieliwszy swe wielkie wojsko na sześci, sam, na czele jednego z oddziałów, ku Polsce skierować się zamierza. Strach, jaki ogarnął wszystkich, odjął ochotę do uroczystości, zaniechano przygotowań do wigilii, a innemi się zajęto: przygotowaniami na przyjęcie wroga.

Był w skarbcu królewskim posag żony Bolesława złożony. Kunegunda, córka Beli IV, króla węgierskiego, wychodząc za mąż, bogate wiano od ojca dostała w złocie, klejnotach i szatach wspaniałych. Gdy teraz przyszła wieść o zbliżaniu się Tatarów, prosiła męża, aby, jeśli potrzebować będzie pieniędzy, brał z jej skrzynki, ile zechce.

— Wszakże żoną twoją, matką tego ludu jestem — mówiła. — Co moje, to nasze, to państwa całego. Żałować nie będę, choćby wszystko, co mam, poszło na potrzeby kraju.

Tymczasem minęły święta spokojnie; zapusty również. Tatarzy nie przyszli. Krążyły wszakże ustawiczne pogłoski o okrucieństwach, jakich dopuścili się na ziemi Ruskiej i Węgierskiej, gdzie jeden z oddziałów już wkroczył; ile miast i wsi złupili; ilu ludzi wymordowali; ilu do niewoli wyprowadzili... Starców i niemowlęta Tatarzy zwykle zabijali, kobiety i dzieci starsze zabierali ze sobą, aby im służyły, często też mężczyznom w sile wieku darowywali życie; a to dlatego, by wskazywali im drogę po kraju, którego nie znali, więc i łatwo zbłądzić w nim mogli. Jeńców tych by nie uszli, pawrozami do swych koni przywiązywali.

Była to niedziela pierwsza wielkiego postu. Bolesław V — pobożna jego żona Kunegunda i matka Grzymisława — dwór cały — udali się

do kościoła na nabożeństwo; zbiegł się i lud cały. Wszyscy gorąco się modlili o odwrócenie nieszczęścia; gdy wtem... w kościele rozruch się zrobił — ktoś bowiem wpadł z wieścią, iż dnia trzynastego lutego, w sam popielec, a zatem przed trzema dniami Batuchan wpadł z ordą swoją do Sandomierza, spalił miasto, ludność w części wymordował, w części do niewoli pojmał, a teraz wzdłuż wybrzeży Wisły szerzy dalej śmierć i pożogę.

Jęki i płacz rozległy się w świątyni — każdej chwili mieszkańcy Krakowa mogli takiego samego losu się spodziewać, — mimo to ksiądz mszę odprawiać dokończył — dopiero, po odbytem nabożeństwie, Bolesław wezwał panów na radę do zamku.

Postanowiono uzbroić hufce i wyjść na przeciw wroga; grzywny węgierskie, jakie znajdowały się w skrzyni, która zawierała posag Kunedundy, dostarczyły broni i zbroi. Niebawem hufce były gotowe, Bolesław V i krewny jego Bolesław, syn Konrada brata Leszka Białego — stanęli na czele wojska. Książęta postanowili nie dozwolić Tatarom przejścia przez Wisłę, posunęli się przeto wzdłuż brzegów tej rzeki ku Lublinowi, lecz Tatarzy nie zjawiali się jakoś. Już Bolesław począł przypuszczać, że pogłoski są mylne, gdy dnia jednego dzikie wrzaski „Ałła!“ „Ałła!“ jakie rozległy się w powietrzu, oznajmiły czekającym, że wróg się zbliża. Niebawem ukazały się pierwsze

oddziały: nie był to jeszcze sam Batuchan, lecz jego wodzowie, którzy ze swą drużyną potężnemu królowi królów drogę torowali.

Rzeka nie była zamarzniętą; wkroczywszy w jej nurty, uczepieni jeden za drugim za ogony końskie, przebyli ją Tatarzy i na przeciwny brzeg się dostali. Tutaj czekał na nich Bolesław — starły się wojska chrześcijańskie z mongolskiemi; bój srogi zawrzał. Wkrótce przekonał się Bolesław, że wszystko, co słyszał o okrucieństwie i zręczności Tatarów w bitwie, — prawdą jest jak najwierniejszą: pobity, złamany, straciwszy mnóstwo rycerzy, w ucieczce szukał ratunku; schronił się do Krakowa, gdzie niespokojne o niego matka i żona — oczekiwały go niecierpliwie.

Na wieść o poniesionej klęsce, zbiegło tu wielu mieszkańców z okolicznych i dalszych wsi, oraz miast, schronienia przed dzikimi najezdcami szukając; książę zwołał znowu radę; Kunegunda dobyła klejnoty i nowe hufce stanęły; ci, co schronili się do miasta, mówili, że Tatarzy idą na Kraków, i po długich naradach, mimo klęski już raz poniesionej, postanowili pośpieszyć znowu na spotkanie wroga. Ruszył hufiec zbrojny, a na jego czele szli tym razem: Włodzimierz, wojewoda krakowski — Klimut, kasztelan i wojewoda sandomierski; Bolesław pozostał w Krakowie. Na pół drogi pod Wiślicą, pod wsią Chmielnikiem, woj-

ska chrześcijańskie rozłożyły się obozem i tu nieprzyjaciela oczekiwać postanowiły...

Dzień za dniem schodził... Tatarów nie było widać; niecierpliwość zaczęła ogarniać rycerstwo: woleliby raz zajrzeć niebezpieczeństwu w oczy, niżeli tak z dnia na dzień czekać i wyobrażać sobie, jak olbrzymie siły spaść na nich mogą lada chwila.

Luty już minął — połowa marca dobiegała — Tatarów nie było. Aż wreszcie... w niedzielę Białą, ostatnią przed Palmową zjawili się. Lecz przyszli w tak szczupłej liczbie, iż rycerstwo postanozaraz na nich uderzyć. Wodzowie dali hasło do bitwy, i natarły hufce polskie śmiało, dzielnie na tę dzicz okrutną. Tatarzy prawie zaraz cofać się poczęli, a potem pierzchać; rycerstwo polskie puściło się za nimi w pogoń, lecz, gdy w dobrej wierze ściga i siecze wroga, goni go strzałami i cieszy się zwycięstwem, naraz... po za sobą słyszy dzikie wrzaski. Część tylko ordy wysłał był Batuchan przodem, z resztą, ukryty w gąszczy, oczekiwał dogodnej pory do uderzenia i kiedy nierozważni rycerze polscy puścili się w pogoń za uciekającymi, którzy w istocie ucieczkę tylko udali, — rzucił się na nich z tyłu, tamci zaś zwrócili nagle swe konie z powrotem. I oto, rycerstwo ujrzało się naciśnięte z dwóch stron przez nieprzyjaciela... Walka długą być nie mogła: pod gradem strzał, spadających na nich ze stron obu, polegli wszyscy

wodzowie i żołnierze, wszyscy zasłali pole ciałami i krwią ją obleli.

Uradowany odniesionem zwycięstwem Batuchan, pod Kraków pociągnął; lecz, zanim tu doszedł, pierwej dobiegła do starego grodu wieść o klęsce Chmielnickiej. Kto o niej doniósł — czy bój miał świadka i ten ostrzedz braci pośpieszył — czy któryś z rycerzy, uszedłszy z życiem, dopadł do miasta pierwej, nim Tatarzy — o tem nic powiedzieć pewnego nie można; dość, że powiadomiony o klęsce Bolesław, i o tem, że zwycięski Batuchan ciągnie ku Krakowu, — zdążył jeszcze, za pozostałe w skrzyni Kunegundy klejnoty, uzbroić nowy hufiec, pod którego osłoną razem z żoną, matką i dworem całym, poszedł w Karpatach szukać schronienia, zabrawszy ze sobą, co mógł, z zamku Walewskiego. Za jego przykładem mieszkańcy Krakowa tłumnie poczęli opuszczać stary gród: bogatsi uchodzili za granicę, biedniejsi kryli się bliżej po lasach okolicznych a każdy zabierał z domu, co tylko mógł unieść, lub w ziemi mienie swe zakopywał.

Batuchan nic i nikogo nie zastał w Krakowie. Garstka tych, co spóźnili się w ucieczce, schroniła się do kościoła św. Andrzeja, wznoszącego się w pobliżu zamku, i tu się obwarowała. Tatarzy przypuścili szturm do kościoła; lecz, gdy spotkali zacięty opór, podpalili miasto i poszli dalej rozszerzać zniszczenie i śmierć. Doszli aż

na ziemię Śląską. Tu czekał na nich książę wrocławski, Henryk Pobożny, wnuk Władysława II, a z nim mieszkańcy Śląska i wielu z tych co uszło z ziemi Krakowskiej oraz Sandomierskiej. Nie chcieli być bezczynni; więc, zamiast kryć się w górach lub zagranicą, zebrali się około księcia Henryka, by służyć ojczyźnie.

Pod miastem Lignicą stoczony został bój krwawy: polęgli wszyscy rycerze polscy, poległ i sam Henryk Pobożny; jednak Batuchan także tylu ludzi stracił, iż opuścił wreszcie Polskę i — poszedł połączyć się z resztą swej ordy do Węgier, skąd już do swego państwa podążył.

Straszny obraz spustoszenia przedstawiało, po ich odejściu, państwo Chrobrego: wszędzie zgliszcza i popioły, wszędzie pustka głucha; ptactwo nawet odbiegło dla braku żeru. Nie tak łatwo ludzie odważyli się wrócić do porzuconych wiosek i miast, wspomnienie Tatarów zatrzymywało jeszcze długo wśród lasów i gór tych, co zbiegli; żywili się korzonkami i roślinami... a ziemia leżała odłogiem — warsztaty zniszczone, były bezczynne — miasta w gruzach stały. Aż wreszcie głód uczucie strachu pokonał: wrócili powoli ludzie z wygnania, powrócił i Bolesław z żoną, matką oraz dworem, powoli dźwignęły się miasta z gruzów. Zawarczały warsztaty — pola zaszumiały zbożem... Gdzie brakło rąk do pługa lub rzemiosła, tam Bolesław sprowadzał obcych osad-

ników i — kraj się zaludniał — zatarły klęski — zagoiły rany... Czegoż to praca i silna wola ludzka nie dokona?...

Drugi podobny napad Tatarów zniszczył znów Polskę w r. 1287, za rządów Leszka Czarnego, który po śmierci Bolesława otrzymał ziemię Krakowską. Był to wnuk Konrada, brata Leszka Białego.

IV.

Koronacya króla Łokietka.

W starym grodzie Piastów, w odwiecznem Gnieźnie, najstarszem ze wszystkich miast polskich, odbywa się wiec panów.

Sprzykrzyły się narodowi ustawiczne waśnie domowe, jakie prowadzili ze sobą potomkowie Krzywoustego, ziemia Krakowska coraz to innemu dostawała się w posiadanie. Synowie Bolesława III rozdzielili swe dzielnice między własnych synów; namnożyło się tych udzielnych książątek mnóstwo, a każdy chciałby był mieć wśród innych największe znaczenie, każdy przeto dobijał się o ziemię Krakowską.

W przeciągu lat 16, jakie nastąpiły po śmierci Leszka Czarnego, któremu Bolesław V, jako swemu siostrzeńcowi, swe ziemie zapisał, Kraków

siedm razy zmienił pana: Bolesław, książę Mazowiecki — Henryk Rzetelny, książę Śląski — Władysław Łokietek, książę Łęczycki i Sieradzki — Przemysław, książę Poznański, — naprzemian wydzierali sobie gród Krakusa, a niejeden, jak Władysław Łokietek, kilkakrotnie go zdobywał. Chcieli raz koniec tym niesnaskom domowym położyć panowie — tem więcej, że ośmielały one sąsiadów, i coraz to który najeżdżał ziemie Polan: Tatarzy, pogańscy Prusacy i Litwini ustawicznie rabowali ich wsie i miasta. Szczęściem, iż Niemcy, zajęci własnemi sprawami (gdyż i u nich także powstały kłótnie domowe) nie mieli czasu na nich najeżdżać.

Po długich naradach panowie postanowili zaprosić do Krakowa Władysława Łokietka, który był bratem rodzonym Leszka Czarnego, a rządząc już dwa razy Krakowom, dał niejednokrotnie dowody wielkiej odwagi i wielkiego serca, przytem, jako wnuk Kazimierza Sprawiedliwego i prawnuk Krzywoustego, miłym był dla wielu.

Wysłane z Gniezna do Łęczycy poselstwo z koroną, przywiozło z sobą Władysława, a ziemie, należące niegdyś do Chrobrego, kolejno uznawały go panem. Prócz Mazowsza i Śląska, wszystkie dzielnice złączyły się; opierał się chwilowo Kraków, opierała Wielkopolska, lecz opór ten trwał niedługo, i Łokietek, jednogłośnie panem uznany, odebrał od poddanych przysięgę wierności, po-

czem panów do Krakowa na koronacyę zaprosił. W wigilię koronacyi, całe popołudnie spędził w kościele na Skałce, modląc się i nieszporów słuchając, a nazajutrz rano, dnia 20 stycznia r. 1319, odbył uroczysty obrządek, który w owym czasie z wielką wystawnością odprawianym bywał.

Dzień mroźny, ale pogodny, sprzyjał uroczystości; niedziela pozwalała biednym, zarówno jak i możnym, wziąć w niej udział.

Już o samym świcie marszałek przyniósł królowi stosowną do uroczystości suknię jedwabną wspaniałą — na nią włożył mu dalmatykę i kapę ze złotogłowia — na głowę — czapkę książęcą czerwoną, perłami szytą — na ręce, rękawice. Zaledwie skończył strój Łokietek, marszałek dał mu znać, iż duchowieństwo przybyło na zamek. Pośpieszył przeto książę naprzeciw, i w progu sali godowej spotkał dostojnych gości. Wszyscy w uroczyste szaty byli przybrani. Łokietek kornym ukłonem gości powitał, a najstarszy z przybyłych arcybiskupów, Muskata, wyciągnąwszy nad schylonym ręce, — odezwał się uroczystym głosem:

„Wszechmogący, wieczny Boże, niebieskich i ziemskich spraw kierowniku, któryś sługę twego na godność i dostojność królewską powołać raczył, spraw, błagamy, aby on od wszelkich przeciwności swobodny, darem kościelnego pokoju był umocniony i do radości, pokoju, za Twoją

łaską przyjść zasłużył, przez Chrystusa Pana naszego. Amen".

To powiedziawszy, pokropił króla wodą święconą, którą mu podał w kropielnicy jeden z księży, przy nim stojący, poczem dwóch biskupów ujęło Władysława Łokietka pod ręce i poprowadziło do katedry. Wspaniały to był pochód: przed królem panowie krakowscy nieśli insygnia królewskie na szkarłatnych poduszkach, więc miecznik — szczerbiec, kasztelan — berło i jabłko, wojewoda — koronę. Przed panami postępowali biskupi, każdy w infule, każdy z kijem pasterskim w ręku, a przed tymi, mali chłopcy w białych komżach: jedni — z dzwonkami, drudzy — z kadzielnicami. Dym od kadzideł wzbijał się pod jasne, czyste sklepienia niebios; srebrne dźwięki dzwonków mieszały się z donośnym głosem dzwonów katedry i zlewając się razem, tworzyły uroczystą muzykę. Za królem postępowało niższe duchowieństwo ze śpiewem i światłem, potem panowie i rycerstwo, wszyscy w strojach uroczystych; panowie w sukniach oznaczających urząd każdego, rycerze w zbroi, w jedwabnych płaszczach i w hełmach, postrojonych piórami.

Lud skupiony na dziedzińcu zamkowym przypatrywał się w milczeniu temu wspaniałemu pochodowi. Wszedłszy do kościoła, panowie złożyli godła królewskie na wielkim ołtarzu, król

zaś ukląkł u stóp ołtarza, otoczony duchowieństwem i w kornej modlitwie się zatopił.

Sercem całem pragnął Łokietek dać szczęście ludowi, pokój mu zapewnić, prosił więc Boga gorąco, by mu w tem dopomógł.

Poważne dźwięki organów kościoła, uroczysty hymn, jaki obił się o ściany świątyni, podnosił ducha klęczącego przed ołtarzem króla. Szczerą była jego modlitwa... Skończył wreszcie. Powstał. Wtedy zbliżył się do ołtarza arcybiskup i zaintonował psalm: „Niech cię wysłucha Pan“. Wszyscy obecni w kościele pochwycili te słowa. „Niech cię wysłucha Pan“ obiło się o ściany świątyni — wybiegło za mury i — lud, który w kościele pomieszczenia nie znalazłszy, w progu jego kruchty się skupił, powtarzał toż samo... I pieśń wielka, święta, przez tysiące ust powtarzana, leciała do nieba.

Tymczasem arcybiskup zwrócił się od ołtarza, do stojącego za nim króla. Pieśń umilkła. Kościół cisza zaległa.

— Królewską przyjmujesz godność — przemówił poważnym głosem Muskata — królewską godność przyjmujesz, a z nią trud rządzenia ludem, tobie powierzonym; wspaniałe, ale pełne trosk i niebezpieczeństw zajmujesz miejsce; pamiętaj, że wszelka władza jest od Boga. Wymierzaj sprawiedliwość, oddawaj nagrody dobrym; złym — kary, szanuj Kościół i religię; czcij Boga;

wdowy i sieroty otaczaj opieką; bądź dla wszystkich łaskawy i przystępny; postępuj tak, aby się okazało, że nie dla swego, ale dla pożytku całego państwa królujesz. Co niech ci udzielić raczy Ten, który żyje i króluje, Bóg, na wieki wieków. Amen.

— Amen — powtórzył Łokietek.

— Czy chcesz być wiernym sługą Kościoła katolickiego, wiernym synem Boga, którego czcisz? — zapytał go arcybiskup.

— Chcę — odparł król.

— Czy chcesz królestwo ci powierzone trzymać, rządzić i bronić?

— Chcę — brzmiała odpowiedź.

Tu Władysław Łokietek zdjął z głowy czapkę, u stóp ołtarza ją położył — ukląkł.

— Ja, z Bożej łaski, król Polaków — mówił głosem wzruszonym — obiecuję wobec Boga i aniołów Jego nadać prawo i sprawiedliwość Kościołowi Bożemu i narodowi poddanemu mi, bronić odważnie Kościoła i narodu, spełniać sumiennie obowiązki moje, i czuwać, by inni swoje spełniali.

Tymczasem zbliżył się arcybiskup do klęczącego; a gdy Łokietek wymówił ostatnie wyrazy przysięgi — podał mu ewangelię; król położył na niej obie ręce.

— Tak mi Boże dopomóż — ciągnął dalej z mocą — i ty, święta ewangelio.

„Amen!“ zabrzmiało w świątyni. Arcybiskup oddał ewangelię jednemu z biskupów bliżej stojących, zwrócił się do ołtarza, a król padł na ziemię i ręce rozkrzyżowawszy, modlił się teraz cicho. Nad leżącym, księża śpiewali głośno psalmy, a lud chwytał słowa pieśni i głośno je powtarzał. Pieśń szczera, pobożna, leciała znowu do nieba; lud wzywał łaski Pana Zastępów dla przyszłego króla.

Ucichło nareszcie. Arcybiskup zasiadł w złoconem krześle, obok ołtarza stojącem. Podniósł się Łokietek i ukląkł przed nim. Otoczyli go biskupi: jeden zdjął mu z ramion dalmatykę i kapę; drugi obnażył mu szyję i rękę prawą; arcybiskup namaścił klęczącemu ramię prawe i rękę od dłoni do łokcia, a czyniąc to, mówił:

— Namaszczam cię Olejem świętym na króla, w imię Ojca i Syna i Ducha Świętego, Amen.

Poczem, jeden z biskupów podał arcybiskupowi szczerbiec Chrobrego, a ten w ręce klęczącego króla go włożył.

— Weź ten miecz — mówił, czyniąc to — broń nim sprawiedliwości, utwierdzaj dobre.

Jeden z panów przypasał królowi do boku szczerbiec, a tymczasem arcybiskup włożył mu na głowę koronę, a w ręce dał berło i jabłko.

— Pamiętaj — mówił dalej — że korona ta oznacza chwałę, cześć i świętość, berło — władzę; że przez te godła stajesz się uczestnikiem naszego

urzędu; bądź przeto przykładnym królem, abyś między mocarzami, ozdobiony perłami cnót, nagrodę wiecznej szczęśliwości otrzymał.

Obrzęd koronacyi był skończony; w kościele zabrzmiał hymn: „Te Deum laudamus“, a za oknami kościoła brzmiały wesołe okrzyki ludu:

„Niech żyje król!“

Na ramiona świeżo ukoronowanemu włożono płaszcz purpurowy, podbity gronostajami, płaszcz królewski; poczem, otoczony panami i starszymi duchownymi, oraz rycerstwem, — Władysław Łokietek podążył na zamek. Przed nim, skarbnik jego ze złoconej szkatuły rozrzucał ludowi pieniądze, a lud je chwytał chciwie i głośniej jeszcze krzyczał:

„Niech żyje król!“.

Tak zwykle odbywano dawniej obrzęd koronacyjny. Od czasu, jak klątwą dotknięty Bolesław Śmiały, splamił godność monarszą, książęta Krakowscy przestali tak uroczyście odbywać tę ceremonię. Pierwszy odnowił dawny zwyczaj Przemysław, książę Poznański, poprzednik Łokietka; a ten poszedł za jego przykładem — z tą różnicą, że koronacyę odbył w Krakowie, nie w Gnieźnie.

Następcy Łokietka również koronowali się zawsze w Krakowie, gdyż Łokietek przeniósł wszystkie insygnia królewskie ze skarbca gnieźnieńskiego do krakowskiego.

Dotrzymał przysięgi Łokietek: był to pan dobry, dbały o szczęście poddanych, troskliwy o pomyślność państwa. Dźwignął on je też z upadku.

V.

Krzyżacy i Łokietek.

W ziemi Kujawskiej, w powiecie Radziejowskim, na niewielkiem wzgórzu, wznosi się do dziś dnia drewniane miasteczko Radziejów. Dawne ono czasy pamięta... Było to roku 1331. We wsi Płowce, która o milę od owego miasta leżała, widać było rozbite pod lasem białe namioty na błoniach, a wśród nich rozpalone ogniska, koło których krzątali się słudzy; dalej, potężne konie, wozy z żywnością, machiny oblężnicze i rycerzy, zwolna gromadzących się koło ognisk; był to, jednem słowem, obóz wojenny. Strój, odmienny od stroju, jaki zwykle nosili rycerze polscy, świadczył, że to obcy goście ziemię Polan nawiedzili. W zbroję byli oni przyodziani, nie w hełmy i miecze, jak zwykle rycerze, lecz na pancerzach mieli białe płaszcze, krzyżami ozdobione.

Mieszkańcy okoliczni omijali zdala miejsce, gdzie obóz ten był rozłożony, bo lubo krzyże świeciły na piersiach rycerzy, jednakże nie jako przyjaciele, lecz jako wrogi tu przyszli; mówili

też ze sobą mową obcą, mową niemiecką. Niejeden zmuszony przejść koło obozu, żegnał się pobożnie, mijając go, a spoglądając na białe płaszcze, godłem Chrystusa ozdobione, mruczał:

— Krzyżacy owi — Niemcy, a nie Krzyżacy, nie krzyż czczą oni, ale szatana.

Byli to jednak w istocie Krzyżacy.

Na ziemi Krakowskiej panował jeszcze Leszek Biały, kiedy oni po raz pierwszy przywędrowali do Polski. Ziemia Mazowiecka, którą Krzywousty zapisał testamentem Bolesławowi Kędzierzawemu, gdy ten umarł, a po nim wkrótce syn jego Leszek, — dostała się w spadku Kazimierzowi Sprawiedliwemu, po nim zaś młodszemu jego synowi Konradowi.

Sąsiadami Mazowsza byli Prusacy: lud dziki, pogański jeszcze i nieprzyjazny sąsiadom, który ustawicznie napadał na Polskę, a — rzecz naturalna — najczęściej na najbliższe mu Mazowsze. Książę Konrad postanowił temu zapobiedz, ukrócić ich krwawe swawole. Słyszał on, iż w Niemczech istnieje zakon pobożny, zwany Teutońskim; iż zakonnicy, co doń należą, poświęcili swe życie na usługi Chrystusa i walczą jedynie z poganami, aby wiarę chrześcijańską wszędzie, gdzie jej jeszcze niema, szerzyć. Otóż, zdało mu się, iż najstosowniej będzie udać się o pomoc do tych rycerzy zakonników i... prosić, aby część ich przyszła do Polski walczyć z pogańskimi Prusakami.

Herman de Saltz, mistrz Zakonu, nie odmówił księciu Mazowieckiemu; lecz, zanim braci do Polski wysłał, pierwej poznać chciał kraj, w którym mieszkać mieli i zapewnić im pobyt spokojny. Wysłał przeto dwóch posłów do Polski.

Roku 1228, w mieście Brześciu, na Kujawach, Konrad Mazowiecki przyjmował poselstwo mistrza zakonu Teutońskiego. Po długich obradach stanęło na tem, że Konrad zakonnikom rycerzom nada na własność ziemię Chełmińską ze wsią Orłowem, a oni za to bronić będą jego dzielnicy od napadu dzikich Prusaków.

I wkrótce potem przybyli do Polski pobożni rycerze, a mieszkańcy Mazowsza, widząc ich białe płaszcze, krzyżami ozdobione, różańce, wiszące obok mieczów, — z radością wchodzących witali; zapomnieli, że to — Niemcy. Tłumnie wylegli na drogę, którą szli rycerze Chrystusa; matki dziatwę w górę podnosiły i mówiły: „Oto obrońcy nasi“. Jeden okrzyk błogosławieństwa towarzyszył im w pochodzie. Krzyżakami lud ich nazwał. Nic jeszcze dla niego nie zrobili, a już kochał ich i błogosławił im.

Od tego dnia minęło wszakże około stu lat. Krzyżacy osiedlili się na ziemi Chełmińskiej, pobudowali sobie miasta i, za wiarę Chrystusa, toczyli boje wytrwale. O tych bojach różnie mówiono: że były to raczej mordy, niż boje; że Krzyżacy spokojnych mieszkańców Prus często

napadali, w pień ich wycinali, lub w niewolników zamieniali, a sprowadzali z Niemiec osadników, którym ziemie nadawali i że na północy Mazowsza tworzyło się powoli państwo Niemieckie, bo w wielu wioskach już i śladu nie było, że to ziemia Pruska. Nie chciano wierzyć tym pogłoskom: wszak to byli rycerze Chrystusa, nie cesarstwa Niemieckiego; więc wiarę tylko Chrystusa, nie zaś narodowość obcą, szczepić mogli.

Kiedy Łokietek ukoronowanym został w Krakowie, już zakon braci Krzyżaków licznym był i potężnym; bowiem ci, co pozostali w Niemczech, za pierwszymi tu ściągnęli; przytem, synowie możnych rodzin niemieckich ciągle tu napływali i płaszcz z krzyżem przywdziewali. Powiększał się przeto zakon, powiększały jego dobra, bo mnisi ciągle zwycięztwa odnosili nad Prusakami. Mimo krążących nieprzychylnych pogłosek, Łokietek ich szanował i za przyjaciół poczytywał.

Złączywszy po długich niezgodach zdobyte przez Chrobrego ziemie, król ten pilnie strzegł całości swego państwa; tymczasem Pomorzanie znowu burzyć się poczęli. Piotr, kasztelan Gdański, z rodziny Szweńców, która tam wielkiego znaczenia zażywała, zapragnął oderwać Pomorze od ziemi Krakowskiej i poddać je Waldemarowi, margrabi Brandeburskiemu, który wzamian Szweńcom obiecywał nadać liczne grody i włości. Ja-

koż r. 1307 poddali Szweńcowie Pomorze Waldemarowi.

Łokietek, lękając się, iż sam nie podoła zbuntowanym, wezwał do pomocy braci Krzyżaków. Dali mu oni ją chętnie: mistrz Lüder, który wówczas stał na czele Zakonu, sam z rycerstwem wybrał się na Pomorze, pokonał nieposłusznych, a potem zostawił na Pomorzu swoją załogę i oświadczył Łokietkowi, iż z niego już nie ustąpi.

Oburzony tem podejściem król, posłał skargę do papieża; papież rozkazał ustąpić Krzyżakom z Pomorza, lecz mistrz Lüder nie posłuchał rozkazu. Wtedy duchowieństwo polskie karę na nieposłusznych wymierzyć postanowiło.

Rozbrzmiały dzwony wszystkich kościołów: żałobne echa rozległy się po miastach i siołach — głosząc, iż Kościół polski wyklina Krzyżaków. Lecz i tej kary nie zlękli się oni, i tego nie zlękli także, iż Łokietek obwołał w kraju swym przeciw nim wojnę.

Odtąd Krzyżak przestał być przyjacielem Polan: za wroga go poczytywali; kto tylko mógł, zbroję przywdziewał i śpieszył pod króla dowództwo, gdyż sam Łokietek wybierał się na tę wyprawę. Chcąc przyśpieszyć spotkanie, Krzyżacy wkroczyli na ziemię Kujaw i pod miastem Radziejowem, we wsi Płowce, rozłożyli się obozem.

Dzień 27 września posępnie zapowiadał się mieszkańcom wsi tej: gęsta, szara mgła, jak gruba

opona, spadała od nieba do ziemi; słońce nie mogło się przedrzeć przez nią. Otoczeni tą mgłą Krzyżacy, nic dojrzeć prawie nie mogli, co się po za ich obozem dzieje; rozpaliwszy ognisko, zamyślali o posiłku... gdy naraz doleciał ich uszu głuchy tętent, zdradzający, że jakieś wojsko ku nim nadciąga. Domyślając się, że to wróg, przygotowali się do spotkania, przywdzieli zbroje, dosiedli koni, ustawili machiny oblężnicze przed sobą i w szeregi za niemi się ustawili. Ci zaś, którzy byli trwożliwego serca, powiązali się z odważniejszymi łańcuchami, aby nie módz uciekać w razie niebezpieczeństwa, tworząc tym sposobem mur nieprzebyty.

Tymczasem mgła rzednąć poczęła... gruba opona w lekką, przejrzystą zasłonę się zamieniła... zamajaczyły za nią wojska polskie... Lecz nie zadrżały na ich widok serca Krzyżaków: byli pewni zwycięstwa; wprawdzie klątwa nad nimi wisiała, — lecz oni ufali, że miecze ich klątwę zażegnają.

Mgła wreszcie opadła całkiem... przejrzysta zasłona, kryjąca wojska polskie, znikła... i ukazały się one w całym blasku swoim. Pancerze i hełmy rycerzy, oblane promieniami słońca, mieniły się, jak złoto; różnokolorowe chorągwie, u kopij powiewające, jak tęcza różnobarwna nad ich głowami się unosiły. Na czele wojska stał sam król, biały, jak łabędź, od trosk, które prze-

żył, nieszczęść, jakich zaznał w życiu, pracy i tułactwa, — boć dwa razy wypędzany był z Krakowa przez obcych książąt i ukrywać się musiał przed nimi w skałach Karpackich. Wreszcie — zasiadł spokojny w Krakowie, wreszcie państwo jego do sił wracać poczęło — gdy oto nowe mu grozi niebezpieczeństwo.

Stanęły już zbrojne szeregi naprzeciw siebie, ale hasła do boju jeszcze nie dano... Król modli się cicho... Wzniósłszy wzrok w niebo, wzywa Pana wszech rzeczy, by w ciężkiej chwili mu dopomógł, by wsparł tych, co za sprawiedliwość walczą. I rozjaśniło się niebo, jakby na znak, że modlitwa wysłuchana. Łokietek skinął na swoich: zagrały trąby bojowe, zaszumiały skrzydła pancernych, zadźwięczały szable... strzały ze świstem prują powietrze. Skrzypią machiny krzyżackie — pociski śmiertelne rzucają na lecących ku nim rycerzy. Szeleszczą chorągwie — ziemia drży od kopyt końskich — padają trupy, — mijają je ci, co do wroga śpieszą. Dotarli wreszcie... Spotkały się szable: teraz bój na miecze się toczy — bój zacięty. Krzyżacy widzą, że zwyciężą. Mija godzina jedna. druga... nie ustępują im przeciwnicy; słońce uchodzić zaczyna — oni wciąż z jednakową siłą nacierają. W serca krzyżackie zwątpienie się wkrada, chwiać się poczynają, cofać... wkońcu popłoch ogarnia całe wojsko. Owi odważni, co tchórzliwych do siebie przywiązali, pociągają ich

z sobą; pobici Krzyżacy pierzchają w największym nieładzie. Ścigani przez Łokietka, jeszcze w ucieczce zostawili niejednego na placu boju.

Do późnego wieczora gnali zwycięzcy Niemców; noc dopiero zmusiła ich do powrotu. Legli znużeni pod osłoną swych namiotów, a nazajutrz król poszedł zwiedzić pole bojowe.

Smutny widok przedstawił mu się tutaj: całe pole trupami było zasłane — Krzyżacy obok Polaków leżeli razem snem śmierci uśpieni. Blade ich twarze, zsiniałe usta, pokurczone członki, świadczyły, w jakich mękach konali.

Straszną rzeczą jest wojna!

Wydawszy polecenie, aby wszystkich, wrogów i swoich, chrześcijańskim uczcić pogrzebem, już Łokietek chciał wracać do swego namiotu, gdy jęk posłyszał. Zwrócił się przeto w stronę, skąd szedł i — spostrzegł, że jeden z leżących porusza się jeszcze. Ranny żył, ale strasznie był pokaleczony: trzy włócznie krzyżackie w nim tkwiły, złamane drzewce w rękach nieprzyjaciół pozostało. Zaciśnięte zęby, skurczone członki świadczyły, że cierpi bardzo; jęczał wszakże niewiele... Król pochylił się nad nim wzruszony.

— Jakże was boleć muszą te rany?— zapytał.

— Więcej bolały mnie rany, jakie kraj mój tak długo od złego sąsiada ponosił — rzekł dzielny rycerz.

— Te, da Bóg, teraz boleć nie będą — odparł król. Kazał przenieść rannego do swego namiotu i polecił go swemu lekarzowi; a gdy wyzdrowiał, obdarzył go wioską i do herbu, jaki posiadał, dodał trzy włócznie; rycerz ten zwał się Floryan Szary. Z czasem rodzina jego nazwę Szary na Saryusze [1]) zmieniła.

Mistrz Krzyżacki Lüder, otrzymawszy wieść o porażce pod Płowcami, prosił, aby na czas jakiś zawiesić broń. Zgodził się na to Łokietek, zawarł przymierze z Krzyżakami, a oni obiecali, iż opuszczą Pomorze. Wkrótce potem umarł Łokietek... zanim jeszcze sprawa z Krzyżakami ostatecznie rozstrzygnięta została.

Między starożytnościami w Dreźnie znajduje się tego króla wizerunek, pod którym położono następujący napis:

„Postawa ciała ledwo łokieć długa,
Ale serce wielkie, co nigdy się nie ulękło;
Dzicy Prusacy, równie jak Czechy,
Uczuli przez swoje straty moją dzielną rękę:
Pokonałem i musieli się ugiąć przedemną.
Potrzykroć odjęto mi koronę orężem i podstępem,
A przecież wróciłem znów zwycięsko do berła.
Mąż w małem ciele, musi nosić wielkie serce!
Czy ten, który powalił Goljata, nie był także ma-
[łym?

[1]) Ród Zamojskich wywodzi swe pochodzenie od owego Saryusza.

I wielkiego Polifema zbił mały Ulises.
Boga — prośbami, ludzi — mieczem zwyciężyłem,
Czyliż nie dosyć?

Streszczenie części trzeciej.

Wiek XIII.

Był to wieczór posępny, mglisty, wilgotny... Takie wieczory i dnie całe, na jesieni, w górach, nie są rzadkiem zjawiskiem. Chmury, porozwieszawszy się, zasłoniły całkiem oczom naszym piękne Alpy: stanęły między nami a niemi jak biały, długi, drażniący swą jednostajnością mur. Przez cały dzień słońce ani jednym złotym promykiem nie obdarzyło ziemi; ani na chwilę jedną szara zasłona, kryjąca błękity, z nich się nie uchyliła.

Smutek głęboki tłoczył mi duszę, a smutek ten zwiększał się jeszcze, ilekroć spojrzałam na ciotkę Ludmiłę. Była bardzo bladą tego wieczora — oczy jej, ożywione zwykle pięknym blaskiem, dzisiaj, jak przez mgłę patrzały — z piersi wydobywał się suchy, krótki kaszel, który mnie niepokoju nabawiał i odświeżał w pamięci bolesne chwile dzieciństwa: ojciec nasz tak samo w ostatnich latach życia wyglądał. Ilekroć przypomnia-

łam go sobie, widziałam go zawsze bladym, z oczyma zgasłemi, pokasłującym cicho.

Odbywszy lekcye, jakie miewaliśmy rano z panną Holajs, która do nas na godziny przychodziła i udzielała języka niemieckiego, historyi i geografii powszechnej — my, dziewczęta, zajęłyśmy się robotą; Marcyś łamigłówkę układał. Czekaliśmy przybycia Zosi, Emmy, Adeli i Wacia, oraz uderzenia 6 godziny, o której ciotka Ludmiła rozpoczynała zwykłe swe opowiadanie: lecz szósta minęła — nie zjawili się.

— Zapewne lękają się deszczu — rzekła ciocia — nie przyjdą już dzisiaj. Zdacie mi przeto bez nich sprawę z tego, co w waszych główkach przez te parę dni przybyło.

To powiedziawszy, przysunęła się z fotelem do stołu, przy którym siedzieliśmy zebrani.

— Terenia streści moje opowiadania — dodała. — Obrazki, jakie wam odmalowałam słowami, zwiąże w jedną całość.

Terenia podniosła spokojnie białe swoje czoło.

— Smutna to epoka, o której mam opowiadać, — rzekła. — Bolesław Krzywousty, ten rycerz dzielny, przed śmiercią błąd popełnił, bo ziemię swoją na cztery części podzielił; wynikły stąd długie wojny domowe, a do tych klęsk przyłączyły się jeszcze inne: Tatarzy poczęli napadać na ziemię Polan; wyniszczyli oni kraj straszliwie, setki ludzi uprowadzili do niewoli. Nieszczęście

to po raz pierwszy dotknęło Polskę roku 1241, za panowania Bolesława V-go.

— Tak, smutna to bardzo epoka — potwierdziła ciocia. — Synowie Krzywoustego swarzyli się ustawicznie między sobą i rozdzielali dziedzictwo ojcowskie, między swoich potomków; państwo Chrobrego rozpadało się na coraz drobniejsze cząstki. Książęta Piastowie wydzierali też sobie ustawicznie ziemię Krakowską, gdyż ten, co ją posiadał, miał największe znaczenie: wszyscy inni winni mu byli posłuszeństwo. Bolesław zastrzegł wprawdzie testamentem, aby ziemia Krakowska należała do najstarszego jego syna, a potem do jego potomków, lecz wola ta spełnioną nie została. Panowie, usunąwszy Władysława, oddali ziemię Krakowską Bolesławowi Kędzierzawemu, a gdy ten umarł — Mieczysławowi Staremu; potem zaś, usunąwszy Mieczysława, oddali ją najmłodszemu z synów Krzywoustego, Kazimierzowi, który nosił przydomek „Sprawiedliwego“. Odtąd ziemia Krakowska zostawała w posiadaniu najmłodszej linii Piastów: po śmierci Kazimierza objął ją syn jego, Leszek, a potem — wnuk Bolesław. Zatargi domowe, jakie zakłócały wiek XIII, były też przyczyną, iż w tej epoce odpadł Śląsk, oddali go bowiem panowie synom Władysława II, by pretensyi nie rościli do ziemi Krakowskiej. Nie powrócił Śląsk więcej do Polski: zajęli go następnie Czesi,

a z Czechami dostał się Austryi — poczem, skutkiem wojen, jakie Austrya z Prusami wiodła, znaczna część Śląska przyłączona została do Prus. Dziś większa część tej ziemi jest w posiadaniu Prusaków, mniejsza — do Austryi należy. Lat tyle już minęło, odkąd ta ziemia słowiańska w niemieckiem jest ręku, jednak ludność nie zapomniała pochodzenia swego, a dziś więcej niż kiedykolwiek myśli o tem i daje dowody, iż nie jest niemiecką, tylko słowiańską. Wiele zawdzięczają Ślązacy Karolowi Miarce, zacnemu mężowi, który grosza i pracy nie żałował, by przypominać ustawicznie Ślązakom ich przeszłość; wiele też zawdzięczają innym zacnym ludziom, którzy z różnych stron kraju przysyłają im pieniądze, by zakładali szkoły i książki, w miejscowym języku pisane, drukowali.

Krótki, suchy kaszel przerwał opowiadanie cioci, zapanowała jednak nad nim wkrótce i pokrywając uśmiechem cierpienie, zwróciła się do Marcysia.

— Może ty mi teraz powiesz, jak ci się podobał Leszek Biały, syn i następca Kazimierza Sprawiedliwego.

Marcyś się ożywił, gdyż poważne opowiadanie cioci znużyło chłopczynę.

— Kocham go — wykrzyknął z zapałem — bo był dobry, zacny i odważny, a najwięcej za to, że nie wyrzekł się przyjaciela, dla korony.

Ciocia uśmiechnęła się.

— Nie zapominaj nigdy tego, coś w tej chwili powiedział — rzekła. — Pamiętaj, że przyjaźń ludzka to skarb największy — że tę nad wszystko cenić trzeba.

— Ja też tak zrobiłem wczoraj — odparł Marcyś. — Frytz, ten co to przybiega czasem na naszą łąkę, by się ze mną pobawić... wie ciocia który... otóż, ten Frytz powiedział mi wczoraj: „jeśli nie pójdziesz do Wacia, tylko ze mną zostaniesz, to dam ci jabłko“, a ja mu na to odpowiedziałem: „Dla jabłka nie wyrzeknę się przyjaciela“.

Roześmiałyśmy się wszystkie głośno na te słowa, aż Marcyś się zmieszał, lecz ciocia wyciągnęła do niego rękę, objęła go ramieniem i pocałowawszy w czoło, rzekła:

— Widzę, iż nietylko pamięć twoja skorzystała z moich opowiadań, lecz także i serduszko; cieszy mnie to bardzo... Kiedy tak dobrze zapamiętałeś historyę Leszka, to powiedz mi teraz, jak się nazywał jego brat, i jaka ziemia do niego należała?

— Brat Leszka nazywał się Konrad; dostał on po ojcu Mazowsze — odparł Marcyś. — Ale ja jeszcze coś więcej wiem o nim — dodał z figlarnym uśmiechem.

— Jeśli wiesz, to powiedz nam — odparła ciocia.

— Konrad Mazowiecki sprowadził roku 1222 do Mazowsza Krzyżaków, aby go bronili od napaści Prusaków — rzekł Marcyś, patrząc na Terenię, która go uczyła.

— Nawet rok zapamiętałeś... to pięknie... — pochwaliła go ciocia.

— Bo taki łatwy; jedynka i trzy dwójki.

Uśmiechnęła się do niego ciocia; poczem zwróciła się do najmłodszej z nas.

— Powiedz mi, Anielciu — rzekła — gdzie to leży Lignica i czem pamiętne jest to miasto?

Anielcia, również jak Marcyś, była uczenicą Tereni, więc odpowiedź ją nie zawiodła.

— Lignica leży na Śląsku, pamiętna jest bitwą, stoczoną na jej polach r. 1241 z Tatarami — odpowiedziała śmiało. — W bitwie tej poległ Henryk, książę Wrocławski; panował wówczas na ziemi Krakowskiej Bolesław V, wnuk Kazimierza Sprawiedliwego.

— Bardzo dobrze — odparła ciocia. — Tatarzy napadli powtórnie Polskę za Leszka Czarnego, który po śmierci Bolesława V odziedziczył ziemię Krakowską; był to wnuk Konrada Mazowieckiego. Po śmierci Leszka znowu zamieszki domowe zakłócały państwo Chrobrego. Różni książęta z rodu Piasta, śląscy, wielkopolscy, mazowieccy, a także i obcy, jak król czeski Wacław, dobijali się kolejno o godność księcia Krakowskiego. Chwilowo otrzymał ją Przemysław, książ-

że Poznański, lecz ten niedługo po przybyciu do Krakowa zamordowany został przez napastników, gdy wracał nocą z zabawy. Potem, Władysław Łokietek, książę Sieradzki, uznanym był za księcia Krakowskiego, lecz tego wygnał Wacław, król Czeski i sam rządzić począł w Krakowie; umarł jednakże wkrótce.

— I Łokietek odzyskał ziemię Krakowską, wszak prawda ciociu? — odezwała się niespodzianie milcząca dotychczas Mania.

— Tak jest — odparła ciocia — po wielu latach tułaczego życia, wrócił do ziemi Krakowskiej, złączył rozdzielone długo dzielnice Piastów i odbył znowu uroczystą koronacyję r. 1319.

Mania z zadowoleniem po nas wszystkich spojrzała, jakby chciała powiedzieć: „A co? i ja coś umiem!“

— A jaka to ziemia odpadła za Łokietka od Polski? — zapytała jeszcze Manię ciotka Ludmiła.

Lecz Manię pamięć zawiodła; pośpieszyłam jej z pomocą.

— Pomorze — rzekłam. — Zabrali je Krzyżacy, których Łokietek wezwał, aby mu pomogli uspokoić zbuntowanych, gdyż Pomorzanie chcieli się oderwać od Polski. I uspokoili ich Krzyżacy, ale ziemię ich sobie przywłaszczyli. Stało się to roku 1333, a zatem już na początku XIV wieku.

— Kiedy tak dobrze wyręczyłaś Manię, to powiedz mi teraz: jaki to stan nowy wytworzył

się w Polsce w wieku XIII? Jak wiecie, było już duchowieństwo, byli rycerze, kmiecie i niewolnicy; zgadnij teraz: jaki stan przybywa?

— Mieszczanie — odparłam.

— Teraz na mnie kolej dorzucić jeszcze słów kilka — rzekła ciotka Ludmiła. — Znacie już ważniejsze wypadki, jakie w tym wieku się wydarzyły; lecz nic jeszcze nie mówiliśmy o tem, jak to Polacy żyli, mieszkali w owej epoce, jakie były ich zabawy i zatrudnienia. Pod tym względem niewielkie zmiany zaszły; obyczaje są jeszcze bardzo proste — tak samo mieszkają, jak w poprzedniej epoce — wojna i łowy są zawsze ulubionem zajęciem mężczyzn — kobiety wiodą życie samotne, odosobnione. Jednakże jest pewien postęp ku lepszemu. Mieczysław Stary sprowadził do kraju zakonników Cystersów. Cystersi założyli w kilku miejscach klasztory, a przy nich fabryki i warsztaty, więc przemysł się podniósł, gdyż sprowadzeni zakonnicy nauczyli miejscową ludność nowych rzemiosł, jak: kuśnierstwa, tkactwa, pasamonictwa i t. d. Powstały nowe mennice, w których ze srebra krajowego bito pieniądze — urządzono kopalnie soli w Wieliczce... Jednem słowem, kraj staje się bogatszym. Wiek XIII może się też pochwalić uczonym mężem, który żył i pracował w tych czasach: był nim Wincenty Kadłubek, kronikarz, który opisał panowanie Kazimierza Sprawiedliwego i jego poprzedników.

Nieznani poeci tworzyli w tych czasach, jak i poprzednich, pieśni religijne i bojowe, lub okolicznościowe. Umiem na pamięć kilka zwrotek z pieśni, która opiewa dzieje niejakiego Alberta, wójta Krakowskiego; wójt ten podniósł bunt przeciw Władysławowi Łokietkowi, gdyż będąc Niemcem z pochodzenia, pragnął widzieć na tronie krakowskim jakiego księcia, który byłby, jeśli nie Niemcem, to chociaż hołdownikiem Niemiec.

— Powiem wam parę zwrotek tej pieśni, abyście poznali choć jeden utwór polskiej literatury z tej epoki.

. . . . . .

By wykazać lasów zdradę,
Ja mój przykład dla was kładę,
Albertem rzeczony;
Miałem skarby, miałem zdrowie,
Byłem wójtem na Krakowie
Pisałem zakony... (prawa).

I cześć miałem w każdym razie:
Mnie barony, hrabie, knezie
Nazywały bratem.
Jam ich wspierał w każdym względzie,
Jam ich bronił na urzędzie
I przed Majestatem.

Król, czy baron, czy wielmoże,
Na mej radzie, na wyborze,

Polegał zwyczajnie,
I książęta i panowie
Powierzali mojej głowie,
Najważniejsze tajnie.

Sprawowałem żupy solne,
Miałem miasta, wsi okolne,
Których sam nie zliczę;
Miałem zamki, jak książęce,
Piastowałem w mojej ręce
Władzę namiestniczą.

Lecz gdy rosła moja siła,
Czarna dola pośpieszyła,
Z haniebną zatratą,
A ów człek, co tyle znaczy,
Upadł nagle w stan żebraczy.
Czym zasłużył na to?

Ja wierzyłem w szczęście zdradne;
Anim sądził, że upadnę;
Przeszła moja władza.
Przeszła wielkość znakomita:
Kniaź Bolesław w plen mię chwyta
W Opolu osadza.

Skuty w pęta i łańcuchy,
Ledwie miałem chleb mój suchy
W zimnej wieży rogu;
Zamiast komnat i alkowy,

Loch wilgotny i niezdrowy
I kupa barłogu.

. . . . . .

Suchy, krótki kaszel znowu wyrwał się z piersi ciotki; prosiłyśmy ją przeto, by się więcej nie męczyła. Uległszy naszym prośbom, udała się na spoczynek. Nazajutrz i przez kilka dni następnych nie podniosła się z łóżka. Lecz gdy deszcze ustały, słońce zabłysło — wróciły jej siły. I znowu zbierała nas każdego wieczora — opowiadała dzieje z przeszłości. Myśmy słuchały jej z zajęciem, a Terenia spisywała jak najwierniej wszystko.

CZĘŚĆ CZWARTA.

I.

Król Kmiecy.

Cóż to za drużyna wyjechała z murów miasta Krakowa i ku wioskom okolicznym się skierowała? Przodem, na rączym dzielnym koniu, widać młodzieńca, który nie liczy z pewnością lat więcej nad 23. Suknie jego skromne, ciemne, nie zwracają uwagi, ale twarz dziwnie rozumna i jasna pociąga przechodniów spojrzeniem, a choć skromnie ubrany, dostojne chyba stanowisko zajmuje, bo ci, co za nim jadą, choć starsi wiekiem i strojniejsi od niego znacznie, w jedwabnych szatach, trzymają się jednak zdala z uszanowaniem. Spotykani po drodze, nizkie, pokorne składają mu ukłony, a gdy kmieć przechodzi, to powitawszy go ukło-

nem, potem stanie — patrzy za nim długo — i szepce sam do siebie:

— Bóg najwyższy niechaj ciebie ma w Swej opiece.

Bo kmiecie kochają króla Kazimierza... On to właśnie wyjechał z miasta z drużyną. Po ojcu swoim, Władysławie, objął tron Krakowski; królem kmieci zwą go poddani, bo dobrym jest dla chłopów: czuwa nad nimi i krzywdzić ich nie pozwala.

Drużyna wjechała między pola, szumiące srebrnemi łanami żyta, między zielone błonia. Słońce jasno świeci na niebie; chłodny wiatr powiewa, więc skwar dokucza, choć to lato, zatem król i panowie jadą żwawo, coraz bardziej oddalając się od miasta. Wreszcie znikło im ono z oczu, tylko pola, wsie i błonia ich otaczają — a na jednem błoniu widać dąb olbrzymi, rozłożysty: tam skierował się król, i za nim dworzanie.

— Tu spoczniemy — rzekł Kazimierz. — Niechaj jeden każe przynieść ze wsi ławę; siądziem w chłodzie i pogawędzim z kmieciami. Kto wie, jakie czasy ten dąb pamięta: może pod nim ojcowie nasi na wiece się zbierali, może sądy odbywali... My też do sądu zasiądziem.

Zeskoczył z konia; panowie toż samo uczyniwszy, puścili rumaki swobodnie na trawę. Jeden tylko ku wsi pośpieszył, by rozkaz królewski spełnić, a król krzyknął za nim:

— Powiedzcie we wsi, że król Kazimierz czeka pod dębem na smutnych i uciśnionych.

Dworzanin uderzył konia ostrogą i pomknął żwawiej. Niebawem znikł z oczu czekających na błoniu i wkrótce zjawił się znowu, lecz teraz nie sam: za nim, w dali, widać było dwóch kmieci, którzy ławę dźwigali, a jeszcze dalej gromadkę ludzi, posuwającą się nieśmiało ku błoniom.

Wieśniacy ustawili ławę pod dębem; król zasiadł na niej i dworzan zaprosił. Tuż obok króla zajął miejsce z jednej strony Jaśko z Melsztyna, dodany mu za doradzcę, z drugiej — mąż nauki, historyk sławny, Janko z Czarnkowa; przy nich kanclerz królewski, podskarbi, oraz inni urzędnicy.

Gromadka wieśniaków, przyszedłszy na błonie, stanęła pokornie zdala od dębu, nieśmiało na króla spoglądając. Byli między nimi starzy i młodzi, kobiety i mężczyźni, było nawet jakieś maleństwo nędzne, chude, brudne i obdarte, dziewczynka ośmioletnia.

Kazimierz powiódł po nich wzrokiem, i skinął na starca, co jak gołąb białą miał głowę i śnieżnej białości brodę do pasa.

— Jak się zowiesz i co ci dolega? — zapytał.

Starzec westchnął.

— Zwę się Grzegorz Jasieńczyk — rzekł; — niedołężny jestem, pracować nie mogę i nędza mi grozi, bo dzieci nie mam, coby na mnie praco-

wały... Miałem syna, lecz poszedł na wojnę przeciw Czechom, co Śląsk chcieli zabrać i nie wrócił z niej: na starość sierotą zostałem.

Król z politowaniem spojrzał na biedaka.

— Nędza ci nie dokuczy — rzekł. — Oddałeś ziemi twej, co miałeś najdroższego, syna własnego: państwo myśleć o tobie będzie. Ze skarbu królewskiego będziesz od dziś dnia pobierać utrzymanie.

To powiedziawszy, zwrócił się do podskarbiego:

— Zapamiętajcie jego imię — dodał.

Podskarbi skłonił się królowi.

— Rozkaz twój, panie, spełniony będzie— rzekł.

A król skinął na jedną z wieśniaczek, w gromadzie stojącą; nie była starą, lecz twarz miała tak bladą i tak wielki smutek na niej wypisany, iż współczucie budziła większe, niż inne.

— A tobie co dolega? — spytał ją Kazimierz.

— Oj, ciężka ma dola — odparła kobieta, ocierając dłonią łzy, które przy pierwszych słowach polały jej się z oczu. — Miałam męża: Jan Grazda zwał się; dobrym był człowiekiem, pracowitym, żwawym... Pan wezwał go do dworu, by w ogrodzie pracował: poszedł, bo dziatwy pięcioro w domu, chciał zarobić, a pan hojnie płaci. Otóż, źli ludzie oskarżyli go, pewnie przez zazdrość, że

skradł pańskie jabłka i pan go do turmy wtrącił... A jam pewna, że nie winien.

— Bez sądu uwięził? to nadużycie. Sprawa ta wyjaśnioną być winna... Bądź spokojna, niewiasto: jeśli mąż twój nie winien, krzywdę wyrządzoną pan mu nagrodzi.

To powiedziawszy, król skinął na kanclerza.

— Zapamiętajcie imię męża tej kobiety i poślijcie jutro wezwanie panu tej włości, by stawił się na zamek.

— A twoja skarga jaką będzie? na kogo użalić się chcesz? — zapytał następnie chłopca, który choć młody, bo więcej nad lat 18 liczyć nie mógł, stał jednak smutny śród gromadki.

Chłopiec wystąpił naprzód, — rumieniec oblał mu twarz, i oczy błysnęły gniewem.

— Wczoraj na łowy z paniczem pojechałem — rzekł. — Goniliśmy dzika i umknął nam: panicz powiedział, żem winien, i obił mnie, obił wobec wsi całej. — Tu nowy rumieniec oblał twarz mówiącego; drżał widocznie z oburzenia i bliskim był płaczu, — oczy miał łez pełne.

Król zmarszczył czoło.

— Młodzież odbiega zwyczajów ojców — rzekł posępnie. — Smuci mnie to wielce... Zbyt często słyszę o nadużyciach, jakich względem kmieci się dopuszczają. Ukrócę ja tę swawolę, nie pozwolę gnębić słabszych, a ciebie panicz, jak

znieważył wobec wsi całej, tak i wobec niej przeprosi.

Twarz chłopca rozjaśniła się.

— Dzięki wam, miłościwy Panie — rzekł. — Srom wobec innych, to ból straszny. Mnie nie razy bolały, ino wstyd, jakiegom doznał.

Król spojrzał na dworzan.

— Czyż ta odpowiedź nie przekonywa nas, że kmiecie tak samo czują, jak my — rzekł.

I znowu zwrócił się do gromadki wieśniaków, wdali stojącej pokornie.

— A cóż to dziecko tu robi? — zapytał, wskazując bladą nędzną dziewczynkę.

Mała postąpiła naprzód nieśmiało.

— Poszłam wczoraj do lasu z bratem, o rok starszym—rzekła.—Zbieraliśmy chrust, bo w chacie drzewa nie było, a matka chora i na zimno się skarżyła. Wtem wypadł pański służalec, odebrał nam chrust, krzycząc, że w pańskim lesie nic nie wolno zbierać, i brata zabrał ze sobą. Pono do piwnicy na tydzień cały o chlebie i wodzie zamknęli go we dworze, aby pamiętał, że las do pana należy.

Chmura gniewu zawisła na nowo na czole króla. Sięgnął do kieszeni i dobył parę sztuk złota.

— Kup za te pieniądze drzewa — rzekł — i powiedz matce, że król chłopów od dziś pamiętać o was będzie.

Poczem zwróciwszy się do innych wieśniaków, badał dalej, pytał, pocieszał, -- a każdy miał jakąś skargę do zaniesienia. Jednemu za to, że długu na termin nie oddał, wierzyciel zabrał cały dobytek; drugiemu niesłusznie dowiódł, że pieniędzmi fałszywemi zapłacił i po raz drugi się o należytość dopominał. Każdy użalał się przed Kazimierzem, a on każdego pocieszył...

Południe dawno już było minęło, gdy król na zamek podążył, a wieśniacy z nadzieją w sercu do wsi powrócili.

Syn Łokietka zasługiwał w istocie na nazwę „króla chłopów," jaką mu poddani nadali. Troskliwą opieką otaczał on kmieci, których panowie poczynali wówczas uciskać, a poznawszy ten ucisk, gdyż często ich odwiedzał i sam z nimi rozmawiał, widząc wiele nadużyć popełnianych, postanowił złemu zaradzić przez nadanie narodowi rozumnych praw. Kazał przeto, by panowie zebrali wszystkie prawa, jakiemi dotychczas naród się rządził, i spisali je, poczem, wybrawszy lepsze, złe zmieniwszy na inne, zwołał zjazd do miasta Wiślicy i tam wobec zebranych biskupów, wojewodów, kasztelanów, urzędników ziemskich i znakomitszych ziemian czyli szlachty, wszystkim dzielnicom Polski nadał jednakowe prawa, i na wszystkie stany nałożył podatki: stosownie do położenia panowie większe ponosili podatki, biedni mniejsze. Prawo to otaczało szczególną

opieką kmieci, nie pozwalało żydów prześladować i mieszczanom dawało przepisy, jak rządzić się mają. Jednem słowem, o żadnym stanie nie zapomniał Kazimierz. A były już teraz w Polsce rozmaite stany: urzędnicy świeccy i duchowni, szlachta czyli ziemianie, mieszczanie, kmiecie, wolni i niewolni. Prawa nadane w Wiślicy, spisane zostały w jednej księdze, która otrzymała nazwę „Statutu Wiślickiego.“ Bolesław Chrobry mieczem i wiarą połączył wiele plemion słowiańskich w jedno państwo. Władysław Łokietek odnowił to połączenie przez uroczystą koronacyę. Kazimierz utwierdził je r. 1368 przez nadanie wszystkim dzielnicom jednakowych praw.

Zjazd wiślicki przekonywa nas, że w tej epoce królowie polscy już nie rządzili samowolnie, lecz gdy chcieli coś ważnego postanowić, zwoływali zjazdy, czyli sejmy, i razem z panami oraz znakomitszą szlachtą radzili. Władza przestała być przeto nieograniczoną.

Król Kazimierz wiele dobrego zrobił dla kraju, nietylko bowiem nadał prawa narodowi, lecz założył też we wsi Bawole pod Krakowem wyższą szkołę, to jest Akademję, gdzie uczono już nauk wyższych, jak: matematyki, geografii, historyi, filozofii i t. d. Jego też staraniem mnóstwo miast, które dawniej były drewniane, zamieniło się na murowane, przez co napady nieprzyjaciół już nie tak łatwo klęski szerzyły, gdyż o wiele łatwiej

jest zdobyć i zniszczyć budynek drewniany, niż murowany. Postawił wiele warowni, które granic państwa strzegły; śpichrze, gdzie w czasie lat urodzajnych składano zboże; a gdy lata głodu nastały, król kazał zboże, w śpichrzach zebrane, tanio biednym ludziom sprzedawać, biedniejszym jeszcze — rozdawać darmo. Za tyle czynów mądrych i pożytecznych naród dobremu monarsze nadał przydomek Wielkiego.

Kazimierz Wielki nie był rycerzem: wojen nie lubił. Krzyżacy, korzystając ze śmierci Łokietka, nie oddali Pomorza, a on się o nie nie upomniał. Jan król Czeski zajął Śląsk; przeciw temu wystąpił zrazu zbrojno, lecz potem zawarł ugodę i zrzekł się Śląska na korzyść Czech. Nie czynił wszakże tego przez lenistwo lub tchórzostwo, lecz dlatego, iż rozumiał, że Polskę pierwej trzeba wewnątrz urządzić, a potem dopiero rozszerzyć jej granice, i w istocie urządził i uczynił ją silną, bogatą, szczęśliwą. Ciesząc się pokojem, państwo jego zagospodarowało się: podniosło się rolnictwo i handel, powstało w niem wiele wspaniałych gmachów, przybyło miast i wsi nowych. Polska Kazimierza już nie była podobną do Polski Chrobrego, pokrytej moczarami i porosłej lasami; panowie poczęli stawiać sobie domy wspaniałe, urządzać się wygodnie, obyczaje łagodniały, oświata postępowała. A choć Kazimierz Wielki wojen nie prowadził, jednak powiększył granice

państwa przez przyłączenie doń księstwa Halickiego.

W wieku XIV, po śmierci panującego tam księcia Jerzego, potomka Ruryka, który zmarł bezpotomnie, Halicz odziedziczyła siostra Jerzego, żona księcia Mazowieckiego, Bolesława, wnuka Łokietka, bliskiego przeto krewnego Kazimierza Wielkiego. Bolesław zmarł także bezpotomnie. Dowiedziawszy się o jego śmierci, Kazimierz pośpieszył do Halicza i zajął ziemię całą, a mieszkańcy oporu nie stawiali, chętnie go panem swym uznając. Wkroczywszy do Halicza już jako król odziedziczonej po zmarłym księciu ziemi, odebrawszy przysięgę wierności od nowych poddanych, Kazimierz powitał ich piękną przemową.

— Do was — rzekł — pokazać należy, żeście dawno naszą bracią. Oby nieba zlały błogosławieństwo na ten święty związek dwóch ludów słowiańskich, — oby miłość i zgoda łączyły je zawsze.

II.

Dymitr Doński.

Wśród ludności słowiańskiej, nad Odrą mieszkającej, rozbiegła się okropna wieść, że Tatarzy,

dzicy mieszkańcy Azyi, wkroczyli do Europy, że wpadli na ziemie Rusinów i zajęli potężną stolicę naddnieprską, sławny Kijów, w którym niegdyś Włodzimierz Wielki przyjął chrzest.

Jarosław W., Mądrym zwany, umierając podzielił państwo swoje między pięciu synów. Młodsza linia starszą zastąpiła, lecz kraj rósł ciągle w potęgę, a granice jego coraz dalej sięgały. Włodzimierz Monomach, który na początku XII-go wieku wstąpił na tron kijowski, złączył ze swem państwem Nowogród, Wołyń i ziemie wschodnie nad Wołgą położone; następcy jego powiększyli jeszcze to państwo. Nagle Kijów straszna klęska dotknęła: wpadli w granice tego księstwa Tatarzy i wygnali z niego panującego tam wówczas Michała. Nietylko Kijów doznał tej klęski, lecz i wiele innych ziem słowiańskich. Mieszkańcy Śląska nie wątpili, że straszna ta dola i ich nie minie, że lada dzień ujrzą u siebie Tatarów... I dnia jednego spostrzegli w istocie na drodze, ku miastu Neumarkt wiodącej, jakąś masę ruchliwą, jakiś tłum ludzi i zwierzet, idący bezładnie, nie wątpili więc, że to Tatarzy. Przodem, na koniach widać było mężczyzn w kożuchy baranie przybranych, za nimi wozy, jedne z niewiastami, inne ciężko wyładowane, — za wozami trzody, bydło, stada koni. Ślązacy pewni byli, że to podjazd tatarski, wysłany na zwiady, i w lasy okoliczne przed nim się skryli.

Pośród ludności śląskiej było w owe czasy wielu osadników niemieckich; gdy noc roztoczyła swe cienie, postanowili oni uzbroić się i napaść niespodzianie Tatarów: zachęcały ich do tego niewielka liczba najezdników i wozy ciężko naładowane, w których, mniemali, kryły się skarby.

A właśnie owi mniemani Tatarzy zatrzymali się na skraju lasów i rozbiwszy namioty spocząć tu zamyślali. Mylili się bowiem Ślązacy: nie Tatarzy to byli, lecz nieszczęśliwy książę Michał, który z rodziną i rycerstwem uchodził z zajętego przez Tatarów Kijowa. Sześćkroćstotysięcy Mongołów wpadło na ziemie Rusinów; było to w tym samym czasie, gdy w Krakowie panował Bolesław V. Takiej potędze nie czuli się na siłach oprzeć książęta: uciekł Bolesław z Krakowa w góry Karpackie, uciekł Daniel, książę halicki, do Węgier; Michał, wielki książe kijowski, również ze swej stolicy uszedł i nad Odrą postanowił szukać schronienia. Już mury miasta Neumarkt ukazały się zdala podróżnym, lecz strudzone konie nie były zdolne iść dalej; kazał przeto książe zatrzymać się drużynie, zdjąć z wozów namioty, rozbić je pod lasem, rozniecić ogniska i posilić się. Zmęczona drużyna chętnie usłuchała rozkazu, a najchętniej ze wszystkich — młodziutka wnuczka W. księcia, dziewczę pietnastoletnie, która wraz z dziadkiem uszła szczęśliwie pogoni tatar-

skiej. Już namiot książęcy rozbity, już ognisko przed nim rozpalone, już około niego rycerze postawili kilka pieńków i przykryli je kobiercami, by wygodniej było na nich... Siadł książe Michał, obok niego blada od znużenia i od łez, których tyle wylała, młodziutka wnuczka książęca. Dziewczę wsparło główkę na ramieniu dziadka i duma o Kijowie i pyta siebie, czy Tatarzy goszczą w nim jeszcze, czy spaliwszy miasto oraz wioski okoliczne, dalej powędrowali. Wtem z lasu jakiś krzyk złowrogi wybiega... Porwali się od ognisk wszyscy, powstał żywo książe Michał, i każdy w duchu pyta siebie: „Czy to Tatarzy?“

Lecz chyba nie oni, bo imienia Ałłah, z którem zwykle bój rozpoczynają, nie słychać. W każdym jednak razie krzyk ten nic dobrego nie wróży. Książę szabli dobył i zawołał na swoich, by się koło niego skupili. Ledwie na czas się uszykowali, gdy z lasu wypadli Ślązacy. Pewni, że Tatarów mają przed sobą, uderzyli na nich, bój się rozpoczął; Ślązacy nie znali Rusinów, więc w ciągłem złudzeniu, że Mongołów mają przed sobą, mordują zajadle. Lecz książę Kijowa liczną miał drużynę ze sobą, obronił się przeto, odparł najezdników, i kazawszy coprędzej zwijać namioty, postanowił się cofnąć z niegościnnej ziemi. Gdy mieli już wsiadać na wozy, okazało się, iż wnuczka księcia znikła w czasie potyczki. Próżno stary dziadek ją przywoływał: nie przybiegła do niego.

Wówczas straszne przypuszczenie zakradło się do duszy księcia: kazał szukać dziewczęcia między trupami — i tam ją znaleziono...

Zimne i martwe ciało dzieweczki złożono na wóz. Odjechał z nad Odry książę Michał i na Mazowsze podążył, tu postanowiwszy przeczekać burzę. A burza owa nadciągnęła potem na Śląsk. Miasto Neumarkt na trakcie leżało; Tatarzy przebiegając całą ziemię Śląską, ominąć go nie mogli i nie szczędząc zburzyli je do szczętu; kto do lasu na czas nie uciekł, ten więcej słońca nie zobaczył. Ludność śląska, która teraz dopiero przekonała się, jaką pomyłkę popełniła, pewną była, że to cień wnuczki księcia Michała sprowadził na nią Tatarów, mszcząc się za wcześnie wydarte życie.

Nie tylko Neumarkt legł w gruzach: tego samego losu doznał Wrocław, oraz wiele innych miast śląskich; pod Lignicą poległ dzielny książę wrocławski Henryk Pobożny, który zabiegł drogę Tatarom. Stąd dopiero cofnęli się dzicy najezdnicy i zbogaceni łupami wrócili na swoje stepy.

Najazd tatarski najdotkliwiej ze wszystkich państw słowiańskich dał się uczuć księstwom ruskim, gdyż Mongołowie nałożyli na nie daninę. Książęta ruscy musieli odtąd posyłać chanom roczny haracz i do Złotej Ordy jeździć składać czołobitność władzcom Tatarów. Toż samo musiał uczynić W. książę Michał: wróciwszy do Ki-

jowa posłał daninę chanowi, aby znowu nie wpadł w granicę jego państwa.

*

* *

I któż to jest ten, co siedzi na złocistym tronie? Śniada jego twarz, maleńkie oczy, pełne wyrazu srogości, nos płaski, budzą uczucie grozy i wstrętu... Któż jest ten, co patrzy z owego tronu złocistego na tych, co go otaczają, jakby panem był życia i mienia ich, jakby na jedno jego skinienie wszystkie te głowy mogły spaść w jednej chwili z karków. I któż są ci, co stoją pokorni, nieśmiali wokoło złocistego tronu, którzy zdają się śledzić wyraz twarzy tego, co na nim siedzi, by każde życzenie jego odgadnąć i ze służalczością niewolnika je spełnić? To chan Tatarów, Mamajem zwany, to władzca ich życia i mienia, to pan Złotej Ordy, najpotężniejszej Ordy tatarskiej, to gnębiciel słowiańskich książąt — a ci co go otaczają — to jego urzędnicy, a raczej słudzy, bo każdy z nich lęka się chana, jak pana swego pies się lęka; bo każdy z nich zgięty, pokorny, jak niewolnik.

Od tronu długa ulica prowadzi ku stepom, które szeroko rozpostarły się między Donem i Wołgą, rozłożyły się na ziemi niby piękny zielony kobierzec haftowany w różnobarwne kwiaty.

A po obu stronach ulicy widać ogniska rozpalone; pomiędzy niemi jakieś bałwany... To bożyszcza tatarskie i święte ich ognie. I kogoż oni oczekują, jakaż uroczystość ma się tu odbyć? Chan siedzi nieruchomy, jakby nie człowiekiem był, lecz posągiem ulanym z żelaza, a lśni cały od złota i drogich kamieni; urzędnicy jego świecą także, lecz nie tak jasnym blaskiem, niby księżyce przy słońcu... Przy ogniskach widać gromadki Tatarów: to czerń, tłum, pospólstwo jednem słowem. Ci, w kożuchach na wierzch wywróconych, w baszłykach na głowie, podniecają ognisko, coś szepczą do siebie, a wzrokiem zwracają się ciągle ku stepom, jakby stamtąd kogoś oczekiwali. Nagle śród Tatarów zawrzało, jak w kotle, gdy woda gotować się zaczyna. Poruszyli się wszyscy, nawet chan drgnął na swym tronie, skrzywił się i ociężale podniósł powieki; urzędnicy i gromady, koło ognisk zbite, poczęli sobie coś palcem wskazywać... Na końcu drogi, do tronu wiodącej, ukazała się gromadka ludzi. Szli pieszo, a za nimi pachołcy nieśli wielką skrzynię złotą; za pachołkami posuwały się kolasy, lecz te w pół drogi się zatrzymały, a ludzie szli dalej. Jedwabne suknie, szuby sobolami podbite, kołpaki futrzane, zdradzały, że to słowiańska drużyna; wśród starszych widać było małe chłopię o twarzy bladej, smutnej, strojno, bogato przybrane. Szli wszyscy z głowami odkrytemi, a ilekroć zbliżyli się do którego bałwa-

na, lub ognia świętego, padali na kolana i czołem bili o ziemię. Małe chłopię toż samo czyniło, lecz ilekroć uklękło, zawsze na gładkiem jego czole pojawiała się głęboka zmarszczka gniewu i zawsze pierwej który ze starszych coś mu szeptał do ucha, jakby namawiał, by ukląkł. Niezawsze chłopiec zaraz usłuchał, parę razy zdawał się wahać, opierać. Wreszcie dotarli do tronu złocistego... Teraz padli wszyscy razem na kolana i czołem uderzywszy o ziemię, nie podnosili się z klęczek. Chłopię to samo uczyniło, lecz ten co najbliżej niego był, trzymał rękę położoną na jego ramieniu, jakby się lękał, by nie wstał.

Chan srogiem wejrzeniem mierzył ich długo... Wreszcie poruszył się, skinął na jednego ze swych urzędników, a ten zwrócił się do klęczących i rzekł:

— Wielki chan Mamaj, pan Złotej Ordy, rozkazuje, abyście wstali i rzekli, z czem przybywacie.

Powstali z klęczek przybyli, poczem ten, co zdawał się być najstarszym i najdostojniejszym z drużyny, tak przemówił:

— Jesteśmy ruscy bojarowie, z księstwa Moskiewskiego przybywamy. Oto stoi przed tobą, potężny władzco — najpotężniejszy z monarchów Azyi i Europy — wnuk Iwana Kalety, któremu sławny chan Uzbek jarłyk udzielił—syn Iwana II, zmarłego przedwcześnie, Dymitr Iwanowicz: stoi

pokorny i czeka, byś mu pozwolił hołd sobie złożyć, daninę zwykłą oddać, byś go uznał W. Księciem Moskwy...

Podzielone pomiędzy pięciu synów Jarosława Mądrego, państwo Włodzimierza Wielkiego rozpadło się z czasem na więcej części, gdyż książęta ruscy, jak Piastowie, uważając państwo za swoje dziedzictwo, dowolnie niem rozporządzali. Jednem z większych księstw ruskich w wieku XIV było księstwo Moskiewskie; ulegało ono wszakże, jak inne, Mongołom. Książęta Moskiewscy zmuszeni byli składać chanom hołd i daninę. Roku 1359, po śmierci Iwana II, bojarowie wprowadzili na tron małoletniego syna jego, Dymitra, i przybyli z nim teraz do Złotej Ordy, aby otrzymać jarłyk od chana Mamaja, panującego wówczas nad Tatarami.

Chan zsunął brew i groźne, pełne złości spojrzenie wpił w młodego Dymitra, próbując, czy chłopiec się go nie ulęknie. Lecz Dymitr hardą miał duszę: wytrzymał spojrzenie... Chan mruknął coś do siebie, potem skinął, że się zgadza; młodziutki książe zgiął znowu kolana i czoło pochylił. Mamaj długo trzymał go w tej postawie, — nakoniec zwrócił się do urzędników... Ci zgadli życzenie pana, podali mu jarłyk, który Mamaj oddał klęczącemu.

Dymitr uznany został Wielkim Księciem Moskwy. Teraz powstał, skinął na pachołków, by

przystąpili do tronu i skrzynię ze złotem, daninę księcia Moskwy, Mamajowi oddali, poczem cała drużyna oddaliła się zwolna, a wracając tą samą drogą, znowu zmuszona była bić pokłony bożyszczom i ogniom świętym. Dotarli wreszcie do kolas; Dymitr wskoczył do najparadniejszej i zwrócił się ku stepom w stronę, w której widać było złocisty tron chanów tatarskich, a za tym, dalej jeszcze, stolicę ich, miasto Krym.

— Niechaj tylko podrosnę, czołem bić ci nie będę — rzekł hardo. — Niechaj z pacholęcia mężem zostanę, w siły się wzmogę, a powiem ci: „Chanie Mamaju! tyś nie Bóg! przed Bogiem tylko człowiek zginać może kolana“.

Uśmiechnęli się bojarowie — i z dumą spojrzeli na swego księcia.

I dotrzymał słowa Dymitr... Wyrósłszy z lat pacholęcych, gdy bojarowie uznali, iż sam już władać państwem może, nie złożył Tatarom zwykłej daniny. Chan przysłał do niego swoich; stanąwszy przed obliczem wielkiego księcia Moskwy, rzekli mu wysłańcy krymscy:

— Pan nasz i twój, władzca Złotej Ordy, wielki Mamaj, kazał ci rzec, że jeśli w tej chwili nie ruszysz z nami do Ordy, czołem przed nim nie uderzysz, daniny należnej nie oddasz, głowę ci z karku strącić każe i państwo twoje ogniem i mieczem zniszczy.

— Niech przyjdzie i spróbuje—odparł chmurnie Dymitr.

Chan nie dał sobie powtórzyć tego wezwania. Wkrótce po całej Moskwie rozległo się bolesne wołanie, z jękiem i szlochaniem połączone:

— Tatarzy idą! Tatarzy!

Jednocześnie łuny pożarów oświeciły niebiosa rozciągające się ponad ziemią Ruską... Czarne słupy dymów podniosły się od jej wiosek i miast ku błękitom; tłumy Mongołów, wrzeszcząc Ałłah! Ałłah! rozbiegły się po grodach i siołach, szerząc w nich śmierć i spustoszenie. Lecz Dymitr nie tracąc odwagi, zebrał rycerstwo, zwołał innych książąt ruskich — i pośpieszył naprzeciw wrogów... Na Kulikowem polu, tam, gdzie rzeka Nieprawda do Donu uchodzi, spojrzeli sobie w oczy Rossyanie i Tatarzy. Bój zawrzał srogi, zacięty, — trwał od świtu do rana... I ustąpili Tatarzy. Dymitr powrócił jako bohater do Moskwy i otrzymał przydomek „Dońskiego“.

Nie uwolnili się wprawdzie jeszcze wówczas książęta ruscy z pod jarzma mongolskiego, lecz przekonali się, że Tatarów można pokonać. Odtąd też imię Tatara nie rozpraszało już hufców słowiańskich: stawili im czoło odważnie i oswobodzili się w końcu z pod ich ucisku, lecz dopiero w wieku XV-ym.

III.

Królowa Jadwiga.

działo w Polsce za panowania Ludwi-
eńskiego, któremu panowie po śmier-
za Wielkiego koronę oddali. Był to
, siostry Kazimierza i króla Węgier.
ierz polecił go panom jako następcę.
, objąwszy tron po śmierci ojca, pa-
zumnie i zasłużył na imię Wielkiego,
ę nie dbał. Włożywszy w Krakowie
ronę, wrócił do Węgier, opiekę nad
erzywszy matce swej Elżbiecie, która
umiała; źle się działo w kraju. Napa-
ańscy Litwini — palili miasta, wioski,
anął na czele wojsk, by je bronić;
przez Kazimierza Wielkiego Halicz

tylko dwie córki, starszą z nich, Maryę polecił panom, aby po nim rządziła.

Po śmierci Ludwika powstał jeszcze większy zamęt w państwie, bo każdy innego chciał mieć pana Żyli jeszcze książęta z rodu Piasta: ci, którzy mile wspominali dawne czasy, zebrawszy sejm, czyli wiec, wołali: „Niech nam panuje Ziemowit, książę Mazowiecki“. Ci, którzy wdzięczni byli Ludwikowi za przywileje im nadane, krzyczeli: „Nie chcemy Ziemowita, tylko Maryę“. I powstała wojna domowa: zbrojne oddziały przebiegały ustawicznie wsie i miasta, mordując i niszcząc braci, i wszędzie skargi, jęki, przekleństwa słychać było. W nocy świeciły łuny i pożary, w dzień — czerniały dymy, zgliszcza i popioły.

Dwie partye utworzyły się w narodzie: na czele jednej stanął Domarat Grzymała, starosta wielkopolski; na czele drugiej—Wincenty z Kempy, wojewoda poznański, herbu Nałęcz. Ci, co do pierwszej partyi należeli, zwali się Grzymalczykami i popierali córkę Ludwika, bo mu przyrzekli, że po jego śmierci oddadzą Maryi koronę; ci którym dowodził Wincenty z Kempy, Nałęczami się zwali i żądali Ziomowita, o Maryi słyszeć nie chcąc, gdyż była żoną Niemca... Wojna niszczyła kraj. Kmiecie i rzemieślnicy ciężko wzdychali, narzekała i uboższa szlachta; rolnictwo upadało — warsztaty stały bezczynne: — handel ustał, nikt życia i mienia pewnym nie był. Pola leżały odło-

giem, a gościńce, któremi kupcy wozili towary, chwastem zarosły... Przybył do Krakowa Zygmunt, margrabia Brandenburski, mąż Maryi, lecz Nałęczowie go wygnali, a niemieckie książątko mszcząc się ze zniewagę spustoszyło wiele wsi i grodów... Na czem te zatargi domowe się skończą nikt nie wiedział, a czas upływał, zmiany nie przynosząc. Ale, oto, przyszła wieść, że królowa Elżbieta nową propozycyę uszyniła: aby panowie młodszej córce Ludwika koronę oddali. Jadwiga— takie było jej imię — męża jeszcze nie miała, więc mogli pana wedle woli wybrać. Obiegały o niej wieści, że dobra, jak anioł, więc rada królowej przypadła do serca wszystkim, i przychylną odpowiedź wysłano Elżbiecie.

— Niechaj przybywa Jadwiga — rzekł naród.

I ustały waśnie, ucichła wojna domowa, pogasły pożary; Nałęczowie i Grzymalici broń pochowali... Panowie pośpieszyli zagranicę, by powitać przyszłą swą panią: Kraków, oraz inne miasta, które spodziewały się, że przez nie Jadwiga przejeżdżać będzie, przygotowały się na jej przyjęcie. Czyszczono ulice i domy, z gałęzi jodeł pleciono wieńce i strojono w nie kamienice główniejszych ulic. Wszędzie ruch, życie i wesele widać było, bo każdy rad, że wojna ucichła, oddychał swobodnie i czynnie się krzątał: kmiotek powrócił do pługa, spokojny, że nikt nie zniszczy

mu już plonu; rzemieślnik — do warsztatu; kupiec bez strachu wiózł znowu towary do miasta... Po wielu, wielu dniach łez i niepokoju błysnęła nadzieja lepszej doli.

Dzień za dniem mijał, a Jadwiga nie przybywała. Wprawdzie dochodziły wieści, że już w drodze, że poczet panów węgierskich ją odprowadza, że skarby niezmierne wiezie ze sobą, — lecz wieści te jakoś nie sprawdzały się i nadzieja poczęła słabnąć, zwątpienie wkradać się w serca, dawne niechęci się przypomniały. Już Nałęczowie i Grzymalici na nowo odgrażać sobie poczęli, gdy dnia pewnego wpadł zdyszany poseł, że królowa z już jedzie, że już na granicy, że najstarsi panowie na kolanach ją powitali, bo taka dobroć bije z jej czoła, takie męstwo i rozum patrzą z oczu. Więc znowu mieszkańcy Krakowa poczęli się krzątać koło ustrojenia domów; każdy też dobył ze skrzyni co miał ze strojów najparadniejszego: mężczyźni — żupany i kontusze atłasowe, czapki sobolowe; kobiety — jubki i kabaty jedwabne, aksamitne, perły, złoto, rubiny; zbytki w owe czasy już poczęły powoli się wkradać, — wprowadzili je kupcy cudzoziemscy. Co kto miał piękniejszego, droższego, to dobywał ze skrzyni; a każdy był pewien, że królowa Jadwiga szczęście swemu ludowi przyniesie, — że Polska pod jej rządami do sił powróci, — że spokój i bogactwo zakwitną w niej znowu.

Radosne echa dzwonów kościelnych oznajmiły ludowi krakowskiemu dzień przyjazdu wyczekiwanej; kto tylko zdrów był, biegł na ulicę, śpiesząc do bramy Floryańskiej, którą wjechać miała. Ulica cała, od bramy do zamku, zielem wysypaną była, wszystkie kamienice strojne w kobierce, w wianki i głowy ludzkie, — bo z każdego okna kilka wyglądało. Wreszcie rozległ się w powietrzu okrzyk:

— Jedzie! jedzie!

I tłum sam dobrowolnie uszykował się w dwa rzędy; mieszczanie i mieszczanki, kmiecie, panowie, razem stali obok siebie, nie lękając się ścisku, pragnąc jedynie ujrzeć tę, której sam przyjazd już tyle klęsk od kraju, tyle nieszczęść, jakie wojna za sobą pociąga, odwrócił. I ukazał się wreszcie orszak królewski...[1]) W samym środku, na białym koniu, który w rząd złocisty był przybrany, w płaszczu srebrnym, w białej lśniącej od pereł sukni, jechała młodziutka królowa Jadwiga; lat dwanaście liczyła ona wówczas. Czarne jej włosy wiatr rozwieszał po ramionach; biała, perłami szyta czapka skronie zasłaniała; koń jej dzwonił złotemi wędzidłami i zrywał się niespokojnie, lecz ona silną dłonią go trzymała i słodkim uśmiechem witała lud, który, stojąc po obu stronach ulicy, krzyczał:

---

[1]) Opis wjazdu z powieści Kraszewskiego wzięty.

— Niech żyje królowa Jadwiga!

Snać dobrą i odważną była... Dziatwa miejska, przecisnąwszy się przez tłum, słała jej drogę ostatniemi kwiatami, jakie ziemia wydała, boć to już był październik, a rzucając je pod nogi konia, wołała:

— Niech żyje królowa Jadwiga!

Tuż obok młodziutkiej córki Ludwika, na gniadym koniu, jechał z jednej strony siwy starzec w szkarłatnym kapeluszu, ze sznurami złotemi, w czerwonym płaszczu: był to Dymitr z Goraja. Z drugiej, w infule, w stroju uroczystym, biskup Bodzanta. Za nimi widać było dwanaście dziewic, również na koniach, wszystkie w szatach błękitnych, jedwabnych, srebrem bramowanych, w takichże czapkach; były to panny dworskie, które za Jadwigą z Węgier przyjechały.

Na samym przodzie orszaku królewskiego szli muzykańci, w obcisłe, szkarłatne suknie przyodziani; jedni na trąbach, drudzy na fletach grali, a dźwięki instrumentów mieszały się z głosami dzwonów. Za nimi — rycerstwo polskie, w zbrojach lśniących od złota i drogich kamieni; u hełmów rycerzy powiewały pióra, u kapic — chorągwie, a konie miały łby i ogony we wstęgi postrojone. W pośrodku rycerstwa widać było chorążego, który jadąc na rosłym rumaku, zdawał się być wyższym od wszystkich. Trzymał on w ręku rozpostarty proporzec, na którym świecił orzeł.

Za pancernymi szli łucznicy i tarczownicy, za królową panowie polscy i węgierscy w złocie i klejnotach, potem wozy ciężko ładowne, otoczone strażą, — służba — i znowu muzykanci. Po bokach zaś orszaku biegały błazny nadworne królowej, w pstrokatych sukniach, w czapkach dzwonkami obszytych i wykrzywiając się do ludu, kozły przewracając, dzwoniły czapkami, skakały, klaskały w ręce i krzyczały:

— Niech żyje królowa Jadwiga!

Cały ten orszak strojny, błyszczący od złota i drogich kamieni, głośny od krzyków ludzi, dźwięków, jakie instrumenty muzyczne wydawały, od rżenia koni i tententu ziemi, przesunął się zwolna przez ulice miasta i skierował wprost ku świątyni wawelskiej, gdzie już wszystko było przygotowane do koronacyi. Poważne dźwięki dzwonów towarzyszyły mu w tym pochodzie.

I weszła Jadwiga do katedry wawelskiej, w której tak niedawno król Łokietek odbył pierwszą tutaj koronacyę, uklękła przed arcybiskupem i otrzymała z rąk jego koronę, a w drobne, dziecinne swe dłonie ujęła ciężki szczerbiec Chrobrego... Kiedy w kościele zabrzmiał uroczysty hymn „Te Deum laudamus“, który oznajmił ludowi, że obrzęd koronacyjny już skończony, na dziedzińcu zamkowym obiły się o niebiosa tak radosne krzyki, jakie nigdy chyba jeszcze tu nie brzmiały. A gdy dwunastoletnia królowa, orszakiem panów

świeckich i duchownych otoczona, ukazała się w progu kruchty kościelnej i ludowi swemu kazała sypać złoto ze skrzyni, którą na jej rozkaz zdjęto z jednego z jej wozów, jakie już stały na dziedzińcu, lud cisnący się do niej z podziękowaniem, ledwo powstrzymać mogli strażnicy, bo każdy chciał pięknej królowej choć kraj płaszcza ucałować.

* * *

Jadwiga ukoronowaną została dnia piętnastego października, w sam dzień swych imienin, r. 1384-go. Całem sercem ukochała dobra ta królowa ziemię, której panią została, i lud, który koronę jej włożył na głowę; świadczyła to czynem od początku panowania aż do ostatniej chwili życia. Zaręczona od lat najmłodszych z Wilhelmem, księciem Rakuskim, kiedy panowie polscy powiedzieli jej, że dla dobra państwa trzeba, aby została żoną księcia Litwy, bo tym sposobem Litwa nie będzie więcej napadać i przyjmie chrzest, — Jadwiga zerwała z Wilhelmem i rękę oddała półdzikiemu jeszcze księciu Jagielle. Pamiętając, że ojciec jej nieprawnie zajął Halicz, gdy Jagiełło zajęty był na Litwie ustanowieniem władzy, co by go zastępowała, zebrała rycerstwo i sama na czele wojsk do dawnego księstwa Halickiego po-

śpieszyła. Lecz krew nie polała się, gdyż Węgrzy dobrowolnie z niego ustąpili. Nie koniec na tem: widząc upadek Akademii krakowskiej, by ją podźwignąć, własne klejnoty oddała, wspierała biednych, kmieci nie pozwalała uciskać.

Opowiadają, że gdy po ślubie objeżdżała kraj z mężem, by hołd od poddanych odebrać, przyszli do niej wieśniacy z płaczem i ze skargą, że ludzie królewscy zabrali im bydło. Jadwiga, wzruszona niodolą biednych kmieci, zwróciła się do męża z prośbą, by pokrzywdzonym sprawiedliwość wymierzył; spełnił to życzenie Jagiełło, a dowiedziawszy się, że rozkaz jego już wykonany, pośpieszył do żony.

— Wieśniacy już pocieszeni - rzekł z uśmiechem — powrócono im zabrane bydło.

- A któż im łzy powróci? - zapytała dobra królowa.

IV.

L i t w a.

Na wschodniej granicy Polski od czasów najdawniejszych siedział lud, zwany Litwinami. Obyczaje jego, obrzędy religijne, przypominały w wielu razach Słowian; w mowie ich spotykały się również wyrazy słowiańskie. Stało się to zapewne

skutkiem sąsiedztwa: mając ciągłe stosunki ze Słowianami, niejedno przejęli od nich. Lud ten dzielił się na trzy główne plemiona: Prusów, właściwych Litwinów i Łotyszów. Prusowie siedzieli między Niemnem i Wisłą, graniczyli na zachód z Pomorzanami, na północ z morzem Baltyckiem, na południe z Mazowszem, na które ustawicznie napadali; podbici przez Krzyżaków, sprowadzonych dla obrony Mazowsza przez ks. Konrada, brata Leszka Białego, a którzy niemieckiego byli pochodzenia, wynarodowieni przez nich, zniknęli zupełnie. Łotysze, napierani przez Słowian, przeszli do Kurlandyi i do Inflant, leżących nad brzegami morza Baltyckiego, na północo-wschód Prus i podbili mieszkający tam lud Kuronów, poczem sami obcym przybyszom — rycerzom niemieckim, zwanym Kawalerami mieczowymi — ulegli; właściwi Litwini na wschodniej granicy Prus siedzieli.

Kiedy do Krakowa przybyła królowa Jadwiga, właściwa Litwa była jeszcze pogańską. Najwyższą cześć odbierały tam trzy bogi: Perkun, bóg piorunów, na którego cześć Litwini utrzymywali wieczny ogień, zwany Zniczem. Ogień ten podniecały w świątyniach Perkuna dzień i noc młode dziewice, kapłanki, poświęciwszy swe życie na usługi boga; gdy która dozwoliła zagasnąć świętemu ogniowi, śmiercią była karaną. Kapłanki, a raczej wajdelotki, bo tak się zwały owe po-

bożne dziewice — zmieniały się kolejno w pełnieniu służby; gdy jedne odpoczywały, inne natenczas czuwały nad świętym ogniem. Drugim bogiem Litwy był Patrymon, na którego cześć Litwini po domach węże chowali. Węże te uważane były za święte: opiekowano się niemi troskliwie, karmiono mlekiem, — grzechem wielkim było zabicie węża. Trzeci bożek, Poklus, bóg srogi, mieszkał, według mniemania Litwinów, w piekle i stroił się w czaszki ludzkie. Prócz tych bogów, czcili jeszcze Litwini najwyższego, wszystkowiedzącego boga, którego zwali Dewe-Dewojte. W przyszłe życie wierzyli: według ich mniemania, tych, co cnotliwie postępowali na ziemi, czeka wiele dobrego w przyszłem życiu: piękne żony i dzieci, słodkie napoje, smaczne pokarmy, w lecie — białe suknie, w zimie — ciepłe kaftany i sen na miękkich łożach. Występnym wszystko odbiorą; występny żyć będzie samotnie, tęsknić, płakać i ręce łamać. Ciała umarłych palili oni, jak Słowianie, na stosach, żony szły często razem z mężami w płomienie. Litwini składali bogom ofiary krwawe ze zwierząt, lub z niewolników, pojmanych w czasie wojny, z chorych dzieci, żon i sług. Zabiwszy ofiarę, palili ją potem na ołtarzu, a czynność tę spełniali kapłani, którzy na Litwie wielkiej czci doznawali. Najstarszy znaczeniem z kapłanów zwał się Krywe-Krywejto, to jest kapłan kapłanów; mieszkał on w mieście Ro-

mowno, które w kraju pruskim leżało. Do niego w chwilach ważniejszych udawali się Litwini o radę; on przez usta wróżek, któremi, jak u Słowian, były młode dziewice lub stare kobiety, odpowiedzi dawał; wróżki takie, z płomieni, z dymu, z biegu wody, wróżby ciągnęły. Niżsi kapłani zwali się krywe, najniżsi wajdeloci. Oznaką godności kapłańskiej były kije długie, podobne do pastorałów; Krywe-Krywejto nosił kij potrójny, krywe podwójny, wajdeloci pojedynczy.

Rząd u Litwinów był zrazu patryarchalny. Ojcowie rodów, a raczej naczelnicy, zwali się kunigasami; znaczenie ich było takie same, jak żupanów czyli władyków słowiańskich. Pierwotny naród litewski składał się z następujących stanów: pierwszy stan tworzyli kapłani, drugi kunigasi, trzeci rycerze, czwarty kmiecie; piąty, najniższy, stanowili jeńcy wojenni. Rycerze byli najczęściej właścicielami ziemi, kmiecie ją dzierżawili, niewolnicy spełniali najrozmaitsze obowiązki u rycerzy, do których należeli, lub u kunigasów: z nich najczęściej składała się czeladź dworska, oni rzemiosłom się oddawali, często też uprawiali rolę pańską. W ważniejszych chwilach, gdy naprzykład wojna groziła, kunigasowie zbierali się na wiec, radzili nad obroną kraju, wodza sobie obierali, nakładali daniny.

Pierwotne dzieje tego ludu są niepewne. Podanie mówi, iż w miejscu, gdzie Prusowie grani-

czyli z Mazowszem, mieszkał lud Ulmingierów, że Mazurowie ustawicznie na niego napadali; więc zwołał ów naród wiec, aby radzić, co czynić w tak złej doli. A gdy pod cieniem dębu, zasiedli kunigasowie do rady, podniósł się z pomiędzy nich jeden, starzec już siwy, i rzekł:

„Pszczoły, póki królowej nie mają, póty nie mają pokoju; obierzcie króla, a pokój mieć będziecie“.

I posłuchał naród starca mądrego i okrzyknął go królem. Imię tego starca było Wejdawutis. Połączył on wszystkie plemiona litewskie w jedno państwo, nadał im prawa i religię, kazał czcić Perkuna, Patrymona, Poklusa, podzielił naród na stany, ustanowił kapłanów, i brata swego, Brutena, mianował arcykapłanem. W rozkosznej dolinie, pod dębem rozłożystym, Bruten postawił posągi bogów, miejsce to kazał ogrodzić i nazwał Romowno. W Romownie wszystkie plemiona litewskie składały bogom ofiary; tu arcykapłan rad im udzielał, tu karał winnych, cnotliwych nagradzał. Romowno było to miasto święte dla plemion litewskich.

Długo Bruten i Wejdawutis rządzili szczęśliwie plemieniem litewskim, lecz kiedy Bruten doczekał się lat 132-ch, a Wejdawutis 116, wtedy wezwali naród do Romowna. W pośrodku miasta świętego, w pobliżu bogów, był wzniesiony w dniu tym stos wielki; weszli nań obaj i oznaj-

mili z niego ludowi, że wolą jest bogów, aby złożyli już władzę; przeto Wejdawutis podzielił swe państwo pomiędzy 12-tu synów, z których najstarszy Litwo, dostał najgłówniejszą część owego państwa, właściwą Litwę. Poczem zakląwszy lud swój na imię bogów, aby spełniali nadane przez nich prawa i posłuszni byli nowym panom, Wejdawutis i Bruten kazali stos zapalić i zginęli w płomieniach. Po ich śmierci, Prusowie, nieposłuszni przyrzeczeniu uczynionemu, wrócili do rządów gminowładnych. Łotysze, jak już wiemy, przenieśli się nad morze Baltyckie. Nad Litwinami rządzili kolejno różni książęta, lecz dzieje ich niepewne; to tylko wiadomo, że staczali oni ustawiczne boje z sąsiednimi im Słowianami, niszczyli ich wioski i miasta, wiele ludu brali do niewoli, niejedną ziemię słowiańską zdobyli i do swego państwa wcielili; doznali też niejednokrotnych napadów Mongołów i niejednokrotnie walczyć musieli z Krzyżakami, którzy podbiwszy i wynarodowiwszy Prusów, pod pozorem, iż chcą Litwę nawrócić, najeżdżali ją zbrojno. Jeden z władców litewskich, książę Mendog, przyjął nawet chrzest, by zabezpieczyć naród od tych napadów, lecz pod koniec życia wrócił do bałwochwalstwa.

Pewniejsze dzieje Litwy rozpoczynają się dopiero w XIV wieku. Kiedy to u nas panował Władysław Łokietek, na Litwie objął wówczas

władzę książę Gedymin. Chcąc zapezpieczyć się od Krzyżaków, zawarł przyjaźń z Łokietkiem i córkę swą, Aldonę, dał za żonę jego synowi, Kazimierzowi, na wiano jej dając wszystkich jeńców, jakich Litwini podczas swych napadów na Polskę pobrali do niewoli. Piękna Litwinka, wjeżdżając do Krakowa, wprowadziła ze sobą tłum mężczyzn i niewiast, którzy łzami radości witali ojczystą ziemię, a niejeden w tłoku ludzi, co biegł na powitanie królowej, poznawał siostrę lub brata, dawno niewidzianego, żonę lub męża, syna lub córkę, i okrzyki błogosławieństwa wzbijały się nad głową Aldony.

Gedymin założył piękne miasto, Wilno. Podanie mówi, że książe ów, polując raz wśród gór, jakie otaczają Wilno, zabiwszy na jednej z nich tura, usnął pod drzewem znużony, i dziwny miał sen: widział ogromnego wilka, który był cały blachą okryty; wilk ów tak potężnym wył głosem, iż się zdawało, jakoby stu innych wilków miał w sobie... Zaniepokojony owym snem, książe powtórzył go arcykapłanowi, który poradził, aby na owej górze, gdzie wilka widział, gród wielki wybudował. Posłuchał rady kapłana Gedymin. kazał wymurować na szczycie góry zamek z wieżycą wyniosłą i osiadł w nim. Tak powstało Wilno, do którego Gedymin przeniósł z czasem stolicę z miasta Trok. Górę, na której stary zamek

stał niegdyś, a którego szczątki obecnie widzieć jeszcze można, zowią do dziś dnia górą Turzą.

Gedymin, umierając, podzielił swe państwo między siedmiu synów, zwierzchnią władzę nad wszystkimi oddając temu, który w Wilnie mieszkał. O Wilno swarzyli się ustawicznie bracia ze sobą, aż Olgierd najstarszy, wsparty przez Kiejstuta, zdobył je; odtąd Olgierd i Kiejstut wspólnie rządzili na Litwie. Po śmierci Olgierda Wilno dostało się synowi jego, Jagielle, który, posłyszawszy, że w Polsce rządzi piękna i młoda Jadwiga, wysłał do Krakowa swatów. Panowie mile przyjęli poselstwo: Jagiełło czynił tak świetne obietnice, iż nietylko sam chrzest przyjmie, lecz nawróci całą Litwę, połączy ją z państwem Jadwigi i postara się odebrać z rąk Krzyżaków ziemię Pomorską, za Łokietka jeszcze zabraną.

Jadwiga wzdragała się zrazu... Dziki Litwin przestraszał ją — była przytem oddawna zaręczoną z księciem Rakuskim, Wilhelmem, lecz ustępując naleganiom panów, zezwoliła wkońcu. Dnia 12-go lutego roku 1386-go przybył Jagiełło w orszaku panów polskich i litewskich do Krakowa, z nadzwyczajnym przepychem i okazałością, wśród huku trąb i bębnów, wiodąc ze sobą liczne wozy, naładowane kosztownemi darami dla przyszłej swej żony i dworzan.

W trzy dni po przyjeździe do Krakowa przyjął razem z braćmi swymi: Witoldem, Borysem

i Skirgiełłą, chrzest i otrzymał imię Władysława, a dnia 18-go lutego odbył się uroczysty obrzęd zaślubin księcia Litwy z królową Jadwigą, poczem razem z żoną, braćmi i arcybiskupem Bodzantą na Litwę pośpieszył.

W dzień popielcowy r. 1387-go, zgromadziwszy lud na polu pod Wilnem, Jagiełło, Jadwiga, arcybiskup Bodzanta, otoczeni panami litewskimi, przemówili do narodu, zachęcając go do przyjęcia chrztu. W słowach wymownych wystawił im arcybiskup, o ile wiara Chrystusa jest piękniejszą od pogańskiej; Jagiełło — korzyści jakie osiągnie Litwa, gdy państwem chrześcijańskiem zostanie, gdyż Krzyżacy nie będą jej więcej najeżdżać, ustaną przeto mordy i napady; wreszcie Jadwiga tak wymownie prosiła Litwinów, by oporu nie stawiali, iż ulegli w końcu i setki przyjęły tego dnia chrzest. A gdy na rozkaz Jagiełły runęły następnie świątynie pogańskie, obalone zostały posągi bóstw, gdy węże święte pozabijano, zalano Znicz wodą i żaden bóg Litwinów nie przyszedł pomścić tych zniewag, to wiara w ich potęgę się zachwiała i reszta narodu nawróciła się także.

W Wilnie, gdzie niegdyś stał ołtarz Perkuna, a na nim Znicz się palił, kazał Jagiełło wybudować piękny kościół. Stoi on do dziś dnia, a za wielkim ołtarzem pokazują jeszcze znajdujący się

Krzyżacy przynoszą miecz w ofierze.

tam wielki kamień, na którym podobno Znicz się palił.

Roku 1413-go spisany został w mieście Horodle akt połączenia dwóch narodów. Litwinom przyznano zupełnie takie same prawa, jakie mieli Polacy.

Wielkie księstwo Litewskie składało się: 1) *z właściwej Litwy* z miastami: Wilno, Troki i Grodno, 2) *ze Żmudzi*, 3) z ziemi *Połockiej*, *Witebskiej*, *Pińskiej*, 4) z *Wołynia* z miastami: Łuck, Żytomierz, Krzemieniec, 5) z *Podola* z miastem Kamieniec Podolski, 6) z *Ukrainy*, 7) z ziemi *kozaków Zaporożskich*.

Prócz Żmudzi i Litwy właściwej, inne części wchodziły jeszcze w skład państwa Jagiełły; były to ziemie zamieszkane przez ludność pochodzenia słowiańskiego, które dawniej do książąt ruskich należały, a potem podbite zostały przez Litwinów.

Litwa była krajem lesistym, lecz i urodzajnym; ziemia jej wydawała najrozmaitsze gatunki zboża; za to w kruszce nie była bygatą. Lasy jej dostarczały najrozmaitszych zwierząt dzikich, a rzeki i jeziora ryb różnorodnych. Z rzek największe są: Niemen, Dźwina i Dniepr.

V.

Pod Grunwaldem.[1])

Na rozległej równinie, otoczonej z jednej strony lasem, z drugiej zaroślami, za któremi widać snopkiem kryte dachy, bieleją płótna namiotów, jedne większe, drugie mniejsze... Na większych świecą złote gałki, a przy nich powiewają chorągwie: to namioty wodzów i króla. Poznasz po chorągwi, czyj namiot: na jednej — w polu czerwonem, srebrem wyszyty, świeci wielki orzeł ze skrzydłami rozpostartemi i dziobem otwartym, z koroną na głowie, to chorągiew królewska... Bo też ten cały obóz do króla należy. Władysław Jagiełło z rycerstwem polskiem, litewskiem i czeskiem, tu się rozłożył. Te dachy kryte snopkiem, to dachy wsi Grunwald, pod którą, znużone długim pochodem, rozbiło namioty rycerstwo i legło na spoczynek.

Jutro, pojutrze najdalej, mają się spotkać z Krzyżakami; nadto krzywd i zniewag wyrządzili oni Jagielle, by mógł dłużej cierpliwie to znosić. Ustawiczne ich napaści na Litwę, podburzanie przeciw niemu braci jego, szerzenie w państwie niezgód domowych, pamięć obietnicy, uczynionej

[1]) Z powieści Kraszewskiego „*Krzyżacy*“.

panom polskim, iż ziemie: Chełmińską, Dobrzyńską i Pomorską Krzyżakom odbierze, skłoniły wreszcie Jagiełłę do kroku stanowczego. Roku 1410-go przyszło do wojny.

Ranek świta dopiero na polu pod Grunwaldem; cisza jeszcze: śpią rycerze w namiotach, drzemią straże przed niemi, wiatr powiewa chorągwiami i szmer cichy rozlewa się w powietrzu... Tuż za namiotem króla widać drugi, wielki, paradny, przystrojony bogato złotemi gałkami. To namiot księcia Mazowieckiego: świadczy o tem chorągiew o czterech kwadratach białych i czerwonych; na czerwonych widać orły, na białych — ślepowrony. Przy trzecim namiocie powiewa chorągiew, na której niedźwiedź ukoronowany unosi w białem polu pannę: to namiot kasztelana Krystyna z Ostrowa. Za nim stoi namiot Jana z Tarnowa, wojewody krakowskiego; ten ma w herbie gwiazdę w polu niebieskiem, na łuku księżycowym wspartą i takiż znak świeci na jego chorągwi.

Biskupi przysłali także swoje oddziały; herby ich rodów, wyszyte na chorągwiach, świecą zdala: arcybiskup Gnieźnieński, Mikołaj Kurowski, ma w herbie krzyż w polu czerwonem, Wojciech Jastrzębiec, biskup Poznański, krzyż na podkowie w polu niebieskiem... Cała Litwa i Polska tu zbiegły: i Jagiełło, i Witold, a z nimi Zawisza Czarny, Skarbek, Kmita, Mikołaj Gniewosz z Da-

lewic i wielu, wielu jeszcze innych panów litewskich i polskich, a oprócz tych — Ślązacy, Czesi, Tatarzy, których namówił Witold. Moc ludu tu przyszła stoczyć bój z Niemcami i harde ich głowy raz upokorzyć.

Ranek dopiero świta — cisza panuje w obozie, tylko chorągwie szeleszczą i konie chrapią. Te zbudziły się już, więc gryzą trawę na błoniach — całe błonie ich pełne... Olbrzymi to obóz; wysokie wały bronią doń przystępu; na wałach stoją działa, za wałami wozy z bronią, z żywnością, z kamieniami; wszystko co potrzebne do obrony przed nieprzyjacielem i do atakowania go, znajduje się na nich.

Mgły ranne rozsunęły się powoli. Ukazały się błękity jasne, pogodne — wzbił się pod nie skowronek, i krążąc nad namiotami pieśń cichą zanucił; wśród namiotów poczęli ukazywać się ludzie: służba, rycerze. Jedni rozpalali ogniska, drudzy stawali przed namiotami i wpatrywali się wdal, przez lunety badając, czy wroga nie dojrzą. Lecz pusto było dokoła obozu... Tu i owdzie, daleko, za błoniami, wznosiły się wszakże w górę czarne słupy dymu, świadczące, że wróg tam był, że spalił domostwo, i ze zgliszczów pozostałych pną się teraz do nieba dymy, a z wiatrem lecą pewno przez pola jęki i skargi pokrzywdzonych na tych, którzy im mienie zniszczyli. Nareszcie cały prawie obóz wyległ przed namioty; rycerze

otoczyli ogniska, na których służba umieściła kotły, i posilają się wszyscy; starszyzna, w namiotach własnych, spożywa śniadanie. Gwar w obozie słychać, każdy chce być wróżbitą; przepowiadają, że dziś bój stoczyć przyjdzie; jedni z lewej, drudzy z prawej strony spodziewają się ujrzeć Krzyżaków. Każdy pewny, iż zna myśli króla i księcia Witolda, opowiada, w jakim porządku na wroga uderzą, — kto pierwszy do boju pójdzie.

Tymczasem w kaplicy polowej, która na pobliskiem wzgórzu się wznosiła, ozwał się dzwonek i przerwał te rozmowy. Ruszyło rycerstwo tłumnie, ukazał się król otoczony panami. Twarz jego wyrażała wielki smutek, cała postać przygnębienie; zwolna, nic nie mówiąc, skierował się ku kaplicy. Tuż przy nim szedł z jednej strony Witold, z drugiej Zyndram z Maszkowic, rycerz znakomity — obok niego młody sekretarz króla, Zbigniew Oleśnicki. Właśnie wejść mieli na wzgórze, na którem stała kaplica polowa, gdy książę Witold, dłonią oczy przysłoniwszy, rzekł:

— Ktoś pędzi ku nam.

Zatrzymali się wszyscy. Witold nie mylił się. W istocie, wdali widać było pędzącego na koniu rycerza, lecz pył, jaki wzbijał się z pod kopyt końskich, otoczył go tak grubym obłokiem, iż trudno było poznać kto on. Wyłonił się jednak po chwili z tej kurzawy, dopadł do wzgórza i konia na miejscu osadził.

— Hanek z Chełma — rzekł Witold do Jagiełły — nowiny nam niesie, wysłałem po nie.

Jagiełło nie ruszał się z miejsca; tymczasem Hanek, zeskoczywszy z konia, oddał go jednemu ze sług, który doń przybiegł, sam zaś na wzgórze z pokłonem do króla pośpieszył.

— Miłościwy panie — rzekł — nieprzyjaciel idzie, mistrz Ulryk Jungingen stanął obozem we wsi Grunwald.

Smutna twarz Jagiełły bardziej jeszcze sposępniała.

— W jakiej sile? — zapytał.

— Tego nie wiem; skorom ujrzał pierwszą chorągiew, z wieścią tą przybiegłem natychmiast.

— I dobrześ zrobił — odparł król i zwrócił się do Witolda.

— Poczyń przygotowania do bitwy — dodał — ja wezwę pomocy Boga.

To mówiąc, postąpił na wzgórze, a Witold i część rycerstwa cofnęli się — garść za królem podążyła. Nim doszli do kaplicy, zabiegł im wszakże drogę drugi posłaniec, rycerz, wysłany również na zwiady, i oznajmił, że Krzyżacy ciągną i ciągną bezustannie.

— Jak mrowia ich — mówił.

Na twarzach wszystkich odbił się niepokój.

— Moc Boga jest wielka — odezwał się Jagiełło, widząc pomieszanie rycerzy.

Za drugim nadbiegł i trzeci; ten oznajmił, że Krzyżacy gotują się już do spotkania, że się ustawiają w szyku bojowym. Nie zważając na te wieści, król poszedł do kaplicy, gdzie księża czekali nań ze mszą; gdy się ukazał, ksiądz Bartłomiej, kapelan nadworny, zbliżył się natychmiast z kielichem do ołtarza. Ukląkł Jagiełło, za nim rycerze, i każdy w pobożnej utonął modlitwie; najgoręcej ze wszystkich modlił się Jagiełło. Z niechęcią szedł on na tę wojnę: nie lubił krwi rozlewać, a powtóre, niepokoiła go myśl, że walczyć będzie z tymi, którzy krzyż na piersiach noszą, którzy za wiarę przysięgli ginąć. Lecz czyż mógł inaczej postąpić? wszakże, biorąc na czoło koronę, przysiągł narodowi, iż bronić go będzie od napaści wroga, a czemże byli Krzyżacy, jak nie wrogami?

Msza się skończyła... Król jeszcze klęczał i modlił się, radby był odwlec jak najdalej chwilę rozpoczęcia boju. Wtem przysunął się do niego jeden z rycerzy i szepnął:

— Miłościwy panie, książę Witold rzec kazał, iż ustawił już rycerstwo, że wszystko gotowe do pochodu, Was tylko czeka. Krzyżacy idą podobno ku nam.

Król, jakby nie słyszał, nie ruszył się z miejsca, w kaplicy cisza panowała. Jagiełło szeptał pacierze, rycerze jego niespokojnie ku drzwiom spoglądali. Po chwili znowuż czyjeś kroki się

rozległy, a z nimi dźwięk szabli, to książę Witold wszedł. Twarz jego była gniewna... żywym krokiem przystąpił do króla.

— Bracie, dosyć modłów, teraz czynu trzeba — rzekł.

Te słowa skłoniły Jagiełłę do przerwania pacierzy; powstał i razem z Witoldem do obozu podążył, a za nim ci, co z królem pozostali w kaplicy.

Rycerstwo już było przygotowane do pochodu; podzielone na oddziały, otoczone wozami i machinami, czekało tylko na króla. Na prawem skrzydle widać było Litwinów, wśród nich księcia Zygmunta Korybuta, obok Czechów, z dzielnym ich wodzem Żyżką, dalej Tatarów. Na lewem stały chorągwie polskie, więc: książęta Mazowieccy ze swemi oddziałami, Zawisza Czarny, Skarbek, oraz inni. Pośpieszywszy do swego namiotu, król przywdział zbroję, hełm, i właśnie chciał konia dosiąść, gdy mu dano znać, że dwóch heroldów, od mistrza przysłanych, chce z nim mówić. Jagiełło kazał ich wprowadzić do namiotu; sam siadł w krześle, otoczyli go panowie. Niebawem rozsunęła się opona, kryjąca wnijście królewskiego namiotu, i dwóch Krzyżaków weszło: obaj trzymali gołe miecze w ręku, przy boku mieli drugie w pochwach. Stanąwszy w progu namiotu, skłonili się pokornie, lecz twarze ich pokory nie wyrażały: drwiący uśmiech siedział na ich

ustach, na czołach pycha i pogarda. Zbliżyli się do Jagiełły, powtórny ukłon mu złożyli, poczem jeden rzekł:

— Królu, oto mistrz Ulryk przysyła tobie i bratu twemu przez nas, heroldów, dwa miecze, na znak mającej się rozpocząć bitwy, i rzec ci kazał: Nie chowaj się między gaje i lasy, działaj śmielej. Jeśli masz za małe pole do walki, Mistrz ci swego ustąpi, byleś bitwy nie zwlekał — możesz wyznaczyć pobojowisko.

Twarz Jagiełły wyraziła gniew, słowami go jednak nie zdradził, sięgnął po dar.

— Mam ja dosyć mieczów w mojem wojsku — odparł z udanym spokojem — ale i te zdadzą się na obronę naszą; ufam, że Bóg mnie i ludowi memu pomoże.

Posłowie skłonili się w milczeniu i opuścili namiot królewski. Jagiełło powstał, przywdział hełm, kazał podać sobie konia. Wkrótce stał na czele rycerstwa; podano mu chorągiew ze srebrnym orłem, którą ujął w dłonie i podniósłszy wzrok, pełen łez, w niebo, rzekł:

— „Ty, Boże najdobrotliwszy, co przenikasz wszystkie tajemnice serca, widzisz w Twej wysokości, że wojnę, do której zostałem zmuszony, rozpocząłem; w Twojej, Chrystusie, zaufany pomocy rozwijam tę chorągiew, w Twojem imieniu — na obronę sprawiedliwości i narodu moje-

go. Boże dobrotliwy! pomóż Twą opieką mnie i ludowi memu!“

Król skończył modlitwę, oddał chorągiew. Zagrały trąby bojowe, pieśń „Boga-Rodzico Dziewico, Bogiem sławiona Maryjo“, szerokiem echem rozległa się po błoniu, i ruszyły zbrojne hufce naprzeciw wroga.

Jednocześnie i Krzyżacy dali znak do walki i naprzeciw wójsk Jagiełły postąpili. Z dwóch stron posuwały się ku sobie dwie masy czarne, olbrzymie. a która przewagę weźmie — trudno było zgadnąć. Krzyżacy tak pewni byli zwycięstwa, iż przygotowali niezmierną liczbę łańcuchów, aby mieć czem wiązać wziętych do niewoli. Przodem jechał mistrz Ulryk, obok niego dwóch rycerzy z chorągwiami; na jednej widać było wyszyty krzyż czarny, na drugiej — orła czarnego. Krzyżaków wspierali Niemcy, Szwajcarzy, różnych narodów najemnicy: mogli urągać Jagielle i pewni być zwycięstwa. W dolinie pod Grunwaldem, gdzie sześć dębów rosło, spotkały się wojska; zawrzał bój, bój krwawy, zacięty, lecz trwał nie dłużej nad godzinę.

Przekonali się Krzyżacy, że nie zawsze ten zwycięża, kto pewien zwycięstwa: pole pod Grunwaldem zasłane było przeważnie Krzyżakami, moc ich dostała się też do niewoli; garść tylko uszła z pobojowiska i wróciła do Malborga, by braciom, pozostałym w zakonie, oznajmić o stra-

sznej porażce... Zmęczony bojem król Jagiełło stał na wzgórzu koło kaplicy, by odpocząć i orzeźwić się chłodem wieczoru. Zachodzące słońce krwawym blaskiem oblewało pole, trupami zasłane. Król ze smutkiem patrzał na tyle zmarnowanej młodzieży, gdy wtem przystąpił do niego jeden z rycerzy i podając mu kosztowny szkaplerz, zawierający jakieś relikwie, rzekł:

— Oto sługa mój, Jurga, zdjął oną świętość z trupa krzyżackiego i przyniósł mi ją. Po znakach zda mi się, że szkaplerz Wielkiego Mistrza jest.

Król, obejrzawszy szkaplerz, wzniósł wzrok w niebo.

— Tak karzesz pysznych, Panie — rzekł głosem uroczystym.

Szkaplerz ów był w istocie własnością mistrza Ulryka, który leżał między poległymi... Nigdy jeszcze Krzyżacy nie doznali takiej porażki, jak pod Grunwaldem: cały ich obóz dostał się w ręce Jagiełły. Zdobyte na nieprzyjacielu chorągwie, wróciwszy do Krakowa, w katedrze wawelskiej król zawiesić kazał, a przysłane mu przez Mistrza miecze w skarbcu krakowskim złożył.

VI.

Pod Warną.

Uroczyście biją dzwony kościołów miasta Budy, stolicy Węgier, a z bram jego toczy się, jak fala wezbrana, tłum rycerstwa, od stóp do głów w żelazo okutego... Snać na bój idą, lecz na jaki?.. Na piersiach rycerzy świecą krzyże złote — w imię Krzyża będą zatem walczyć... Czy z poganami? wszakże Prusy i Litwa już nawrócone...

Na czele rycerstwa dwóch wodzów jedzie: jeden młodziutki, dziecko prawie jeszcze, lat szesnaście liczy najwyżej — drugi mąż poważny. Starszy, to Hunijad, dzielny wódz węgierski; młodszy, to syn Władysława Jagiełły, Władysław III-ci, dziedzic jego korony, a zarazem król Węgier. Lat siedm miał zaledwie, kiedy objął osierocony tron ojcowski; lat piętnaście dopiero, kiedy Węgrzy uprosili go, aby objął nad nimi rządy.

Obok króla, między nim a Hunijadem, widać z jednej strony kardynała w płaszczu purpurowym, z drugiej — starca w skromnej, duchownej sukni; ten ostatni, to Grzegórz z Sanoka, dawny nauczyciel królewicza Władysława, mąż światły, znany w kraju z nauki. Towarzyszą mu obaj — gdyż pierwszy, kardynał Cezarini, namówił króla do tej wyprawy, a drugi, lękając się o wychowan-

ka, pojechał z nim razem; szablą wprawdzie władać nie umie, lecz liczy na to, że rada jego może się przydać młodemu królowi. Wróg, z którym walczyć ma Władysław, to wróg obcy Polakom, po raz pierwszy mają go ujrzeć: to wróg Krzyża, straszniejszy stokroć od Niemców i Tatarów, bo dzikszy od pierwszych, a silniejszy od drugich.

W wieku XIV nowy nieprzyjaciel przybył w Europie ludom słowiańskim. Od najdawniejszych czasów gnębili ich na zachodzie Niemcy, podbijali, wynaradawiali, ich ziemie przywłaszczali sobie; potem od wschodu pojawili się Tatarzy, paląc ich wsie i miasta, haracz nakładali. Tysiące ludu słowiańskiego zginęło od miecza, tysiące u nich w niewoli zmarniało, a teraz w wieku XIV, zjawili się na południu Europy — Turcy... Przyszli oni z Azyi, gdzie mnóstwo ludów podbili; nie byli poganami, wierzyli bowiem w jednego Boga, niewidzialnego Stwórcę wszech rzeczy. Lecz Chrystusa nauki nie uznawali: czcili własnego proroka, który przepisał im prawa religijne. Zwał się on Mahomet. Od jego imienia turków nazywano *mahometanami*, a ich religię *mahometańską*. Godłem tej wiary był półksiężyc: jak chrześcijanie krzyż na swoich świątyniach mieścili, tak Turcy półksiężyc.

Władca ich zwał się *Sułtan*; był on panem mienia i życia swoich poddanych. Kiedy w Polsce, na Litwie i Węgrzech panował Władysław III,

sułtanem Turków był wówczas Amurat II-gi. Postanowił on podbić całą Europę, obalić wszędzie świątynie chrześcijańskie, a na ich miejsce postawić mahometańskie meczety. Zadrżeli Serbowie, oraz inne ludy słowiańskie, mieszkające na południu Europy, bo nieraz już napaści tych strasznych wrogów doznali; od sąsiednich im Bułgarów, których Turcy podbili, wiedzieli, jak srogi to pan. Nietylko Słowianom, lecz innym państwom Europy groziło takie niebezpieczeństwo; Węgrzy również drżeli o siebie. Słysząc, że Amurat gromadzi wojska, Władysław III zwołał zjazd do Budy, a gdy zebrali się panowie, młody król powstawszy rzekł:

— Wróg Krzyża nam grozi — i nietylko nam, lecz wszystkim ludom Europy. Już bracia nasi na południu przez niego zgnębieni, już krzyże z ich świątyń strącone, a półksiężyc na nich świeci. Stańmy się murem, o który rozbiją się pociski niewiernych; stańmy się tarczą, która osłoni Europę od mahometan. Uzbrójmy się, uprzedźmy nieprzyjaciela; zanim on nas napadnie, my idźmy do niego; wygnajmy go z ziemi Słowian, nieprawnie przezeń zajętej: wymierzmy sprawiedliwość pokrzywdzonym!

Mowę tę Węgrzy przyjęli z zapałem: wyprawa uchwaloną została. Panowie polscy i litewscy, posłyszawszy o niej, chętnie się przyłączyli. Stanął Władysław III na czele zbrojnych hufców,

i przy uroczystem biciu dzwonów ruszyły na wyprawę pełne chęci do boju szyki. Wśród rycerstwa, co za królem pośpiesza, widać Zawiszów, Tarnowskich, widać Piotra herbu Nałęcz, Mikołaja z Chrząstowa, Michała Lasockiego, widać wielu innych: wszyscy oni — to synowie tych, co pod Grunwaldem walczyli; wszyscy krzyż mają na piersiach, w oczach męstwo i zapał.

Idąc śpiesznym krokiem wojska chrześcijańskie dotarły niebawem do Dunaju, przepłynęły rzekę i wkroczywszy do Bułgaryi obległy miasto Sofiję, które Turcy byli opanowali. Po długim szturmie miasto się poddało, a młodziuchny król z wojskiem zwycięskiem w głąb kraju, zajętego przez Turków, się posunął. Ciężki to był pochód. Trzeba było iść drogami całkiem nieznanemi, wspinać się po górach niedostępnych, śliskich od błot jesiennych, potem od lodów, co je pokryły; walczyć z mrozem i burzami śniegowemi, z głodem i wrogiem, ukrytym w wąwozach, w górach i jaskiniach, z których Turcy z nienacka wypadali, nie mając odwagi otwartego boju stoczyć. Lecz przejęte myślą, iż w imię Krzyża walczy, rycerstwo odważnie znosiło te przykrości i biło się dzielnie. Najwięcej bodźca dodawał im do wytrwania przykład króla, który pierwszy zawsze po nocy konia dosiadał, ostatni kładł się na spoczynek; pierwszy na wroga się rzucał, ostatni o posiłek się upominał, a gdy mu podawali jedze-

nie, zawsze pytał pierwej, nim je przyjął, „czy żołnierze już jedli“. Nareszcie spotkali wroga... Pobici zupełnie, pierzchli Turcy w największym nieładzie, rzucając chorągwie, broń, działa, rannych; wszystko to dostało się w ręce rycerzy chrześcijańskich.

Uwolniwszy Bułgaryę z pod przemocy mahometan, król pośpieszył do Węgier i wkroczył w tryumfie do Budy, witany okrzykami radości przez jej mieszkańców. Sława tej wyprawy rozeszła się daleko: papież Eugeniusz IV-ty, panujący wówczas w Europie, królowie Francyi, Anglii, Hiszpanii, przysłali do Węgier swych posłów, winszując Władysławowi tak świetnego zwycięstwa. Ludy słowiańskie, na południu mieszkające, zasyłały do nieba błogosławieństwa za królem-zbawcą, a Turcy pokornie o pokój prosili. Stu posłów z bogatemi darami wysłał Sułtan do Węgier, obiecując oddać zajęte przez siebie miasta serbskie, wrócić jeńców wojennych i przez lat dziesięć nie czynić napaści na kraje chrześcijańskie, byle Władysław przyrzekł mu zato pokój.

Na taki układ korzystny zgodził się młody król. Warunki pokoju zostały ułożone; podpisał je Władysław III, poczem przysiągł na świętą Ewangelię, iż przez lat dziesięć zaczepiać Turków nie będzie, a Turcy tę samą przysięgę złożyli na Koran, świętą ich księgę, gdzie spisane są zasady wiary mahometańskiej.

*

* *

Pod miastem Warną rozciąga się szeroka równina, która trójkąt tworzy. Z jednej strony, od południa, oblewa ją zatoka i rzeka Parowa, od wschodu górzyste brzegi morza Czarnego jej strzegą; na zachodzie utrudniają do niej przystęp jeziora i bagna, szeroko tam rozlane, od północy łańcuch pagórków służy ku obronie. Było to roku 1444-go. Na owej równinie widać dwa wojska stojące naprzeciw siebie: jedno olbrzymie... Półksiężyce, jakie świecą na namiotach za niem rozbitych, jakie stroją szczyty chorągwi, turbany różnokolorowe, kaftany złotem szyte, krzywe szable, świadczą kto oni... A moc ich tak wielka, jakby całą Europę podbić przyszli. Naprzeciw nich, jakby na urągowisko, garstka ludzi. Krzyże na piersiach świadczą, że to chrześcijanie. Lecz skądże Turcy gotują się z nimi do boju... wszakże nie dawniej, niż rok temu przysięgli, iż przez lat dziesięć bojów toczyć nie będą, złamali więc przysięgę? Niestety, nie oni dopuścili się tego...

Zwyczajem, który oddawna przyjęli, ustawili się w półksiężyc; wpośrodku placu, który okrążają, widać zatknięty na wielkiej żerdzi jakiś papier... Cóż on oznacza? To umowa zawarta roku 1443-go z Władysławem III-cim — akt pokoju dziesięcioletniego, na który sułtan i król przysię-

gli, a który król Władysław zerwał... Często powodzenie na złe ludziom wychodzi: zwycięzca Turków, oswobodziciel Bułgarów, otrzymawszy tyle pochwał, tyle podziękowań od pierwszych monarchów Europy, Władysław uwierzył, iż jest najpotężniejszym ze wszystkich, iż nikt nie byłby w stanie go pokonać. Pożałował, że na tak długo zawarł pokój z Turkami, gdyż mu się zdało, że gdyby był dłużej walczył z nimi, byłby ich całkiem wygnał z Europy; wielu innych toż samo myślało i poczęto namawiać króla, by zerwał umowę. Grecy, Włosi i inne narody obiecywały, że jeśli król podejmie wyprawę na Turków, oni połączą się z nim, dostawią mu zbrojną pomoc. I król uwierzył obietnicom — uległ namowom.

Próżno stary nauczyciel, Grzegorz z Sanoka, przypominał mu przysięgę, uczynioną Turkom. Odpowiedział, że przysięga, uczyniona niewiernemu, nie obowiązuje dotrzymania jej; próżno doświadczony mąż przedstawiał potęgę Turków, wątpliwość, czy Grecy i Włosi przyjdą z pomocą. Na to wołał:

— Mistrzu, nie osłabiaj mi ducha, nie odwódź mnie od świętego dzieła.

Nie było sposobu zatrzymania go. Młodzież węgierska i polska podzielała jego ochotę; zebrały się zbrojne hufce i Władysław wypowiedział wojnę Turcyi. Zacny Grzegoż z Sanoka, choć miał przekonanie, iż z tej wyprawy nikt żywym lub

wolnym nie wyjdzie, wybrał się wszakże; bo tego, którego kochał, w tak trudnej chwili odstąpić nie chciał.

Po długiej, pełnej trudów drodze, stanęły chrześcijańskie hufce pod Warną, lecz prócz Węgrów i Polaków nie stawił się nikt więcej. Zasępiło się czoło Władysława, zasępiło bardziej jeszcze, gdy śród wąwozów, przecinających pagórki, jakie stanowiły granicę równiny, wysunęli się niebawem Turcy w liczbie tak wielkiej, iż dziesięć razy byli liczniejsi od jego wojsk, i zatknęli na żerdzi podpisaną przez niego umowę pokoju. Zachwiała się wiara w królu, cofać się byłoby wszakże hańbą; raz zacząwszy musiał iść dalej. Turcy uszykowali się do boju — i oni toż samo uczynili. Na lewem skrzydle stanęli Węgrzy, na ich czele wódz ich Hunijad; w pośrodku król ze swym orszakiem w lśniącej od złota i drogich kamieni zbroi. Na prawem skrzydle Wołosi, których wezwał pomocy Władysław: lud sąsiedni Polsce, z wódzem węgierskim na czele.

W powietrzu głucha cisza panowała... Nietylko na ziemi, lecz i na niebie groziła burza; czarne chmury gromadziły się na niebie, które stawało się coraz posępniejsze, jakby słońce nie chciało przyświecać temu, co się stanie.

Wtem zerwał się wicher szalony, miotać począł chorągwiami rycerzy, i wyrwawszy królewską z rąk tego, który ją trzymał, złamał ją. Wznieciło

to popłoch w wojsku chrześcijan; sądzili, iż Bóg przemawia do nich tym niemym znakiem, że grozi im karą za złamaną przysięgę. Spostrzegłszy popłoch, Turcy dali hasło do boju i uderzyli jednocześnie na oba skrzydła, prawe i lewe. Bitwa się rozpoczęła, lecz ostygł już zapał w sercach Węgrów i Polaków. Złe wróżby, jakie ze złamania chorągwi ciągnęli, zawód, jaki im uczynili Grecy i Włosi, ostudził ochotę do boju i odjął odwagę, lewe i prawe skrzydło za pierwszem natarciem Turków poczęło się mieszać i cofać. Spostrzegłszy to król ścisnął konia ostrogą, dobył szabli, skinął na swój hufiec i na wroga się rzucił.

— Stój! nie chodź! — krzyknął za nim stary nauczyciel!...

Ale on nie posłuchał wołania.

Turcy, widząc pędzącego króla, czy ze strachu, czy umyślnie rozstąpili się przed nim. Siejąc śmierć na prawo i lewo szablą, którą przerzucał wciąż z jednej na drugą stronę, Władysław pędził tak szybko, iż garstka tylko utrzymać się mogła tuż za nim; reszta w tyle została, daleko za nimi. Naraz Turcy wydali okrzyk, jakim zwykle bitwę rozpoczynali, i jakim radość lub rozpacz głosili.

— Ałłah! Ałłah! — wzbiło się pod chmurami zasnute niebo, i naraz Turcy rzucili się naprzód, otaczając wokół tych, co w sam środek ich szyków się zapędzili.

Spostrzegł Władysław, iż ostatnia chwila dlań nadchodzi, że ma do wyboru niewolę lub śmierć. I tę wybrał... Obejrzawszy się na swoich:

— Gińmy! — zawołał — gińmy za wiarę naszą, za wolność ludów bratnich!

To powiedziawszy, podniósł szablę do góry, by nią uderzyć najbliżej stojącego Turka, lecz w tej samej chwili koń jego, ugodzony przez podstępnego wroga, zachwiał się i padł na ziemię. Chciał uwolnić się od niego król, lecz, nim zdołał to uczynić, trzech Turków doń przyskoczyło i rozsiekało go szablami...

W obozie chrześcijan rozległ się krzyk grozy i jęk żalu: na wysokiej żerdzi, gdzie akt pokoju był przywiązany, ujrzało rycerstwo głowę ukochanego króla. Rozsiekawszy Władysława, Turcy ucięli mu głowę i tam ją umieścili. Widok ten odjął ducha najodważniejszym; wszyscy pierzchać w nieładzie poczęli. Próżno wołał za uciekającymi Hunijad, że nie za króla, lecz za wiarę walczyć przyszli — pędzili ku rzece, dopadali łodzi i przeprawiali się na drugi brzeg. Może odgłos grzmotów, które rozlegać się poczęły, stłumił słowa Hunijada, może go nie słyszeli...

Tak skończył Władysław III-ci. Otrzymał on przydomek Warneńczyka od miejsca, na którem poległ. Był to król dzielny, odważny i zacny. Długo poddani w śmierć jego uwierzyć nie chcieli.

Klęskę pod Warną nietylko Polacy i Węgrzy opłakiwali, lecz także i ludy słowiańskie, na południu Europy mieszkające. Ośmieleni zwycięstwem odniesionem, Turcy wojnę im wypowiedzieli, podbili większą część państw i długo, długo w ciężkiej niewoli trzymali. Lecz miłość szczera zwycięża największe przeszkody. Miłością taką ogrzewani Słowianie nie upadli na duchu i nie sturczeli: przetrwali lata niewoli i doczekali się dni swobody.

VII.

Po wielu latach.

Pomimo zwycięstwa, jakie Jagiełło odniósł nad Krzyżakami w r. 1410-tym, ziemie, Pomorska i Pruska wciąż jeszcze w ich ręku były. Pokonani przez króla Władysława Łokietka pod Płowcami, przez Jagiełłę pod Grunwaldem, i potem jeszcze kilkakrotnie, Krzyżacy upokarzali się za każdym razem, prosili o pokój, przyrzekając solennie oddać Pomorze i zapłacić koszta wojenne, potem pod różnemi pozorami odwlekali z dnia na dzień wykonanie obietnicy. A gdy królowie polscy, wierząc obietnicom, cofali swe wojska i czekali cierpliwie spełnienia przyrzeczenia, oni tymczasem gromadzili tajemnie siły, i gdy znów pewni siebie

byli, hardo stawili czoła Koronie i Litwie. Oświadczali, że nie oddadzą zabranej ziemi i władali dalej Pomorzem, czerpiąc skarby z tej ziemi; uciskali ludność słowiańską, wywłaszczając ją z posiadłości, a coraz więcej Niemców do Prus i do Pomorza sprowadzali. Gnębieni w nieludzki sposób, Pomorzanie i Prusacy postanowili wyrwać się raz z pod rządów mistrzów krzyżackich i zawiązali stowarzyszenie pomocy, zwane związkiem jaszczurki. Kto należał do tego związku, ten za godło nosił jaszczurkę; ten przyrzekał, w razie potrzeby, poświęcić swój majątek i życie dla dobra kraju i braci. Na czele towarzystwa stało czterech członków, których inni słuchać byli powinni. Stowarzyszeni schodzili się często, radząc nad dolą Pomorza i Prus, aż w końcu postanowili wysłać poselstwo do cesarza Niemiec, by mu przedstawić swój ucisk i prosić, aby nie dozwolił Krzyżakom dopuszczać się takich nadużyć. Wybrawszy najwymowniejszych z pomiędzy siebie, opatrzywszy pieniędzmi i dodawszy dla bezpieczeństwa zbrojny oddział, stowarzyszeni wysłali ich do Wiednia, polecając, by dobrze sprawili się z posłannictwa swojego.

I ruszyli w drogę Pomorzanie, pewni będąc, że się im powiedzie. Wszak cesarz Niemiec był jednym z najpotężniejszych monarchów: nie wątpili, iż Krzyżacy zlękną się jego groźby. Z wesołą więc myślą mijali drogi niewygodne, góry

i lasy, dzielące ich od stolicy Niemiec. Już docierali do celu podróży, gdy naraz, wieczora jednego, osaczeni zostali w lesie przez zbrojny oddział, który, jak się potem okazało, nasłany był przez Krzyżaków. Napastnicy o wiele byli liczniejsi od napadniętych, więc rozbrojono ich łatwo: jednych pomordowali, drugich skrępowali i do niewoli uprowadzili. Z drużyny, wysłanej z Pomorza, uszedł wszakże niejaki Baisen. Ten, okryty cieniem nocy, umknął zwycięzcom, wydobył się szczęśliwie z lasu, dostał się do Wiednia i skargę u stóp cesarskiego tronu złożył. Cesarz wysłuchał go w milczeniu, poczem rzekł:

— Pierwej od ciebie byli tu posłowie mistrza: buntownikami Kościoła jesteście, chcecie ujść z pod władzy Zakonu, by wrócić do pogaństwa, ale ja na to nie zezwolę. Dam pomoc mistrzowi by was upokorzył...

I nie chciał dłużej słuchać posła uciemiężonej ziemi. Wrócił Baisen smutny do kraju, przynosząc niepomyślną odpowiedź braciom.

— Zapomnieliśmy, niestety — rzekł, zdawszy sprawę z poselstwa — że cesarz Niemiec Słowianom ręki pomocy nie poda, ale raczej tym, co pragną ich zgnębić.

I ucisk trwał dalej, lecz związek jaszczurczy działać nie przestał.

Było to r. 1454-go, dnia 18-go lutego. W zamku krakowskim odbywały się gody weselne króla

Kazimierza Jagiellończyka, który po smierci brata swego, Władysława, co zginął pod Warną, koronę Polski i Litwy odziedziczył. Już ślub się odbył, zabawiano się więc na wielkiej sali zamkowej rozmową, zamyślając o tańcach. Na złocistym tronie, pod baldachimem szkarłatnym, zasiadł król Kazimierz, a obok niego świeżo poślubiona żona jego, Elżbieta, córka już nieżyjącego cesarza Niemiec, Alberta. Po stronie króla skupili się książęta i panowie niemieccy. Między nimi widać kilku rycerzy krzyżackich, których zaproszony na tę uroczystość mistrz, sam jechać nie mogąc, wysłał w swem zastępstwie; za nimi panowie polscy i litewscy. Królowę grono niewiast i dziewic otoczyło... Gwarno, wesoło w sali... Właśnie ukazali się muzykańci i próbować swych instrumentów zaczęli, cienkie głosy fletów i grube trąb tony się ozwały... gdy mistrz dworu dał znać królowi, iż poselstwo, z Pomorza wysłane, o posłuchanie prosi. Król kazał wprowadzić natychmiast nowych gości. Weszli do sali wysłańcy bratniej ziemi i smutni przed tronem się zatrzymali.

— „Zgnębieni i pokorni, stajemy przed tobą, potężny królu szczęśliwego ludu“ — przemówił Baisen, jeden z posłów. — „Uciskana od stu przeszło lat ziemia Pomorska wzywa twego ratunku i przebaczenia prosi za tylokrotne wiarołomstwa, jakich się dopuszczała. Winna ona bardzo, lecz żałującym Bóg najcięższe grzechy przebacza,

w tej więc nadziei wzywamy twego ramienia, Kazimierzu, synu Jagiełły... Winna ona bardzo, lecz jak grzesznica, spowiada się w tej chwili u stóp tronu twego i skargę na ciemiężycieli zanosi. Zdobył ją niegdyś wielki król Polan, Bolesław Chrobry, dał jej światło wiary, z ludem swoim połączył i jak z ludem własnym się obchodził. Ona przysięgła mu wierność, lecz zaraz po jego śmierci zerwała węzły łączące ją z Polanami, przysięgę złamała... Zdobył ją powtórnie prawnuk Chrobrego i wiarę utwierdził w najodleglejszych jej zakątkach — lecz ona rychło znowu się buntuje... Co ją nakłonią do posłuszeństwa, odrywa się napowrót. Aż król Łokietek wezwał przeciw nieposłusznym pomocy Krzyżaków, rycerzy Krzyża, których przodkowie jego po to w granice swego państwa sprowadzili, by granic jego bronili od pogan.“ Tu Baisen gości krzyżackich, znajdujących się w sali, wskazał wzrokiem. — „Lecz owi rycerze krzyża, — ciągnął dalej — pokazali, czem są: pobili Pomorzan, upokorzyli ich i ziemię im zabrali. Pokonani przez Łokietka, który im wojnę wypowiedział, przyrzekli oddać Pomorze, lecz nie oddali go. Pokonani przez Jagiełłę — sami pokoju się domagali; obiecywali, iż ziemie nieprawnie dzierżone oddadzą — i nie oddali; z wiarołomnych stali się następnie tyranami: gnębią, uciskają ludność podbitą, odzierają z mienia, pokoju i szczęścia. Zabrać majątek, żonę, dzieci Po-

morzaninowi lub Prusakowi, to nie grzech, według Krzyżaków... Sprawiedliwości, królu! woła uciskana ziemia. U twego stołu zasiąść dziś mają, jako goście, ciemiężcy bratniego ci ludu, zezwolisz że na to?... Sprawiedliwości! wołają obywatele Prus i Pomorza. Weź ich ziemię pod twoją opiekę, połącz ją z twem państwem, uwolnij z pod władzy Krzyżaków!"

Tu Baisen umilkł. Cisza zaległa salę... Król podniósł wzrok na oskarżonych — wszystkie spojrzenia za nim się skierowały: czekano, czyli powiedzą co na usprawiedliwienie mistrza swego. Lecz oni siedzieli w ponurem milczeniu, a brew ściągnięta, dłonie, które ściskały rękojeść szabli, świadczyły, iż gniew nimi miota.

Król zwrócił się do posłów.

— Obywatele Prus i Pomorza mogą być pewni, że co będzie w mej mocy, uczynię, by los ich poprawić — rzekł głosem uroczystym. — Chęci ich co do połączenia się z nami nie odpycham; zwołam radę i dam rychłą odpowiedź.

Gniewnie zsunięte brwi Krzyżaków bardziej się jeszcze ściągnęły... wstali i opuścili zamek królewski. Nie zmieniło to wszakże postanowienia Kazimierza Jagiellończyka: zwołany na jego żądanie sejm uchwalił wojnę przeciw Krzyżakom. Dnia 19 października ujrzeli mieszkańcy Torunia wspaniały orszak, wjeżdżający w ulice miasta. Poczet zbrojnego rycerstwa, złożony z sześciu

chorągwi, poprzedzał złocistą, przybraną kobiercami kolasę królewską, w której siedział Kazimierz Jagiellończyk, a obok niego żona jego, Elżbieta; za nimi jechały kolasy biskupów i panów świeckich: wojewodów, kasztelanów, kanclerza i wielu innych urzędników. Pomorzanie i Prusacy zjechali też licznie na ten dzień do Torunia. Na wielkim placu, zielem wysypanym, stały krzesła, przygotowane dla królewskiej pary; wokół — ławy dla panów i rycerzy. Gdy Kazimierz i Elżbieta tu przybyli i zajęli przeznaczone dla siebie krzesła, a panowie ławy, wówczas przedstawiciele miast pruskich i pomorskich, poprzedzani przez Baisena, który niósł chorągiew narodową, przystąpili do tronu i klęcząc u stóp króla, złożyli mu przysięgę wierności, poczem wszyscy razem udali się do kościoła, gdzie odprawiono dziękczynne nabożeństwo. Z Torunia król z żoną i panami udał się do główniejszych miast pruskich i Pomorza, wszędzie przysięgę wierności otrzymując, poczem królowa wróciła do Krakowa, a król wojnę Krzyżakom wypowiedział. Trwała ta wojna lat dwanaście: zgnębieni kilkakrotnie Krzyżacy prosili nakoniec o pokój. Naznaczył król zjazd do Torunia na rok 1466. Zjechali nań, prócz króla Kazimierza i mistrza, Henryka von Plauen, pierwsi panowie Polski, Litwy, Prus i Pomorza, oraz legat papieski. Zebrani, po długich naradach, podpisali następującą umowę: „Między Zakonem a królem

Kazimierzem Jagielończykiem zawarty jest pokój wieczysty; tak zwane Prusy Zachodnie, tudzież Pomorze, należeć będą odtąd do niego, a potem do jego następców. Prusy Wschodnie przy Krzyżakach zostaną, lecz Wielki Mistrz ma być uważany za lennika króla i każdego roku powinien mu składać hołd. Jeńcy, pobrani podczas ostatniej wojny, mają być wzajemnie oddani".

Tak więc, po wielu, wielu latach wróciło wreszcie Pomorze do Polski. Rozszerzenie granic nadmorskim krajem niemało przyczyniło się do zbogacenia jej, obywatele mogli bowiem teraz wysyłać zboże morzem Baltyckiem do Anglii, Niemiec, Szwecyi. Polska za Kazimierza Jagiellończyka nietylko obszerną się stała, lecz także i bogatą, a przez to o wiele potężniejszą, niż była poprzednio.

VIII.

Królewicze.

Jednem z piękniejszych i starożytniejszych miast naszych jest Lublin, położony wśród pagórków zielonych, wśród łąk kwiecistych, szumiących lasów i strumieni licznych, uchodzących do rzeki Wieprza. Wznosi się on nad rzeką Bystrzycą.

Wspaniałe gmachy, sięgające jeszcze epoki Jagiellonów, zdobią jego ulice, wysokie mury otaczające gród wokoło. Mnóstwo wspomnień historycznych łączy się z nim.

W czasach, kiedy panował w Polsce Kazimierz Jagiellończyk, w pięknym murowanym zamku Lublina chowali się synowie królewscy. A miał ich aż sześciu Kazimierz — i siedm córek prócz nich. Córki rosły pod opieką królowej Elżbiety; synów chciał Kazimierz mieć zahartowanych na trudy i niewygody, nawykłych do pracy, z nauką obeznanych, więc do lat siedmiu pozwolił czuwać nad nimi matce, lecz potem oddawał ich pod opiekę uczonych i surowych mężów, jakimi byli Jan Długosz, Kallimach i Wels. Pod opieką tych nauczycieli królewicze wychowywali się w zamku królewskim — dlatego zdala od dworu, aby do zbytku, jaki już wówczas na dworze królewskim panował, nie nawykli.

— Gdy dorosną, zażywać będą rozkoszy — mawiał często Kazimierz Jagielończyk — a teraz niechaj umysł ćwiczą.

I hartowali w istocie ciało, i umysł ćwiczyli młodzi królewicze. Stary Długosz wymagającym był nauczycielem: więc o szóstej rano w zimie, o piątej — latem zrywać się musieli z łóżek; potem śpieszyli na mszę do kościoła, a wróciwszy zasiadali do śniadania, składającego się z kubka mleka i kawała chleba czarnego. Następnie nauką

się zajmowali aż do obiadu. Uczyli się łaciny lub greckiego, tłomaczyli lub czytali Homera, Virgiliusza, Plutarcha, Tacyta; ćwiczyli się w matematyce, oraz innych naukach, wykładanych w Akademii krakowskiej, której uczniem był Długosz. Obiad przerywał naukę; ten był zawsze bardzo skromny: krupnik lub piwo na zupę, jedno mięso, do niego jarzyna lub kasza, go składały. Po obiedzie w porze zimowej chłopcy ćwiczeniom gimnastycznym się oddawali lub zabawiali się fechtunkiem, latem — harcowali na koniach, uganiali się za zwierzyną po lasach, lub ryby w Bystrzycy łowili; wieczorem znowu do książki wracali.

Ubiór ich był skromny, jak potrawy, które spożywali: proste kożuchy baranie zimą, płócienne suknie latem, z sukna ciemnego — jesienią i wiosną, stanowiły cały ich strój. W jedwabie i aksamity przybierali się wtedy dopiero, gdy jechali do Krakowa odwiedzić rodziców.

Było to roku 1471, w miesiącu maju. Pewnej niedzieli, wróciwszy z kościoła, królewicze, korzystając ze święta, bawili się w domu swobodnie, każdy wedle upodobania. Piętnastoletni Władysław o twarzy dziwnie pięknej i łagodnej, tak, iż gdyby się przebrał w niewieście suknie, z pewnością za dziewczynę by uchodził, bawił się z maleńkim Zygmuntem. Władysław, trzymając na kolanach brata, opowiadał mu ciekawe wypadki

z dziejów ojczystych: o wielkich czynach wielkich królów z rodu Piasta, o sławie, jaką się cieszyli — a mały Zygmunt słuchał go z powagą dorosłego męża. Opodal nich Kazimierz, o rok tylko młodszy, wielce do Władysława z twarzy podobny, stroił ołtarz. Zwykle w niedzielę, wróciwszy z kościoła, modlił się on, lub mszę odprawiał, księdza udając; ten był równie dobry, jak Władysław, a przytem wielce pobożny... W przeciwnym końcu izby Olbracht, trzeci syn Kazimierza, dwunastoletni wówczas chłopiec, o twarzy pełnej życia i energii, lecz nie tak urodziwy jak tamci, szablą drewnianą ścierał się z dziesięcioletnim bratem swym, Aleksandrem, który o wiele odeń słabszy i mniej śmiały uchylał się co chwila przed nim z miną wystraszoną. Olbracht, zadowolony, iż brat się go lęka, coraz silniej nacierał: szabla tylko migała w jego dłoni.

— Ostrożnie! ostrożnie! — wołał od czasu do czasu Długosz, który czuwał nad uczniami. Lecz Olbracht nie słuchał — upartym był z natury.

Naraz Aleksander krzyknął boleśnie i z płaczem do mistrza przypadł... Brat skaleczył mu rękę — krew płynęła z dłoni zranionej.

— Obyś nie odpukotował z czasem ciężko twego uporu — rzekł Długosz surowo do Olbrachta.

Władysław i Kazimierz, usłyszawszy krzyk Aleksandra, przybiegli do niego z pociechą: jeden

słowami i pocałunkami ranę starał się zagoić, drugi wodą zimną ją oblewał, a mały Zygmuntek patrzał wylękłemi oczyma na krew. Tylko Olbracht współczucia nie okazywał: uparty, jak zwykle, zacisnął zęby i winnym uznać się nie chciał; stał zdala, spoglądał ponuro na płaczącego i szeptał:

— Poco taki niezgrabny?

Jeszcze Aleksandrowi nie oschły łzy zupełnie, gdy hałas jakiś dał się słyszeć poza oknami zamku, a w chwilę potem wbiegł do izby pachołek zdyszany z oznajmieniem, iż król Kazimierz przyjechał. W izbie powstało zamieszanie, lecz Długosz wprędce porządek przywrócił. Ustawił starszych królewiczów po dwóch przy drzwiach, aby pierwsi ojca powitali; sam, trzymając małego Zygmunta za rękę, usunął się dalej. Aleksander otarł łzy i uśmiechnąć się usiłował.

Ze słowami: „Niechaj będzie pochwalony Pan wszech rzeczy“, król Kazimierz próg izby przestąpił; synowie pochylili się pokornie do jego kolan, on pogładził każdego po głowie... Naraz spostrzegł zapłakane oczy Aleksandra.

— Co tobie? — zapytał.

— Skaleczyłem się — odparł chłopiec i oczy spuścił.

— Niewiast to pociecha — łzy: na niewieściucha wyrośniesz, jeśli do niej uciekać się będziesz — rzekł król surowo.

Tu zwrócił się do Długosza, dłoń mu uścisnął, pociągnął dalej i siadłszy z nim razem pod ścianą izby, coś mu szeptał długo. Gdy skończył wreszcie tajemną rozmowę, wstał i zbliżył się znowu do synów.

— Od jutra za tydzień — rzekł głosem łagodnym — jeśli na to zasłużycie, pojedziecie do Krakowa. Poco was wzywam, dowiecie się później.

To powiedziawszy pożegnał Długosza i dzieci, poczem zabrawszy Zygmunta, oddalił się.

Wieczorem dowiedzieli się chłopcy, iż do Krakowa ma przybyć poselstwo z Czech, które zamierza ofiarować koronę Władysławowi — więc król Kazimierz chce, aby synowie przyjęciu posłów byli obecni.

— Słuchaj, Aleksandrze — rzekł Olbracht, zwracając się naraz do brata — za to coś dziś uczynił, gdy królem zostanę, ciebie księciem Litwy uczynię.

— Skądże marzysz o koronie, mając starszych braci? — zapytał Długosz.

— Władysław nad Czechami będzie panował, Kazimierz służbie Bożej się odda: jam trzeci z kolei, zatem ja koronę Polski dostanę — odparł pewnym siebie tonem Olbracht.

Cały tydzień przygotowywali się królewicze do wystąpienia na dworze: uczyli się po łacinie pięknych oracyj powitalnych i pożegnalnych, kła-

niać się i chodzić. Długosz przypominał nieustannie Władysławowi, jak zachować się powinien, kiedy stanie przed nim poselstwo, co powiedzieć, gdy koronę złożą u nóg jego... Mówił mu też o obowiązkach monarchy względem Kościoła i wiary, względem państwa i poddanych, o trudach jakie go czekają w Czechach, na które Niemcy ustawicznie czychają.

Minął wreszcie tydzień, i wszyscy czterej królewicze wybrali się razem z nauczycielem do Krakowa.

*

* *

Było to 27 maja. W sali przyjęć, w zamku krakowskim, zasiadł na tronie król Kazimierz, a obok niego królowa Elżbieta. Po stronie króla sześciu synów stanęło: wszyscy w jedwabiach, złocie, świecą klejnotami; najstarszy z nich, Władysław, liczy lat 15 zaledwie, najmłodszy, Fryderyk, trzy lata dopiero. Ten jedną ręką trzyma się niewiele co starszego odeń Zygmunta, drugą — paluszkiem wskazuje wchodzących co chwila panów litewskich, polskich, pruskich i pomorskich. Wszystko dlań nowością, bo on tu po raz pierwszy. Obok królowej siedmi cór widać; najmłodszą Elżbieta trzyma na kolanach. Królewne, jak bracia, bogato przybrane: suknie ich, usiane klejnotami, mienią się różnemi barwy.

Coraz tłoczniej w sali... Coraz nowi panowie stają przed tronem i biją korne pokłony królewskiej parze; wtem głośniejszy hałas daje się słyszeć... w progu sali jacyś obcy przybysze stanęli... To z Czech posłowie: jeden na szkarłatnej poduszce złotą dźwiga koronę Przystąpił do tronu i koronę złożywszy na stopniach, rzekł:

— Synu Kazimierza Jagiellończyka, Władysławie! Stroskany śmiercią króla Jerzego Podiebrada lud czeski osieroconą koronę tobie ofiarowuje: przyjmij ją i rządź nami szczęśliwie.

Rumieniec nieśmiałości oblał piękną twarz królewicza... Wysunął się przed braci swoich.

— Ku chwale Bożej, pomnożeniu wiary Chrystusowej i uczczeniu mowy słowiańskiej, którą Niemcy uciskają, z radością koronę tę przyjmuję — odparł głosem cichym.

Panowie czescy podniósłszy się z kolan, podjęli koronę i podali ją Władysławowi, a biskup gnieźnieński, obecny uroczystości, powstawszy z krzesła, zbliżył się do niego, wziął koronę i ustroił nią czoło syna Kazimierza.

W licznym orszaku rycerstwa, pod opieką zacnego swego nauczyciela, Długosza, w kilka dni potem Władysław Kraków opuścił i do Czech się udał, gdzie panował długo i szczęśliwie: a nietylko królem Czechów był, lecz także i Węgrów, którzy widząc, iż Czesi są zadowoleni z jego rządów, koronę państwa swego mu ofiarowali.

Spełniły się słowa Olbrachta: drugi z kolei syn Kazimierza Jagiellończyka, bogobojny Kazimierz, wzgardził świecką władzą i służbie Bożej się oddał; tak więc koronę odziedziczył po ojcu Olbracht, lecz panowanie jego do szczęśliwych się nie liczy. Uporem swoim ściągnął straszną klęskę na kraj; przedsięwziął wojnę bez woli panów i setki, tysiące ludzi stracił w tej wyprawie.

Po nim panował Aleksander, którego rządy niczem sławniejszem się nie upamiętniły; następnie Zygmnnt, przezwany Starym. Tego panowanie było bardzo szczęśliwe i świetne. Najmłodszy z synów Kazimierza Jagiellończyka, Fryderyk, jak brat jego starszy, służbie Bożej się poświęcił; siedm cór wyszło za mąż za różnych książąt europejskich.

IX.

W szkole i w akademii.

I.

Na szerokiej drodze, ciągnącej się wśród pól, ogołoconych już ze złotych kłosów żyta, ukazały się dwie postacie: mężczyzna w wieku podeszłym i chłopię niedorosłe. Obaj byli widocznie mieszkańcami, jeśli nie wsi, którą mijali, to jakiej innej:

ubiór ich świadczył o tem... Stary podpierał się grubym, sękatym kijem, od czasu do czasu wzdychając ciężko; chłopiec rozglądał się ciekawie wokoło.

— No — rzekł stary — to i rozstać się nam trzeba; ja dalej iść nie mogę, choćbym i chciał. Ciężka ci dola naznaczona, lecz sam się do niej rwiesz. A ja ci dać nic nie mogę... Mam-ci wprawdzie chatę i gruntu kawałek, ale tego nie urwę przecie i nie sprzedam, bo w chacie jeszcze pięcioro żywić trzeba. Nie zapomnij, żeś synem prostego kmiecia; nie zapomnij braci swoich, i tej wioski, gdzieś pierwszy raz słońce ujrzał, gdzie stoi chata twoja, gdzie mogiła twej matki. Gdy nad księgami z paniętami zasiędziesz, gdy z ksiąg tych mądrości się nauczysz: nie pogardzaj ty swymi, nie zaprzej się tych, co z pługiem po roli chodzą, bo oni uczciwie pracują, i oni potrzebni na tej ziemi... Niechaj nauka uczyni cię tylko mądrym i dobrym, abyś mógł przez nią kiedyś bliźnim swoim drogę do szczęścia otwierać, a starego ojca serce rozradować, zanim jeszcze do grobu pójdzie.

— Ha, idźże już teraz sam, ja stary dalej iść nie mogę — rzekł znowu.

Chłopak, płacząc, pochylił się do kalan ojca, uścisnął je, i rozstali się: stary podążył ku wsi, której chaty teraz, gdy mgły spadły, ukazały się za polami, a chłopak poszedł naprzód dalej.

Kilkakrotnie obejrzeli się za sobą... kilkakrotnie przystanęli, by popatrzeć na siebie... nakoniec stracili jeden drugiego z oczu. Chłopak zrazu szedł zwolna, smutny, zadumany. Często przystawał i ku wiosce patrzał, jakby mu jej żal było, lecz po niejakim czasie rozweselił się zupełnie.

Około południa spoczął pod drzewem przy drodze, napił się wody ze strumienia, który się toczył śród łąk, i posilił chlebem i serem, co mu ojciec był dał jeszcze w chacie. I znowu powędrował dalej wesoły, a gdę noc nadeszła, ułożył się do snu w suchym rowie. Nazajutrz, równo ze świtem, równo ze skowronkiem, zerwał się ze swego niezbyt miękkiego łóżka i puścił się znowu między łąki, pytając przechodniów o drogę do Krakowa.

Tak było przez dni parę, lecz wesołość poczęła go jakoś opuszczać: spostrzegł ze strachem, że pieniądze, które ojciec mu dał, wyczerpują się, a gdy pytał o drogę do stolicy, ludzie odpowiadali mu ze śmiechem:

— Ho, ho, do Krakowa! zajdź ty pierwej do Wieliczki, a potem o Kraków pytaj.

Podarły się chłopcu chodaki, pospadały z nóg, i boso dalej wędrować musiał, a kamienie kaleczyły mu stopy. Raz nawet tak sobie rozkrwawił nogę, iż obwiązać ją musiał szmatą, którą mu z litości dała jakaś kobieta, idąca tą samą co i on drogą. Coraz mu ciężej było. Zrazu szedł od świtu do południa bez odpoczynku, teraz co godzina

wytchnąć musiał, bo czuł, że padnie w drodze, jeśli nie spocznie.

Smutne myśli poczęły mu przychodzić do głowy, zwątpienie — wkradać się do serca.

— A może ja nie dojdę do Krakowa, może zamrę gdzie w drodze? i stolicy nie ujrzę, ojca nie rozraduję, ale zasmucę go ciężko, gdy mu powiedzą, że umarłem w drodze. A choć dojdę do stolicy, to zbiedzonego, obdartego może nie przyjmą do szkoły? i trzeba będzie wrócić ze wstydem...

Głód nieraz dobrze też dokuczył chłopcu. Czasami, prócz kawałka chleba, nic cały dzień nie włożył do ust. Smutno, ciężko mu było na duszy, jednak nie oglądał się za siebie, nie pytał, czyby nie lepiej było zawczasu wrócić do domu, tylko szedł wciąż naprzód. Cierpiał, lecz się nie skarżył; patrzał z trwogą w przyszłość, ale się nie cofał.

Nareszcie, po wielu dniach znużenia i głodu, wieczora jednego ujrzał jakieś mury, jakieś wieżyce i dachy przed sobą, a gdy zapytał przechodniów, co to za miasto, powiedziano mu, że to Kraków... Więc dobił wreszcie do celu, więc nie umarł w drodze, więc może przyjmą go do szkoły i uczyć się będzie, i mądrym zostanie... W głowie mu szumiało i w oczach się mroczyło — wolnym krokiem puścił się ku stolicy. Gdy dostał się w gwarne ulice miasta, sam nie wiedział co się w nim dzieje. Wzrokiem na pół-przytomnym rozglądał się wokoło. Blady ze zmęczenia, maleńki,

wychudły, obdarty, z pokrwawionemi szmatami na nogach, mógł litość budzić i budził ją w istocie. Przechodzący przypatrywali mu się z ciekawością i ze współczuciem — niejeden szepnął: „biedactwo...“ Niespodziewanie uczuł czyjąś rękę na ramieniu. Obejrzał się: za nim stał młody ksiądz, czarna, długa suknia to wskazywała. Taka dobroć i taki spokój malowały się na jego twarzy, iż chłopiec odrazu nabrał zaufania do tego nieznajomego.

— Dobry to musi być człowiek – pomyślał— zle mu z oczu nie patrzy.

— Tyś tu obcy? szukasz kogoś? — spytał nieznajomy głosem łagodnym.

— Szukam szkoły – odparł śmiało chłopiec.— Przywędrowałem tu zdaleka, by się uczyć w akademii.

Tu zdjął z głowy kapelusz i pokłonił się.

Nieznajomy uśmiechnął się.

— Pierwej trzeba ci się przygotować do akademii, lata całe uczyć się i uczyć wciąż, zanim cię do niej wpuszczą. W akademii dorośli ludzie się uczą, ludzie już pod wąsem, a tyś jeszcze mały.

— To i co? kiedyś przecie będę duży...

— A nie przestrasza cię to, że lata całe siedzieć w szkole będziesz musiał? że kiedy inni będą swawolić po łąkach, ty będziesz musiał w izbie nad książką ślęczeć? — zapytał nieznajomy, badawczo patrząc chłopcu w oczy.

Chłopak wzruszył ramionami.

— A potom przecie mil tyle wędrował, by się uczyć. Jabym całe życie chciał ino nad książką siedzieć!

— Ile ty masz lat?

— Dwanaście.

— Imię twoje?

— Grzegorz.

— Skądże ty jesteś? masz rodziców?

— Zpod Sanoka pochodzę. Ojca mam. Pozwolił mi iść do Krakowa, gdy o to prosiłem, ale powiedział, że pieniędzy na naukę nie da, bo nie ma.

Nieznajomy patrzał ze współczuciem na dzieko.

— Trudne będziesz miał życie — rzekł po chwili. — No, ale tak niejeden tu przyszedł i radzi sobie. Uczyłeś ty się już czego?

Grześ podniósł czoło.

— Umiem pisać, czytać i rachować, no, i śpiewać trochę — odrzekł śmiało. — Chodziłem do szkoły parafialnej w Sanoku.

Nieznajomy pogładził jego płowe włosy.

— Zobaczymy, zobaczymy—odparł; — w szkole zdasz egzamin z tego co umiesz. Chodź... poprowadzę cię do szkoły.

Na jednej z bocznych ulic wznosił się piękny, murowany budynek, schludny i duży.

Gdy weszli do niego, znalazł się Grześ w obszernej izbie. Stały tutaj ławy, w których siedzieli chłopcy; naprzeciwko wznosiła się katedra. Zasiadł w niej ów ksiądz i podał mu księgę. Malcy nadstawili uszy, czekając, jak Grześ jąkać się zacznie, gdy, ku ogólnemu zdziwieniu, chłopak przeczytał zupełnie gładko całą stronicę. Ksiądz go pochwalił i kazał mu potem pisać: i z kaligrafią się powiodło. Twarze chłopców zmieniły wyraz: ci, którzy uśmiechali się złośliwie, a byli to po większej części nieucy, spochmurnieli i poczęli szeptać: „bosak, bosak!“ wskazując z pogardą owinięte szmatami jego nogi, wytartą sukmanę, a nawet poszturchiwali go. Grześ słyszał ich docinki, widział drwiące uśmiechy, czuł poszturchiwania, lecz nic sobie z tego nie robił. Tak był uszczęśliwiony pochwałą księdza, że się uśmiechał do złośliwych malców i odpowiedział:

— „Czekajcie, będą i buty.“

Ale nie wszyscy dla Grzesia tak źle byli usposobieni: kilku ścisnęło mu dłoń przychylnie.

— Ho! ho! pewnikiem ty będziesz prymus między nami — mówili. — Tak gładko nikt nie czyta.

Tegoż jeszcze dnia, syn ubogiego kmiecia z pod miasta Sanoka zapisany został do grona uczniów szkoły Ś-tej Anny. Łagodna, a przytem rozumna jego twarzyczka, zdolności, jakie okazy-

wał, zjednały mu łaski księdza, który był przełożonym tej szkoły.

Gdy dziatwa szkołę opuściła, przywołał chłopca do swej celi, która na tym samym kurytarzu się znajdowała.

— O mieszkanie się nie troszcz — rzekł, wszedłszy tutaj. — Dam ci kąt do spania. Tylko o obiedzie pomyśleć trzeba. Ale na to poradzimy: będziesz żył, jak wielu, z jałmużny.

Na bladą twarzyczkę Grzesia wybiegł rumieniec.

— Z jałmużny? — powtórzył pytającym tonem.

— Zaraz cię objaśnię: teraz południe, pójdziesz po obiad; ci wszyscy, którym z domu nie przysyłają pomocy, z jałmużny żyją. Mieszczaństwo krakowskie jest poczciwe.

To powiedziawszy zakrzątnął się po celi i niebawem przyniósł Grzesiowi glinianą miskę, łyżkę drewnianą i jakąś kartkę.

— Idź z tem na ulicę, zastukaj do pierwszego domu za kościołem, pokaż kartkę, a jeść ci dadzą; znam ludzi, którzy tam mieszkają: liczną mają dziatwę — pożywisz się przy niej.

Grześ patrzał na księdza, spoglądał na miskę i nie odpowiadał. Nagle łzy trysnęły mu z oczu.

— I czegóż płaczesz? — spytał ksiądz. — Wszak uczyć się będziesz!

Chłopak już połknął łzy – skłonił się do nóg księdzu, wziął miskę, kartkę i łyżkę, i wyszedł z celi. Jeść mu się chciało, ale myśl, iż żebrać ma, przykrą mu była, szedł więc zwolna, z głową smutnie ku piersiom zwieszoną. Nareszcie minął bramę gmachu szkolnego i ujrzał się na ulicy; tu zatrzymał się, stanął pod ścianą i zadumał się. Wtem ujrzał kilku kolegów, wysuwających się z miskami z bramy szkolnej i dążących do jednego z domów, położonych wśród zielonych ogrodów. Zastukali do drzwi... rozwarły się podwoje: z jednych wysunęła się jakaś dziewczynka z garnuszkiem w ręku, uśmiechnęła się do stojącego żaka i nalała mu ciepłej zupy na miskę, z drugiej — sędziwa niewiasta, z innych grzeczne chłopię; ani jeden z malców z próżną miską nie odszedł. Grześ patrzał i czuł miłe wzruszenie w sercu: piękny bo też był to obraz patrzeć jak miasto pomaga młodzieży, by na ludzi wyrosła.

Teraz już go nie bolało, że prosić musi, posunął się w ulicę i do domu wskazanego przez księdza zastukał, ale bardzo lekko. Otworzono mu wszakże natychmiast i w progu ukazała się rumiana, uśmiechnięta dobrotliwie kobieta.

— Cóż tak kołaczesz nieśmiało — rzekła — czy się boisz, czy się wstydzisz? pewnoś w Krakowie nieoddawna?

Grześ w miejsce odpowiedzi podał kartkę księdza. Kobieta na nią nie spojrzała.

— Nie masz się czego wstydzić — ciągnęła dalej. — My wam dziś dajem, potem wy nam dawać będziecie, wprawdzie nie strawy na miskę, lecz coś droższego, czego złotem nie opłacisz: dacie nam naukę, mądrość, światło. Kto wie, może ty kiedyś wnuki moje uczyć będziesz.

To powiedziawszy, wskazała chłopcu drzwi do sieni wiodące, i za chwilę Grześ siedział w dużej izbie przed stołem, białym obrusem zasłanym, nad misą pełną krup.

II.

— I cóż to za dzień uroczysty w Akademii krakowskiej? Na dziedzińcu pełno służby, bogato przybranej. Rżą rumaki i ludzie gwarzą. Lecz ludniej jeszcze wewnątrz gmachu, którego oficyny dziedziniec otaczają. W jednej z większych sal zebrali się dziś wszyscy profesorowie Akademii, wszyscy uczniowie i wiele dostojnych osób... Ławy dziś ściśnięte, stoły wyniesione. W ławach siedzą uczniowie; katedra pusta, po obu jej stronach widać rzęd krzeseł pięknie rzeźbionych. W krzesłach siedzą jacyś poważni panowie; bogate ich suknie świadczą, że wysokie zajmują stanowiska... Ten, co najbliżej katedry, po lewej stronie, w karmazynowym kontuszu, srebrnym żupanie, butach żółtych, w głębokiej zadumie oparł głowę na dłoni,

łokieć na poręczy krzesła, drugą rękę poza poręcz zwiesił i czapkę w niej trzyma — to wielki urzędnik, kanclerz króla, Wojciech Jastrzębiec. Tuż przy nim siedzi starzec w obszernej aksamitnej sukni, togą zwanej — to Andrzej z Kokoszyna, jeden z najstarszych profesorów Akademii; dalej widać różnych stopni młodych nauczycieli, również w togi ubranych. Po prawej stronie, naprzeciw kanclerza, w infule na głowie, siedzi Zbigniew Oleśnicki. Cisza uroczysta panuje w sali... Wtem drzwi ukryte za katedrą skrzypnęły, i w progu ukazał się młodzian w szacie duchownej. Lica jego blade, włos płowy; oko smętne, lecz rozum zeń patrzy. Wszedł, przystąpił ku katedrze — stanął w niej i poważnem, pełnem szacunku okiem powitał zebranych. Wszystkie spojrzenia wzróciły się ku niemu... Zdawał się być mocno zwruszony: usta jego stały się blade jak lica, nozdrza się rozszerzyły, a ręka, którą oparł się na katedrze, drżała lekko. Czas jakiś wodził spojrzeniem po zebranych; nareszcie zapanował nad wzruszeniem i począł mówić głosem dźwięcznym, pewnym, przekonywającym. Dowodził z zapałem, że natura nas otaczająca — to najmędrsza ze wszystkich ksiąg, że może nas ona najwięcej nauczyć, ją więc badać należy. Im dłużej mówił, tem więcej się ożywiał, tem więcej wzruszał zebranych. Słuchali go zajęciem coraz bardziej wzrastającem, ze zdumieniem, z zachwytem, dziwiąc się rozumnym

zdaniom i pięknej wymowie. Skończył wreszcie. Szmer zadowolenia rozszedł się po sali; młodzian niespokojnym wzrokiem powiódł po wszystkich twarzach: na wszystkich wyczytał uznanie. Wtem podniósł się kanclerz: zbliżyło się do niego dwóch pachołków, niosących poduszkę aksamitną czerwoną z jakimś czarnym przedmiotem. Była to toga profesorska: kanclerz przykrył nią ramiona młodzieńca. Teraz wszyscy ruszyli z krzeseł, zbliżyli się do nowomianowanego profesora i winszować mu poczęli, życzyć powodzenia w chlubnym zawodzie nauczycielskim.

Tym szczególnym młodzieńcem był znany nam Grzegorz z pod Sanoka. Wytrwałość jego i pilność nagrodzone zostały. Pracował, walczył i zwyciężył. Skończywszy chlubnie niższą szkołę, dostał się do Akademii, i teraz z ucznia nauczycielem został, a nawet później — doradcą króla Jagiełły. Zasłużył się też Grzegorz z Sanoka ojczyźnie jako człowiek uczony, rozproszył niejeden przesąd, sprostował niejeden błąd. W owym czasie wykładano nietylko u nas, lecz i w wielu innych uniwersytetach naukę zwaną astrologią, która z gwiazd uczyła czytać przyszłość ludzi. Grzegorz z Sanoka pierwszy nazwał tę naukę niedorzeczną, a choć wielu oburzało się na niego, że się śmieje z astrologii, Grzegorz śmiało głosił swoje zdanie. Dowodził, że ci co z gwiazd przy-

szłość czytają, nietylko siebie, lecz i drugich oszukują. I przekonał wkońcu rozumniejszych: astrologia powoli zarzuconą została.

Streszczenie części czwartej.

Wiek XIV i XV.

— Zasłużyłam na to, by odpocząć — rzekła pewnego wieczora ciotka Ludmiła, zebrawszy nas wkoło siebie. A nikogo jakoś niebrakło wówczas: Zosia, Adela, Emma i Wacio siedzieli razem z nami. — Cały miesiąc bawiłam was mojemi opowiadaniami, dziś wasza kolej mówić, a ja słuchać będę.

— Dobrze, dobrze ciotuniu — zawołałyśmy chórem. — Zadawaj pytania, my odpowiadać będziemy.

— Ja bez pytania coś powiem cioci — odezwał się Marcyś.

— Cóż takiego? — spytała ciocia.

— Że, jak duży urosnę i do Górc powrócę, to będę zawsze zasiadał wieczorem w sobotę na błoniu, pod wielkim dębem, każę przywołać do siebie wszystkich chłopków i pytać się będę każdego, co mu dolega.

— To, jak widzę, podobał ci się król Kazimierz, kiedy go chcesz naśladować—rzekła ciocia.

— Jakże się nie miał podobać? był taki dobry i mądry! — odparł Marcyś. — A powiedz cioteczko, jeśli ja tak samo, jak on, będę pocieszał i wspierał kmiotków, czy mnie nazwą Wielkim?

— Kazimierz, gdy czynił dobrze kmiotkom, nie pytał o to, czy nazwą go za to Wielkim: wspierał ich, bo ich kochał — odparła ciotka Ludmiła poważnie.

Marcyś się zarumienił i oczy spuścił. Spostrzegła jego zakłopotanie ciotka.

— Powiedz mi — rzekła — czy Kazimierz tem tylko zasłużył się krajówi, iż dobrym był dla kmiotków.

— Nadał prawa narodowi w mieście Wiślicy r. 1347 — odparł Marcyś.

— I jeszcze co uczynił?

— Założył r. 1364, we wsi Bawole pod Krakowem, akademię czyli szkołę wyższą.

— I jeszcze co?

— Przyłączył r. 1340 Halicz do swego państwa.

— Dużo więc uczynił dobrego; widzisz, Marcysiu, żeby zasłużyć na przydomek Wielkiego, trzeba wiele mądrych i pożytecznych rzeczy dokonać — rzekła ciocia — takich, jakie spełnił Kazimierz Wielki. Jeśli kochać będziesz szczerze kmiotków, jeśli będziesz się nimi opiekować dlate-

go, że szczęście ich miłem ci będzie, nazwą cię oni dobrym. Przydomek „wielkiego“ nie tak łatwo otrzymać.

Marcyś wstrząsnął główką, na znak, iż zrozumiał ciotkę.

— To niech mnie nazwą tylko dobrym — rzekł, będę się nimi opiekował.

— Albo to nie piękny przydomek? ucieszyłabym się serdecznie, gdybym kiedyś usłyszała, że mieszkańcy wsi Górc nazwali cię „dobrym panem“.

To powiedziawszy, ciotka Ludmiła przyciągnęła do siebie Marcysia i pocałowała go w czoło, poczem zwróciwszy się do Wacia rzekła:

— Kiedy Marcyś tak dobrze pamiętał wszystko, co dotyczyło panowania Kazimierza Wielkiego, to ty powiedz mi teraz, jak się nazywał jego następca?

— Ludwik — odparł Wacio i spojrzał na swoją siostrę, Zosię, jakby ją pytał, czy dobrze mówi... Widocznie jak Terenia nas, młodsze rodzeństwo, uczyła zawsze tego, co ciotka opowiadała, tak Zosia — Wacia.

— Dobrze odpowiedziałeś — rzekła Zosia — lecz sądzę, że ty wiesz jeszcze coś więcej o tym królu.

— Wiem — odparł flegmatycznie Wacio. — Ludwik był siostrzeńcem Kazimierza, synem jego siostry Elżbiety, i króla Węgier. Dla Węgrów był dobrym, dla nas złym: zabrał nam Halicz, po-

zwolił, że Akademia upadła; na zjeździe w Koszycach, roku 1374, nadał panom przywileje, co z krzywdą kmiotków uczyniono, a panowie obiecali mu za to, że po jego śmierci będzie panować jedna z jego córek.

— I któraż panowała?

— Jadwiga — odparł Wacio.

— Ale ta do ojca nie była podobną — wszak prawda ciociu? — spytała Anielcia. — Ludwik nam dużo złego zrobił, a ona dużo dobrego.

Ciocia zwróciła się do niej.

— I cóż tak dobrego zrobiła? — spytała.

— Połączyła Polskę z Litwą, bo na prośby panów zgodziła się zostać żoną Władysława Jagiełły, wielkiego księcia Litwy. Litwini byli poganami, lecz za namową Jadwigi przyjęli chrzest.

— A w którym roku odbył się ślub Jagiełły z Jadwigą i chrzest Litwy? zapytała ją Terenia.

— Roku 1386 — odparła Anielcia. — Widzisz, że pamiętam! — dodała następnie z minką tryumfującą. Nie mogłam się nauczyć tej daty; mówiła Terenia, że jej zrobię wstyd przy egzaminie, lecz zapisałam sobie rok na kartce, co wieczór odczytywałam, i nauczyłam się; teraz chyba już nigdy nie zapomnę tej daty.

— A pamiętasz co jeszcze dobrego zrobiła Jadwiga?

— Odebrała Węgrom Halicz i napowrót do Polski go przyłączyła; wszystkie klejnoty swoje

oddała na Akademię i szkoła ta podniosła się znowu, a król przeniósł ją do Krakowa; wspierała biednych, nieszczęśliwych pocieszała. Była to bardzo dobra królowa, szkoda, że tak wcześnie umarła: r. 1399. Czy się nie mylę, ciociu?

— Nie, nie mylisz się, dzieweczko — odparła ciotka. — Jestem bardzo z ciebie zadowoloną. Teraz starsze siostry twoje będą mi odpowiadać. — Tu ciotka zwróciła się do mnie, a mnie serce bić zaczęło. Spuściłam oczy.

— Czem jest pamiętny w dziejach naszych rok 1410? — zapytała ciotka po chwili.

— Bitwą, jaką stoczył Jagiełło z Krzyżakami pod Grunwaldem i Tanenbergiem — odparłam głosem cichym; po chwili jednak, nabrawszy odwagi, dodałam: — Chciał odebrać Pomorze, zabrane nam jeszcze za Łokietka i zwyciężył Krzyżaków. Zawarł z nimi pokój w Toruniu: Krzyżacy zobowiązali się, że oddadzą Pomorze, lecz słowa nie dotrzymali.

— Jakie to ziemie połączyły się wówczas z nami, prócz właściwej Litwy? — zapytała jeszcze ciocia.

— Biała Ruś, Wołyń, Podole i ziemia Kozaków Zaporoskich — odparła Adelka.

— Ziemie te zamieszkane były przez ludność słowiańskiego pochodzenia. Należały niegdyś do książąt ruskich; ród Ruryków długo nad niemi pa-

nował, dopiero w XIV wieku zdobyli je Litwini,— dokończyła za nią ciotka. — Niemcy usiłowali wszelkiemi siłami rozerwać połączone państwa: podjudzali oni brata stryjecznego Jagiełły, aby królem Litwy się ogłosił, obiecując, iż mu przyślą koronę, i Jagiełłę namawiali, żeby się zgodził na koronacyę Witolda. Szczęściem panowie polscy stanowczo oparli się temu, i tak zabiegi Niemców skutku nie odniosły.

— Powiedz mi, Tereniu, ilu synów miał Jagiełło? — przerwała naraz opowiadanie nowem pytaniem ciotka Ludmiła.

— Dwóch: — odparła Terenia — Władysława i Kazimierza. Władysław, jako starszy, objął władzę, lecz krótko panował. Roku 1439 powołali go na tron Węgrzy, którym groziła wojna z Turkami. Władysław poszedł przeciw Turkom, pokonał ich i zawarł z nimi pokój na lat dziesięć, lecz w następnym zaraz roku zerwał ten pokój i wypowiedział wojnę Turkom. Roku 1444 stoczył z nimi bitwę pod Warną, w której poległ; stąd otrzymał przydomek Warneńczyka. Po nim objął tron Kazimierz Jagiellończyk, który prowadził wojnę z Krzyżakami; zwyciężył ich i zawarł z nimi pokój roku 1466, mocą którego Krzyżacy oddali nam Pomorze i Prusy Zachodnie.

— A ilu synów miał Kazimierz Jagiellończyk, może Mania mi powie? — spytała ciocia.

Mania, niestety, myślała w tej chwili o czem innem, to też zamiast odpowiedzieć, zaczerwieniła się mocno.

— Nie słyszałam, co ciocia mówiła — szepnęła.

— Sześciu — wyręczyła ją Magdzia w odpowiedzi. — Najstarszy, Władysław, węgierskim i czeskim był królem, drugi, Kazimierz, umarł w młodym wieku, trzeci, Olbracht, objął tron po śmierci Kazimierza Jagiellończyka.

— Był to król waleczny i wykształcony, mimo to panowania jego szczęśliwem nazwać nie można — objaśniła nas ciocia. — Chciał on zdobyć sąsiednią Wołoszczyznę i oddać rządy tego kraju bratu swemu, Zygmuntowi; Wołosi często bowiem napadali na Polskę, i nieraz Turków z sobą sprowadzali. Sądził, że tym sposobem zabezpieczy się od ich napaści — lecz wyprawa tą nie powiodła mu się... Stoczywszy kilka potyczek z Wołochami, namówiony przez brata swego, Władysława, zawarł z nimi rozejm i podążył do domu. Droga prowadziła przez ogromne lasy Bukowińskie. Podstępni Wołosi przygotowali w nich zasadzkę; gdy wojsko weszło w głąb lasu, jedni wypadli niespodzianie z ukrycia i rzucili się na nie z dobytą bronią, inni rąbiąc drzewa przewracali olbrzymie kłody na rycerzy i przytłaczali ich. Setki zginęły tym sposobem, a gdy garstka wydobyła się z lasu i na stepy podążyła, dziękując Bogu

za cudownie ocalone życie, podstępni Wołosi zapalili trawy stepów... I tu znowuż wielu rycerzy śmierć znalazło: dym ich dusił, zsuwali się z siodeł i ginęli w płomieniach. Nieszczęśliwa ta wyprawa, którą Olbracht przedsięwziął roku 1497, zwie się w historyi „klęską Bukowińską".

— Olbrachtem nie chciałabym być — odezwała się Magdzia — lecz Warneńczykiem, choć doznał klęski, choć zginął w bitwie, bardzobym chciała. To taki piękny charakter! Prawda, iż zgrzeszył uporem, lecz wojnę przedsięwziął w tak szlachetnej sprawie! chciał bronić swych braci Słowian!

— I kto wie, czy nie byłby ich obronił, gdyby inni nie byli go zawiedli, gdyby przybyli z nim razem na pole bitwy — rzekła ciocia.

— Szkoda, że tak młodo i tak marnie zginął.

Tu zamyśliła się, a potem dodała:

— Niema nic smutniejszego, jak młodość zmarnowana, dobre chęci w niwecz obrócone, zacne zamiary niespełnione.

I znowu przez chwilę w pokoju panowała cisza.

— Gdyby mnie kto zapytał: „kim chciałabyś być" — odezwała się naraz Adelka — to z tych wszystkich postaci, które skreśliła nam ciocia, wybrałabym Grzegorza z Sanoka. Być sobie samej wszystko winną... to musi być przyjemnie; zwalczyć tyle trudności i zwyciężyć, jaka to rozkosz!

A powtóre, on dużo dobrego zrobił braciom swym, bo uczył ich prawdy, a nikomu nic złego nie zrobił. Rycerzem choćby najsławniejszym nie chciałabym być, bo trzeba zabijać, mordować, ranić i kaleczyć.

— Baba z ciebie — rzekł Marcyś.

— Kobieta z sercem — poprawiła go ciotka Ludmiła i wyciągnąwszy rękę do Adelki dodała:— Chodź, niech cię uściskam za twoje zdanie.

Adelka zbliżyła się do niej nieśmiało i pocałowała ją w rękę, a ciocia uścisnęła ją.

— Tak więc, znacie już ważniejsze wypadki, jakie zdarzyły się u nas w ciągu wieku XIV i XV — poczęła znów ciocia. — Dorzucę wam jeszcze słów parę do tego obrazu. Ma on swoje jasne i ciemne strony; zacznę od ciemnych, by jasnemi zatrzeć smutne wrażenie, jakie tamte wywołują... W tej epoce widzimy, iż między stanami coraz większa zaczyna się wytwarzać różnica, z krzywdą stanów niższych. Król Ludwik, jak już wiecie, nadał wielkie przywileje szlachcie i władzę królewską ograniczył. Jagiellonowie nadali jej jeszcze większe; dola kmiotków pogorszyła się przez to znacznie, a władza królewska stała się o wiele słabszą. Król nie mógł teraz nic postanowić bez rady panów: ani wojny przedsięwziąć, ani pokoju zawrzeć, ani nowych praw wydać. Kmiotek musiał pracować na gruncie pana, którego niewolno mu było rzucić bez pozwolenia,

choćby mu dokuczał; niewolno było iść na wojnę i tam szukać sławy i wyniesienia się ze stanu kmiecego do rycerskiego, jak to dawniej bywało; nie wolno mu było wkońcu nawet wszystkich synów do szkół posyłać, tylko jednego. — Obyczaje tego wieku są jeszcze surowe, czasami okrutne; panowie dopuszczają się napadów na przejeżdżających kupców, rabują ich towary, więżą kmieci bez sądu, a gdy oskarżony do winy przyznać się nie chce, skazują go na tortury, czyli męczarnie: przypiekają mu palce u nóg i rąk, kaleczą ostrem żelazem, rzucają do wody w przekonaniu, że jeśli niewinny, to nie utonie i nie poparzy się. Takich tortur używali i urzędnicy królewscy, gdy chcieli, by oskarżony przyznał się do winy. Zwyczaj ten okrutny nietylko u nas istniał, ale w całej Europie; dopiero postępy nauki zmieniły go. Dzisiaj tortur już nie używają, nie męczą więźniów, lecz starają się wpływać na nich moralnie, poprawiać ich.

Oto smutne strony tego obrazu. Jasnych jest wiele. Przez połączenie Pomorza i Prus za Kazimierza Jagiellończyka Polska nie tylko rozszerzyła swe granice, lecz stała się bogatą. Panowie poczęli wysyłać teraz zboże zagranicę przez morze Baltyckie, na czem zyskiwali wiele, handel się rozwinął, podniosły się miasta. Za przykładem cudzoziemców, panowie zaczęli się wygodniej urządzać: dawne nędzne, drewniane chaty zastą-

piły modrzewiowe dwory, z kilku izb się składające, otoczone wałem i fosą, aby nieprzyjaciel nie mógł się do nich łatwo dostać; po miastach zaczęły się ukazywać murowane kamienice.

Proste, skromne obyczaje, jakie przedstawia epoka Piastów, zmieniają się: zaczynają się pojawiać przedmioty zbytku. Jedwabne opony, srebrne dzbany, złote półmiski, nietylko na dworach królewskich znajdowały się za Jagiellonów, lecz i w domach rycerzy; orszak panów, towarzyszący królowi na zjazdach, odznaczał się zawsze bogactwem ubioru.

Lecz nietylko w suknie piękne stroili się Polacy; starali się też o naukę: wysyłali synów do szkół zagranicę, lub do Krakowa, do Akademii. Przybyło w tych czasach wiele szkół; przy każdej parafii były szkoły niższe, gdzie uczono czytać, pisać, gramatyki i arytmetyki; w większych miastach były szkoły wyższe. Gdy wynaleziono druk zagranicą, i u nas założono kilka drukarni. Oświata, razem z bogactwem, szerzyła się po kraju.

Kilku znakomitych mężów zasłynęło w tej epoce. W wieku XIV — Janko z Czarnkowa, który opisał panowanie Kazimierza Wielkiego i Ludwika; w wieku XV, Jan Długosz, jeden z najsławniejszych historyków swego czasu, Grzegorz z Sanoka i Ostroróg. Pisali oni po łacinie, gdyż język polski jeszcze nie był dostatecznie wyrobiony, aby można było poważne dzieła w nim

pisać. Lecz i po polsku pisano także w tej epoce: pieśni, legendy, modlitwy.

Posłuchajcie pieśni, utworzonej przez nieznanego autora na cześć bitwy Grunwaldzkiej:

„We wtorek, dzień apostolski,
Rzekł marszałek królów Polski:
Wielki to jest lud nad nami,
Trzeba, by był Pan Bóg z nami.

Król widząc, iż blisko było,
Aby się to dokończyło.
Aż się Niemcy bardziej brali
Niż polskiej mocy doznali.

Chorągiew wnet kazał podać,
Chcąc swym serca więcej dodać,
A iż ją podnosi sprawnie,
Temi słowy dał znać jawnie:

Boże mój, Ty wiesz bez chyby,
Co pomyśli człowiek żywy,
Przeto się nikt nie skryje,
Kto źle albo dobrze żyje.

Ty wiesz zawsze żem uchodził
Abym nikomu nie szkodził,
I wojna ta za mym żalem,
Świadczę Tobą Bogiem samym.

Ale iżeś mię wysadził
Abym o Twym ludu radził,
Z krwawych je rąk wyrwać trzeba,
Na pomoc im zstąp z Nieba.

Iż ci, którzy tu polegną
Płaczem swym Ciebie dosięgną,
Prosząc, by nie żył godzinę,
Kto tej wojny dał przyczynę.

Potem płaczu zaniechali,
Boga Rodzicę śpiewali,
Tusząc jutro każdy sobie,
Wesołym być o tej dobie.

Potem do króla przysłano,
O bliskiem wojsku znać dano,
A król się modlitwą bawił,
Nic nie czynił, aż to sprawił.

Witold a Maszkowski dbali,
By wtenczas lud szykowali;
Król po skończeniu modlitwy
Na swym koniu czekał bitwy.

Polski lud wziął lewą stronę,
Litewski prawą obronę,
Dziewięćdziesiąt wszystkich mieli
Chorągwi, które widzieli.

Na czele lud co wybrańszy,
A co dalej to są tańszy,
Ku bitwie lud nieprzystojny
Król w obóz odesłał z wojny.

A gdy poczęto trąb słuchać,
Już każdy jął swego szukać,
Wtem posłowie przysłani,
Byli od króla słuchani.

Mistrz pruski dał ci powiedzieć,
Iż mu to tak dano wiedzieć,
Iż ci serca nie dostawa,
Dla tego dwa miecze dawa.

Abyś i te miał na pomoc,
Wszak poznasz, co to jest niemiecka moc,
A rozdziel się niemi z bratem,
A potykać się każ zatem.

Jeślić pola niedostawa
Do szyku, otóż je dawa,
Byś nie miał żadnej obmowy,
Oto już masz plac gotowy.

Wtem się ich wojsko cofnęło,
Nasze się dobrze poczęło,
Boć to był znak by wiedzieli,
Iż tam na rzeź biegnąć mieli.

Król przyjął miecz z pokorą,
I dał im odpowiedź skorą,
Która za proroctwo stała,
Bo się im pycha znać dała.

W mem wojsku acz dosyć broni,
Pozna ten kogo mój zgoni,
A wszakże i za tę dziękuję
Wygrać sobie otrzymuję".

. . . . . .

Nietylko poezyę uprawiali w tej epoce Polacy, lecz inne także sztuki piękne: stawiali wspaniałe świątynie, stroili ołtarze rzeźbami i malowaniem; za Kazimierza Jagiellończyka żył sławny Wit Stwosz. Różne nowe rzemiosła rozwinęły się też w owej epoce. Kazimierz Wielki sprowadził rzemieślników cudzoziemców, aby krajowców nauczyli nieznanych im rzemiosł. Zjawili się w tej epoce w większych miastach naszych hafciarze, rękawicznicy, kapelusznicy, malarze, tapicerzy, farbiarze i inni. Rzemiosła kwitły, handel również. Polacy handlują zbożem, miodem, skórami, przywożą pieniądze do kraju; podnoszą się domy mieszczan i rody rycerskie, które w chwili niebezpieczeństwa, grożącego krajowi, nie żałują mienia ni życia, chętnie popierają uczącą się młodzież, ułatwiają jej naukę, własnym

kosztem zakładając *bursy* czyli mieszkania dla uczącej się młodzieży. . . . . .

Jest to jednem słowem epoka, która chlubę nam przynosi; jest ona jakby wstępem do złotego wieku, o którym teraz opowiadać będę.

Temi słowy zakończyła tym razem swą pogawędkę ciotka Ludmiła.

CZĘŚĆ PIĄTA.

Hołd Pruski.

Było to dnia ósmego kwietnia roku 1425. Na rynku krakowskim, zielem zasłanym, widać było od rana stojące dwa krzesła paradne, umieszczone na pewnem wzniesieniu, a wkoło nich — ławy, kobiercami zasłane; od rana też pospólstwo ściągało z różnych dzielnic miasta na ów rynek, lecz halabardnicy, którzy obowiązki straży tu pełnili, nie dopuszczali go do środka. Tłum, zbity w masę, podpierał mury domów i tylko ciekawe spojrzenia rzucał ku środkowi rynku, to znów ku ulicy do zamku wiodącej. Dzień pogodny pozwalał stać i czekać; najlżejsza chmurka błękitów nie zasłaniała, a słońce ciepło już przygrzewało, skwarem jeszcze nie dokuczając. Około południa tętent

i rżenie rumaków, dochodzące z ulicy od zamku wiodącej, oznajmiły czekającym tłumom, że ktoś zbliża się ku rynkowi. Poruszyły się masy, jak kłosy na polu, szmer poleciał w powietrzu. Po chwili ukazały się oddziały zbrojnego rycerstwa, świecące, strojne, hałaśliwe. Naprzód konnica, potem piechota, zaległy rynek, miejsce próżne zostawiając w pośrodku; za niemi niebawem nadciągnęły kolasy. Pierwsza była najparadniejsza: srebrna kolebka, zawieszona na pasach wielorybich, wybita wewnątrz czerwonym aksamitem, wszystkie oczy ku sobie pociągała. Sześć koni w szorach z taśmy jedwabnej, przetykanej złotem, ciągnęło ją; sztuki srebrne zdobiły owe szory. W tej paradnej kolebce siedział król Zygmunt Stary, syn Kazimierza Jagiellończyka; z ramion jego spływał płaszcz złocisty, perłami szyty, na głowie miał złocistą koronę, w której świeciły klejnoty. Obok niego, piękna królowa Bona, której rysy twarzy zdradzały, iż z włoskiej ziemi do nas przybyła, strojna w jedwabie, złoto, klejnoty, w koronie i płaszczu królewskim, dumnem wejrzeniem wodzi dokoła. Król uśmiechał się do ludu, ściśniętego na rynku, by go ujrzeć, krzyczącego radośnie na jego widok, i skinieniem głowy odpowiadał na jego przychylne wołania. Królowa obojętnie i wyniośle przyjmowała te oznaki czci i uwielbienia. Między nimi widać było maleńkie chłopię, o wielkich czarnych oczach, Bonę przypo-

minających, w aksamitnej, złotem haftowanej sukni. To syn Zygmunta i Bony, jedyny następca tronu Jagiellonów. Wysunąwszy główkę z pomiędzy ojca i matki, jak piskle z gniazda, zdziwionemi oczyma przypatrywał się ludowi i drobną rączką posyłał mu podziękowania za te radosne powitania.

Królewską kolebkę otaczali dworzanie na rączych, pięknych rumakach, a szaty ich i czapraki rumaków bogate były. Najpiękniejsze barwy, najdroższe klejnoty na nich świeciły; jedni przybrani byli w żupany i kontusze, drudzy w obcisłe suknie niemieckie. Za dworzanami ciągnęły kolasy panów świeckich i duchownych: złociste, szkarłatne, najrozmaitsze. W jednych widać było biskupów w infułach i sukniach świątecznych, w innych — kasztelanów i wojewodów, w kosztownych szubach futrem podbitych, w kaftanach sobolowych, przy których błyszczały spinki brylantowe; w innych jeszcze — dwór niewieści Bony: więc poważne niewiasty, strojne w materye kosztowne, i młode dziewice w białych szatach, w wieńcach zielonych na głowie, z włosami rozpuszczonemi, któremi wietrzyk wiosenny dowolnie igrał.

Tłum krzyczał głośno:

— Niech żyje król Zygmunt! Niech żyje królowa Bona!

Czapki powiewały w górze... tysiące rąk podnosiło się ku błękitom. Konie musiały zwolnić

biegu, aby nie tratować ludzi. Wreszcie kolasy wtoczyły się na rynek, i zatrzymały przed owem wzniesieniem, na którem widać było krzesła i ławy. Halabardnicy utorowali drogę królowi i krokiem poważnym Zygmunt Stary z żoną i synem weszli po schodach na rusztowanie, kobiercami zasłane, i w krzesłach miejsca zajęli. Za nimi pośpieszyli dworzanie i niewiasty. Zapełniono ławy: królewicz obok ojca stanął, a obok niego dwoje pacholąt. Chłopięta te trzymały szkarłatne poduszki: na jednej leżał szczerbiec Chrobrego, na drugiej — jabłko i berło królewskie.

Lud jeszcze krzyczał: „Niech żyje król Zygmunt!“ gdy nowy turkot zagłuszył te krzyki, i nowy szereg kolas się ukazał... Jacyś goście na rynek dążyli, goście obcy, bo ci, co siedzieli w pojazdach, po cudzoziemsku wszyscy byli ubrani; ani jednego kontusza nie było wśród nich.

Lud umilkł na chwilę, poczem dały się słyszeć pojedyńcze wołania:

— Niech żyje książę Albrecht!

Lecz w wołaniu tem nie brzmiały ni radość, ni zapał, za to liczniejsze były szmery:

— Jest też kogo witać! mało oni krwi naszej wytoczyli!

Kolasy przybyłych gości zatrzymały się, jak i poprzednie, przed rusztowaniem, na którem siedział król Zygmunt z rodziną i dworem. Z pierwszej wysiadł młodzieniec dorodnej postawy, lecz

chmurny czegoś, błyszczący od złota, jedwabiów i złotych kamieni: był to Albrecht, dawny mistrz krzyżacki, dziś książę pruski. Wielkie zmiany zaszły były w tym czasie na ziemi Pruskiej i w zakonie Krzyżaków, do którego część wschodnia Prus jeszcze należała. Roku 1510-go obrany został mistrzem zakonu Albrecht, książę brandenburski, syn siostry Zygmunta Starego, Zofii. Albrecht, przybywszy do Prus, zwinął zakon i zrzuciwszy płaszcz krzyżacki i tytuł mistrza, przybrał świeckie suknie i kazał się nazywać księciem. Wielu Krzyżaków poszło za jego przykładem, i zmieniwszy suknie zakonne na zwyczajne, życie świeckie wieść poczęli; ci zaś, co tego nie chcieli uczynić, opuścili Prusy. Albrecht sądził, iż król Zygmunt, będąc jego wujem, pozwoli mu wyłamać się zpod obowiązku, który jeszcze mistrz Henryk von Plauen na zjeździe Toruńskim roku 1466-ym zaciągnął, iż Krzyżacy hołd królom polskim składać będą; stąd z roku na rok odkładał swój przyjazd do Krakowa. Lecz nadzieja go omyliła. Zygmunt, choć wujem, nie zapomniał, że jest królem, i zażądał, by Albrecht niezwłocznie hołd złożył. Rad nie rad, musiał mu uledz w końcu książę pruski, tembardziej, iż pragnął, aby Zygmunt uznał go księciem, i pośpieszył do Krakowa. Wysiadłszy z kolasy podążył ku tronowi; tuż przy nim postępowali dwaj jego bracia, Jerzy i Fryderyk, a poprzedzali go — bi-

skup i radcy pruscy. Ci, przystąpiwszy do tronu, klękli i prosili króla, by księciu Prus hołd złożyć pozwolił; w imieniu Zygmunta odpowiedział biskup krakowski Piotr Tomicki:

— Niechaj książę przystąpi.

Albrecht się zbliżył, przyklęknął, panowie pruscy go otoczyli. Jeden z nich podał księciu piękną, białą, atłasową chorągiew; wiatr rozwiał proporzec i ukazał się na niej orzeł czarny o szponach złocistych, w koronie na szyi. Na piersiach owego orła świeciła cyfra królewska.

Tłumy się uspokoiły... każdy niemal oddech wstrzymywał, by przysięgę usłyszeć. Zaległa uroczysta cisza... Książę Prus, głosem donośnym, wyraźnie i wolno, tak, że nawet ci, co pod murami domów stali, zrozumieć go mogli, począł mówić:

— „Ja, Albrecht, książę pruski, margraf brandenburski, ślubuję i przysięgam Bogu wszechmogącemu, iż, począwszy od tej chwili, wiecznie chcę być wiernym, podległym, lennym i posłusznym, ze wszystkimi poddanymi, najjaśniejszemu monarsze i panu, Zygmuntowi, jego następcom i koronie, jako przystoi na pokój miłującego, lennego i pod hołdem zostającego księcia i według stosunku uporządkowanych, w czem mi Boże dopomóż przez Twą Świętą Ewangelię.“

To powiedziawszy, książę złożył kornie ręce na piersiach i głowę pochylił, a król, wziąwszy

miecz z poduszki, którą mu podał jeden z panów, uderzył nim Albrechta trzykrotnie po ramieniu, poczem przypasał mu do boku miecz i na szyję włożył złoty łańcuch.

Teraz lud poruszył się znowu. Zaszumiało na rynku, jak na polu, gdy wiatr kłosami zboża potrąci, i znowu o niebiosa radosne okrzyki ludu się obiły:

— Niech żyje Zygmunt! — drżało w powietrzu.

— Niech żyje Zygmunt! — krzyczał lud, który szczerze kochał swego króla, bo czuł się szczęśliwym pod jego panowaniem, bo ziemia jego dzięki Zygmuntowi była potężną, bo sąsiedzi ją szanowali i nie śmieli czynić najazdów...

Po skończonym obrządku pośpieszyli wszyscy do kościoła katedralnego, gdzie biskup odprawił uroczyste nabożeństwo; następnie król panów do siebie na zamek zaprosił. Nazajutrz dopiero Albrecht opuścił mury Krakowa, uznany przez Zygmunta Starego za księcia Prus. Taki był koniec Zakonu Krzyżackiego, taki początek owego potężnego państwa, które dziś nazwę Królestwa Pruskiego nosi.

II.

Jan z Tarnowa.

Wieść bardzo smutna rozbiegła się po kraju: Wołosi, sąsiedni Polsce lud, wpadli w jej granice, zdobyli kilka miast i paląc, rabując, posunęli się do Halicza. Mieszkali oni na południowo-wschodniej granicy Polski. Niegdyś tworzyli potężne, niezależne państwo. Potem ulegali kolejno różnym mocarstwom Europy; następnie oswobodzili się i mieli znowu udzielnych hospodarów czyli królów — tak bowiem swych władzców nazywali.

Hospodarowie wołoscy, nie czując się dość silni, by o własnej mocy istnieć, zawsze czyjejś opieki wzywali, i gdzie korzyści dla siebie większe widzieli, na tę stronę się przechylali i tej schlebiali. A że sąsiadowali z Turkami, Polską i Węgrami, więc raz Polski, raz Turcyi, raz Węgier lennikami się uznawali; to z Turcyą lub Węgrami na Polskę uderzali, to łączyli się z Polską przeciw Turcyi. Różnie bywało...

Był to lennik niewierny, sąsiad zdradziecki, niepewny zawsze — z którym wiele było kłopotu.

I teraz oto, podmówieni przez Turków Wołosi wpadli niespodzianie w granice Polski i spustoszenia w niej poczynili. Gdy wieść o tym najeździe doszła do Krakowa, król Zygmunt zwołał na-

tychmiast rycerstwo i powierzywszy nad niem dowództwo Janowi Tarnowskiemu, wysłał go przeciw groźnemu nieprzyjacielowi.

Po długim, kilkodniowym pochodzie, wojska dotarły pod zamek Gwoździ, który Wołosi zajęli. Tarnowski przypuściwszy doń szturm, zdobył go z łatwością, Wołochów wygnał i rozgościł się w zamku ze swoim hufcem: miał zamiar spędzić w nim noc Już wieczór zapadał. Na niebie pojawiły się gwiazdy, a wśród nich wspaniała kometa, której złoty warkocz rozlewał się szeroko po szafirowem sklepieniu niebios. Zabobonni żołnierze spoglądając na nią mówili, że to rózga boża na Wołochów i z dobrą myślą zabierali się do spoczynku, gdy wtem nadbiegł do zamku zdyszany goniec, wysłany do Tarnowskiego, i zakłócił ogólny spokój. Doniósł on, iż Petryłło nadciąga z olbrzymiemi siłami, że wiedzie ze sobą 24,000 wojska. Powstał popłoch wśród zwycięzców... Zewsząd poczęły odzywać się głosy:

— Wracajmy do domu.

Żołnierze, pokazując sobie kometę, kiwali głowami i mruczeli:

— Kto wie, na kogo ona, komu grozi...

Popłochowi temu dziwić się nie było można. Jan z Tarnowa miał tylko sześć tysięcy wojska ze sobą.

Kilku starszych rycerzy postanowiło zwrócić uwagę hetmana na nierówność sił i nakłonić go,

by cofnął się do Halicza. Znaleźli Tarnowskiego w jednej z izb zamkowych, zajętego rozpatrywaniem karty, która miała go obznajmić z miejscowością; widocznie myślał o spotkaniu. Zbliżyli się do niego pokorni i pokłon mu złożywszy spoglądali na siebie, który ma przemówić pierwszy.

Hetman podniósł pełne zadumy czoło.

— Co waszmościów do mnie przywiodło? — zapytał.

— Z radą przychodzimy — odparli razem.— Nieprzyjaciel cztery razy liczniejszy od nas; potykać się z nim, znaczy to samo, co śmierci dobrowolnie szukać. Pono rozsądniej będzie usunąć się im z drogi...

Hetman porwał się ze stołka: twarz jego pociemniała z gniewu, brwi najeżyły się, a oczy skry rzuciły, aż pobledli ci, co przed nim stali.

— Nie daj tego Boże, abym tył nieprzyjacielowi, nie widząc go, podawać miał — rzekł głosem silnym. — Tu albo umrzeć, albo wygrać.

To powiedziawszy, podniósł hardo czoło, a twarz mu tak pięknym blaskiem rozjaśniła się, iż ci, co do odwrotu namawiali, uczuli się tak małymi, tak nędznymi wobec niego, że, oczy spuściwszy, patrzeć nań nie śmieli.

Ucichły szemrania niechętnych; każdy w milczeniu, pośpiesznie spełniał rozkazy wodza...

Jan z Tarnowa, zostawiwszy w zamku silną załogę, z resztą wojska ruszył naprzeciw nieprzy-

jaciela. Dotarłszy do wsi Obertyn, tu się zatrzymał i kazał rozbić namioty. Rozległa równina, najeżona dokoła wzgórzami, zdała mu się być miejscem dogodnem. Mimo nocy głębokiej, gdy namioty rozbito, wódz kazał otoczyć je wałem, dokoła kilka tylko wnijść zostawiwszy, a wały rowem okopać; na wałach ustawiono pospinane wozy, — między niemi zaś działa. Gwiazdy przyświecały tej mozolnej pracy, a z niemi razem — groźna kometa, na którą ciemni ówcześni ludzie z niedowierzaniem spoglądali.

Świt zastał jeszcze żołnierzy przy pracy, gdy wreszcie wały i rowy były ukończone. Tarnowski umieścił na wozach strzelców, to jest piechotę, za strzelcami, w pół obozu na placu — konnicę zbrojną, poczem objechał cały obóz; każdemu rzekł dobre słowo, dodał otuchy, odwagi. Widząc pogodną, wesołą niemal twarz hetmana, wojsko nabrało ducha i bez strachu, a nawet z upragnieniem, wroga wyczekiwało.

Dnia 22-go ukazała się wdali jakaś olbrzymia masa, czarna, ruchoma, połyskująca, która zwolna posuwała się ku obozowi; pięćdziesiąt armat ciągnęło przodem, za niemi szły tłumy różnorodnej ludności. Byli tam Wołosi, Węgrzy i Tatarzy... więc stroje ich były rozmaite i broń różna i okrzyki niejednakowe. Prowadził ich sam Petryłło.

Na widok wroga krew rycerska zawrzała w żyłach żołnierzy: chcieli wybiedz z za wałów

i rzucić się na nieprzyjaciela, zapomniawszy w tej chwili o nierównej liczbie sił. Lecz hetman nie pozwolił: kazał stać i czekać.

Petryłło, ujrzawszy fortecę wśród pól naprzeciw siebie wzniesioną, ufając w swe siły olbrzymie otoczył ją wokoło i dla postrachu wroga kazał ze wszystkich dział naraz uderzyć. Pięćdziesiąt armat zagrało jednocześnie. Straszliwy huk wstrząsnął powietrzem; ze świstem złowrogim pociski wołoskie przebiegając powietrze wpadły do obozu Tarnowskiego, śmierć w nim szerząc. Ten i ów spadł z wozu, lecz natychmiast inni go zastąpili, a strzelając z rusznic, nawzajem kilku Wołochów ubili. Bój zawrzał zacięty — bój sił nierównych. Sześć tysięcy broniło się przeciw 24,000, to znaczy, iż każdy z tych sześciu czterech musiał zwalczyć. Jednak ci, co mniej silni byli, ani na chwilę nie ustępowali.

Pięć godzin szturmował do obozu Petryłło; wreszcie znudzony tą bezskuteczną strzelaniną, postanowił na miecze walkę rozpocząć i chytrze, jak zawsze działając, kazał, by jeden oddział Wołochów wdarł się niespodzianie do bocznej bramy w wale, obóz otaczającym się znajdującej. Stali tam na straży ze swoimi hufcami dwaj wodzowie: Andrzej Trojanowski, młody rycerz, pełen ochoty do boju, ale niedoświadczony jeszcze, i Balicki h. Topór, stary wojak. Gdy Wołosi przypadli do bramy, Trojanowski miał wielką ochotę pierwszy

spotkać się z nimi. Lecz przyszło mu na myśl, iż pierwszy raz dowodzi... mógłby błąd popełnić, wpuścić nieprzyjaciela do środka obozu i zgubić wszystkich, — wolał przeto dla dobra innych wyrzec się niepewnej sławy i ustąpił Balickiemu, który dzielnie uderzył na wroga. Rozpoczęła się teraz bitwa na miecze. Spostrzegłszy podstęp Petryłły, Tarnowski posłał Balickiemu pomoc. Wołosi i Polacy ścierali się mężnie; szable migały w ich dłoniach, szczękały uderzając o siebie, lub kaleczyły walczących... Krew tryskała za każdem uderzeniem.

Półtorej godziny trwała bitwa, a zwycięstwo na żadną stronę się jeszcze nie przychylało. Tarnowski pragnąc sprawę rozstrzygnąć, kazał naraz wybiedz całemu rycerstwu za wały i uderzyć na nieprzyjaciela.

Nie przypuszczając, że to ostatek sił, Wołosi przestraszeni zmieszali się i cofnęli. To dodało serca Polakom. Śmielej jeszcze i odważniej nacierać zaczęli, a im dzielniej się bili, tem więcej mieszali się Wołosi; nareszcie poczęli uciekać w największym nieładzie, co widząc Tarnowski puścił się za nimi w pogoń.

Wbiegłszy na jedno ze wzgórz, Petryłło obejrzał się za siebie i teraz dopiero poznał, jak nieliczne są siły wroga. Chcąc zawrócić, wołał na swoich, krzyczał by się zatrzymali; lecz czy hałas zagłuszył krzyk jego, czy ze strachu żołnierze go

nie rozumieli, dość, że coraz prędzej uciekali, zostawiając za sobą działa, chorągwie, namioty, broń, sprzęty, żywność, konie i rannych. Widząc że ich nie zatrzyma, hospodar sam za nimi podążył.

Tak garstka odniosła zwycięstwo nad cztery razy silniejszym wrogiem. Rozgromiwszy zupełnie Wołochów, Tarnowski nakazał odwrót. Cały obóz Petryły dostał się w jego ręce: 50 armat, 80 chorągwi, więcej niż tysiąc Wołochów i mnóstwo sprzętów, broni, siodeł i koni. Rozdawszy łupy zdobyte, prócz chorągwi i armat, w nagrodę walecznemu rycerstwu, hetman nazajutrz rano, po wysłuchaniu dziękczynnego nabożeństwa, kazał zwinąć namioty, wozy ściągnąć z wałów; na jednych złożono rannych, na drugich namioty, i ruszono w tryumfie ku domowi.

Jakże wdzięczni byli teraz rycerze hetmanowi, iż głosu trwogi nie posłuchał. Wracali do braci, do kraju, jako bohaterzy...

Przed zwycięskiemi hufcami toczyło się zwolna pięćdziesiąt dział, zdobytych na nieprzyjacielu; włoskie sztandary powiewały nad ich głowami, szeleszcząc im o sławie, o czynach, jakich dokonali. Za nimi postępowało tysiąc jeńców, za jeńcami ciągnęły wozy, z namiotami i łupami zdobytemi na Wołochach wyładowane. Orszak ten tryumfalny prowadził bohater dnia, mąż dorodny, Jan z Tarnowa.

Zadowolony z odniesionego zwycięstwa, król Zygmunt, dowiedziawszy się, że hetman już do stolicy się zbliża, wyjechał na jego spotkanie z panami i dworem całym. Na błoniach, rozciągających się pod Krakowem, ustawiono tron i ławy; tutaj król postanowił powitać bohatera i podziękować mu uroczyście.

Oto jak pięknie tę chwilę opisał jeden z naszych poetów, Edmund Wasilewski.

„Z pod Obertyna wracał Jan z Tarnowa,
A nad nim sztandar tryumfu wiał,
W gałązkach dębu jego siwa głowa,
A w oczach ogień zapału tlał.
A przed nim szło pięćdziesiąt dział
I u stóp króla usiadły,
A za działami zdobyte sztandary,
Pod stopy króla się kładły.
I z gołą głową wołoskie bojary,
Na twarz przed królem upadły.
I zstąpił z tronu on król sędziwy,
Jana do serca przycisnął.
Sławą narodu dumny, szczęśliwy,
Łzą rozczulenia zabłysnął".

III.

Barbara Radziwiłłówna.

Zabrzmiały wszystkie dzwony kościołów wileńskich echem żałobnem, niosąc wieść mieszkańcom, iż król Zygmunt I umarł w Krakowie. Było to roku 1548. Pierwej od wszystkich dowiedział się o tej śmierci Zygmunt August, syn zmarłego, który bawił właśnie w Wilnie. Żal głęboki przejął jego serce; zamknięty w zamku książęcym przez parę dni ukrywał przed ludźmi swój smutek i rozmyślał nad ważnemi obowiązkami, jakie go czekały, a także i nad ważną sprawą osobistą, iż ożenił się, nie pytając panów o radę co do wyboru, jaki uczynił.

Za czasów Piastów królowie mieli władzę nieograniczoną: każdy z nich był panem życia i śmierci swych poddanych. Za Jagiellonów zmieniło się to... Jagiellonowie, coraz nowe przywileje nadając panom, coraz bardziej władzę swą ograniczali; doszło wkońcu do tego, iż królowie nic nie mogli postanowić, nie zapytawszy pierwej sejmu, a raczej panów, czy zgadzają się na to. Nie mogli własnowolnie nakładać podatków, wypowiadać wojny obcym narodom, lub z pomocą im śpieszyć; niewolno im było rozdawać urzędów bez pozwolenia panów, naznaczać następców po

Pogrzeb Barbary.

sobie; niewolno im było nawet żony wybierać dowolnie. Polska z monarchii stała się rzecząpospolitą: król był tylko królem imiennie, a w istocie był najstarszym urzędnikiem, zawiadowcą ziemi, która nie była jego własnością, lecz narodu całego... Zygmunt August stał się przeto nieposłusznym prawom, jakie poprzednicy jego panom nadali, gdyż nie pytając ich o pozwolenie, ożenił się. Domyślał się on, iż krok jaki uczynił, wywoła gniew i oburzenie panów; taić nie chciał wszakże dłużej swego małżeństwa. Rozesłał po Wilnie i okolicznych siołach panom litewskim rozkaz, by przybyli do niego na zamek dnia 17 kwietnia, a gdy zebrali się licznie, gdy powitał wszystkich, wtedy, powstawszy z książęcego krzesła, rzekł do zebranych:

— Co słuszne i nader ważne przyczyny zmuszały mnie taić dotąd, to dziś wam odkryję... Barbara Radziwiłłówna, wojewodzina Trocka, jest moją żoną, oddaną mi w małżeństwo obrządkiem chrześcijańskim w obliczu krewnych. Wiecie, iż związku takiego, prawnie pomiędzy chrześcijanami zawartego, żadna moc w świecie zerwać nie może.

To powiedziawszy, przeszedł salę krokiem majestatycznym, zbliżył się ku podwojom, wiodącym do bocznych komnat i roztworzył je naoścież... Zebrani w sali ujrzeli w progu drzwi

Barbarę w stroju królewskim, braćmi swymi i paniami, które dwór jej stanowić miały, otoczoną.

Król podszedł ku niej, ujął ją za rękę i do sali wprowadził.

— Życzeniem mojem jest — ciągnął dalej — abyście panowie tej, którą ja za wolą Bożą pojąłem za żonę, cześć, jako królowej i pani, oddawali.

Panowie pochylili się kornie przed Barbarą, lecz na niejednej twarzy czytać było można gniew i rozdrażnienie... Jedni oburzali się na króla, iż złamał ich przywileje; drudzy zazdrościli Radziwiłłom, iż przez to małżeństwo króla spokrewnieni z nim zostali; jedni i drudzy w duszy przyrzekali, iż zerwą ten związek.

Król zaprosił panów na ucztę i podejmował hojnie, częstował, poił, karmił. Lecz gościnność gospodarza nie przejednała niechętnych: wróciwszy do domu, toż samo postanowienie powtórzyli sobie w duszy, iż zerwą królewskie małżeństwo.

Nazajutrz po przedstawieniu żony panom litewskim, Zygmunt August pośpieszył do Krakowa, gdzie miał się odbyć pogrzeb zmarłego króla. Barbarę w Wilnie zostawił; chciał pierwej uprzedzić panów koronnych o swem małżeństwie, a potem dopiero sprowadzić żonę.

Niespokojnie czekała Barbara wieści od męża; tydzień niepewności wydał jej się wiekiem. Wresz-

cie przyszły od króla listy: napisał do żony, by z bratem swoim do Krakowa się wybrała...

W licznym orszaku panów i pań puściła się Barbara w podróż; Zygmunt August wyjechał naprzeciw niej aż do Radomia. Droga na której król miał się spotkać z żoną, cała była wysłana suknem czarnem. Z dwóch stron zatrzymały się na niej kolasy: Barbara i Zygmunt wysiadłszy pośpieszyli naprzeciw siebie, za nimi zaś szli panowie i panie. Panowie krakowscy przypatrywali się ciekawie Barbarze: piękna i strojna, czyniła na nich wrażenie.

— Nie dziw, iż ją wybrał — szeptali. — Niemniej królową nie będzie — dodawali następnie.

Niewesołe było powitanie małżonków: August oznajmił żonie, iż do Krakowa zabrać jej nie może... Matka Zygmunta Augusta, królowa Bona, z domu księżniczka włoska, kobieta dumna, nie mogła darować synowi, iż taki wybór uczynił. Ona dla jedynaka o królewnie marzyła... Podburzała przeto panów, by zerwano małżeństwo, wystawiając im, o ile będzie korzystniej, gdy król poślubi córkę jednego z monarchów Europy, przez co naród zyska sprzymierzeńca potężnego Podburzeni panowie zażądali zwołania sejmu, na którym postanowili się rozmówić z Zygmuntem Augustem w sprawie jego małżeństwa.

Nie chcąc narażać żony na spotkanie z tymi, którzy jej byli niechętni, Zygmunt August na-

mówił ją, by w Radomiu została, dopóki nie uspokoi umysłów, sam zaś podążył do Piotrkowa, gdzie sejm miał się zebrać.

W starym zamku miasta Piotrkowa, w jednej z wielkich jego sal, zajęli ławy posłowie ziemscy, krzesła — urzędnicy wyżsi, świeccy i duchowni, zwani senatorami, wśród tych król, cały w czerni, smutny, zgnębiony... Nie wzruszył ten widok panów: zbliżając się kolejno do tronu, wszyscy w kornej postawie, lecz tonem stanowczym prosili, by zerwał małżeństwo z Barbarą, zaklinając go, by uczynił to dla dobra państwa.

Długo w milczeniu, z głową ku piersiom zwieszoną, słuchał ich Zygmunt.

Ośmieleni tem, sądząc, iż nakłania się już do próśb, padli przed nim wszyscy na kolana i błagać go ze łzami poczęli, by uległ ich przedstawieniom.

Zmieszany tym postępkiem król, podniósł się z tronu i odkrył głowę.

— Powstańcie panowie — rzekł — przed Bogiem tylko się klęka; zbyt ważna to rzecz, której odemnie żądacie, bym lekkomyślnie miał odpowiedzieć. Rozważę, zastanowię się i po namyśle odpowiem.

To powiedziawszy opuścił salę; za jego przykładem rozeszli się i panowie. Lecz nazajutrz sala zamkowa znowu się zaludniła i powtórzyła się scena z dnia poprzedniego... Znowu senatoro-

wie i posłowie podnosili się kolejno z krzeseł i ław, zabierali głos, błagając króla, by zerwał z Barbarą. Zygmunt August łagodnie odpowiadał, lecz z jego słów wnosić było można, iż nie tak łatwo ustąpi. To podniecało panów... coraz natarczywiej nalegali, coraz głośniej, energiczniej żądali rozwodu.

— Wolałbym Solimana w zamku krakowskim zobaczyć, niż Radziwiłłównę — wołał Piotr Kmita, wojewoda Krakowski.

— Wolałbym w turmie siedzieć, niż widzieć nasze przywileje złamane — krzyczał inny.

W sali podniósł się gwar przykry, źle wróżący dla króla. Wtem u drzwi głównych hałas jakiś dał się słyszeć... Wszyscy zwrócili w tę stronę spojrzenia i na chwilę w sali ucichło... We drziach widać było gromadę ludzi, a wśród nich, na wywyższeniu, starca z głową siwizną przypruszoną: był to Jan Tenczyński, wojewoda Sandomierski. Bezwładny, gdyż nogi miał sparaliżowane, kazał się zanieść służbie do sali senatu — mimo kalectwa przybył na sejm. Gdy go z krzesłem pachołcy wśród sali przed królem postawili, oparłszy się obu rękoma o poręcze krzesła, dźwignął się na pół i pochylony naprzód, rzekł głosem drżącym:

— Jużem jedną nogą w grobie, jednak przybyłem tutaj, królu, błagać cię, byś uległ woli narodu: „Głos ludu, głosem Boga“ mówi przysłowie.

Lud żąda od ciebie ofiary — uczyń ją, gdyż Bóg jej żąda.

Lecz Zygmunt August był dzisiaj nieugięty.

— Co się stało, odstać się nie może — odparł stanowczym tonem — a waszmościom przystało nie o to mnie prosić, bym żonie wiarę złamał, lecz raczej o to, żebym jej każdemu człowiekowi dochował. Przysiągłem żonie i nie odstąpię jej, póki mnie Pan Bóg na świecie chować będzie.

To powiedziawszy, rozżalony opuścił salę.

Słowa jego zmieszały obradujących. W istocie, czegoż żądali od króla... złamania przysięgi przed Bogiem uczynionej — boć przecie biorąc ślub z Barbarą, przysiągł jej przed ołtarzem, że jej do śmierci nie opuści. Ten i ów poczuł wyrzuty sumienia, lecz większość burzyła się; obrady trwały dalej, lecz nieobecność króla niepozwoliła sprawy rozstrzygnąć. Trzeciego dnia znowu razem z Zygmuntem Augustem się zebrali, znowu go namawiali do zerwania małżeństwa, lecz on ustąpić im nie chciał. Pięć dni trwał sejm; nakoniec, widząc nieugiętość króla, panowie rozjechali się każdy do siebie. Król do Krakowa podążył; wkrótce wezwał żonę, by pośpieszyła do stolicy, postanowił bowiem dłużej nie czekać.

Wjazd Barbary świetnym nie był: garść tylko panów pośpieszyła naprzeciw niej, większość zaś z królową Boną udała się do Warszawy, unikając z nią spotkania.

Barbara zajęła na zamku krakowskim pokoje w których zwykle królowe mieszkały, chociaż ukoronowaną nie była. Łagodnością, płacąc dobrem za obojętność i niechęć, jakie ją otaczały, starała się zjednać sobie serce narodu, i powoli najzagorzalsi jej przeciwnicy poczęli miękнąć, coraz byli dla niej uprzejmiejsi. Ci, co oddalili się do Warszawy, powracali do Krakowa i hołd jej złożyli. Nakoniec wszyscy zgodzili się na koronacyę Barbary.

Dnia dziewiątego grudnia katedra wawelska zajaśniała od tysiąca świateł, a w progu jej drzwi ukazał się orszak wspaniały... Przodem szedł Piotr Kmita, ów najuporczywszy wróg Barbary, niosąc w ręku laskę, godło marszałka koronnego. Za nim Barbara w stroju królowej, w sukni błyszczącej od pereł i klejnotów, w płaszczu purpurowym, podbitym gronostajami; obok niej Zygmunt August. Ten miał już na głowie koronę. Przed wielkim ołtarzem stały dwa trony, obite suknem szkarłatnej barwy. Zajęła je królewska para, ozwały się uroczyście organy, i biskup przystąpił do ołtarza, by Mszę odprawić. Po jej ukończeniu, otoczony duchowieństwem, przystąpił do Barbary i namaściwszy ją olejem świętym włożył jej na głowę koronę. Radosne okrzyki ludu powitały piękną królowę, gdy wyszła z przedsionka kościoła, i odprowadziły ją aż do zamku, gdzie gości czekała wspaniała uczta.

Niedługo wszakże cieszyła się Barbara koroną: rozwinęła się w niej choroba śmiertelna... Ci, co niegdyś przykrości jej wyrządzali, teraz żałując swego postępowania starali się nagrodzić je: ubiegali się w usługach dla królowej, w okazywaniu jej przychylności... Nie uleczyli jej jednak — choroba szybkie czyniła postępy.

Było to dnia pierwszego kwietnia r. 1551. Pięć miesięcy upłynęło zaledwie od koronacyi Barbary, która nie opuszczała już teraz łóżka. Blada, bezsilna leżała oparta o poduszki, a łoże jej otaczali mąż, oraz liczni przyjaciele. Wtem dano znać królowi, iż poseł, przysłany z Warszawy od Bony, pismo jakieś przywiózł. Król kazał posła wpuścić. Wszedł mnich, Franciszkanin, i pokłoniwszy się kornie Zygmuntowi oraz jego żonie, rzekł:

— Najjaśniejsza królowa Bona, pani najmiłościwsza, widząc tu wolę niebios, których rozkaz panuje wszystkim na ziemi, jako też życzenie Jego królewskiej mości, najukochańszego syna swego, którego chęciom nie godzi się opierać, aby Waszą Królewską Mość pojął za najukochańszą małżonkę swoją, po długim a dojrzałym namyśle przyrzeka uznać i szanować Waszą Królewską Mość, jako córkę i synową najukochańszą, którą przezemnie, spowiednika swego sumienia, pozdrawiając, zasyła za nią modły do nieba, aby Waszej Królewskiej Mości dało rychłe wyzdrowienie z tej

niemocy i wszelkie sukcesa i pomyślność na przyszłość...

To powiedziawszy podał Barbarze list Bony. Smętny uśmiech okolił usta chorej.

— Oby życzenia te Bóg spełnić raczył — szepnęła słabym głosem.

Lecz inna była wola Boża. W kilka dni po otrzymaniu listu od matki męża — Barbara umarła. Żal narodu był wielki; lecz nie można go porównać z żalem Zygmunta Augusta. Ten był niepocieszony.

Barbara umierając prosiła męża, by ją pochował w Wilnie. Stosując się do jej życzenia, król kazał zawieźć jej ciało do stolicy Litwy. Cały miesiąc trwała ta smutna podróż. Sam Zygmunt August odwiózł trumnę żony, prawie nie odstępując zwłok. W grubej żałobie jechał tuż za kolasą kirem obitą, ciągnioną przez cztery kare rumaki; w kolasie tej spoczywało ciało Barbary. A gdy wjeżdżali do jakiego miasta lub wsi, wówszas panowie mary brali na barki, król zsiadał z konia i pieszo szedł za niemi.

Barbara pochowana została w kościele katedralnym miasta Wilna.

IV.

Pogrzeb ostatniego Jagiellona.

W trzy lata po dokonaniu unii lubelskiej Zygmunt August umarł w Knyszynie na Podlasiu, dokąd oddalił się z powodu szerzącej się w Krakowie zarazy; a że nie zostawił po sobie syna, ród Jagiellonów wygasł na nim. Żal było narodowi tego dobrego króla, żal mu było zacnego rodu, pod którego rządami czuł się szczęśliwym. Tłumy ludu i tłumy panów odprowadziły ciało zmarłego z Knyszyna do Krakowa, gdzie w grobach wawelskich miał być pochowanym. Na spotkanie zwłok królewskich ze starej stolicy Jagiellonów wyszło duchowieństwo ze wszystkich kościołów -- wyszli profesorowie Akademii z uczniami i dziatwa szkół niższych, i posłowie państw zagranicznych: niemiecki, francuzki, węgierski, szwedzki, wenecki; wyszli panowie Polski, Litwy, Prus i Pomorza... Na wozie, kirem okrytym, spoczywały mary, zasłane całunem srebrem oszytym; przed niemi szli, ze śpiewami smutnemi, zakonnicy Franciszkanie, w ciemnych habitach, Dominikanie w białych szatach, Karmelici, zwani bosymi, i wiele, wiele innych klasztorów. Każdy zakonnik świecę woskową zapaloną w ręku trzyma;

idą powoli, suną niby duchy; kapturami twarze zasłonili, głowy ku piersiom mają zwieszone. Za nimi księża świeccy — potem uczniowie Akademii z profesorami, dziatwa szkół niższych, a na ich czele bakałarze. Potem bractwa różne ze światłem i chorągwiami. Za niemi trzydzieści wozów czarnych z trumnami, czterdziestu zbrojnych rycerzy na koniach, purpurą okrytych. Kilku z nich trzyma w dłoni chorągwie, a na chorągwiach godła różne świecą. Za rycerzami widać na koniu królewskim jakiegoś męża w zbroję królewską od stóp do głów przybranego, a tak podobnego postawą do Zygmunta Augusta, iż, rzecby można, że to on sam. To Jerzy Mniszech, krajczy królewski: przedstawiać on ma na tej uroczystości króla. Za Mniszchem panowie niosą klejnoty koronne: Andrzej Zborówski — miecz, Piotr Zborowski — jabłko, Jan Firlej — berło. Za nimi ciągnie wóz żałobny, wyższy nad inne, tak wysoki, iż trumna królewska całunem zasłonięta nad całym tym pochodem góruje, a całun taki długi, iż srebrne jego frędzle wloką się po ziemi. Obok wozu, z każdej strony widać pięćdziesięciu dworzan: suknie na nich ciemne, klejnoty nie świecą, i twarze ich smutne także.

Gdy kondukt żałobny zbliżył się do bramy floryańskiej, zatrzymał się tutaj. Zdjęto z wozu mary królewskie, i sześciu panów, w czarnę aksamity przybranych, wzięło je na barki. Przed nimi

stanął herold, który wielką szkatułkę, pełną złota, dźwigał.

Żałobnym jękiem ozwały się dzwony kościołów krakowskich... Orszak pogrzebowy wkroczył w ulice starego grodu. Tłum ludu wyległ na jego powitanie; herold rzucał mu garściami ze szkatuły złoto, a lud chwytał pieniądze i za duszę króla pacierze szeptał... Brzmią głucho dzwony kościołów, mieszają się z niemi psalmy zakonników i szept pacierzy i szlochanie ludu. Tuż za zwłokami idzie siostra zmarłego, królewna Anna, cała w czerni. Prowadzi ją dwóch posłów: francuski i niemiecki. Za nimi przedstawiciele innych państw Europy... Idą z głowami odkrytemi: dwór niewieści Anny— poważne matrony i młode dziewice, jedne i drugie w żałobnych sukniach; potem znowu panowie, towarzysze, przyjaciele i dalsi krewni króla. Za panami, w kolebce złocistej, widać arcybiskupa gnieźnieńskiego, który dla wieku pieszo iść nie może; za nim jedzie jeszcze kilku panów świeckich i duchownych, którym wiek lub choroba karety opuścić nie pozwala.

Pochód wstępował kolejno do główniejszych kościołów Krakowa. Wchodzili panowie z marami, stawiano dwa naczynia, w które kto chciał rzucał ofiarę na kościół. Księża psalmy przy trumnie śpiewali.

Obszedłszy główniejsze ulice, pochód podążył na zamek. Mary wniesiono do kościoła katedral-

nego i umieszczono je w pięknej marmurowej kaplicy katedry wawelskiej, gdzie obok zwłok ojca stanęły.

Na trumnie Augusta wyryty był napis:

„Zygmuntowi Augustowi, synowi Zygmunta, królowi Polski, Litwy i reszty Sarmacyi; panu, który przez powiększenie Rzeczypospolitej i wcielenie Litwy do Królestwa, zjednał sobie chwałę. Królowi, króla synowi, wnukowi, prawnukowi i praprawnukowi, który nie mając potomstwa zamknął swój żywot i ród, oraz panowanie Jagiellonów, do 200 lat w Polsce, a dłużej jeszcze w Litwie trwające. Pan ten, prędszy do rady niż do czynu, w obu jednak tych razach łagodny, przewidujący, ojcowski, powolny, łaskawy. Zmarł w Knyszynie d. 7 Lipca r. 1572“.

Po odprawionem nabożeństwie tłumy rozeszły się do gospód. Posłowie i dworzanie razem z królewną Anną na zamek podążyli.

Przez kilka dni powtarzano tę ceremonię pogrzebową; obnoszono w uroczystym pochodzie mary królewskie po ulicach Krakowa, rozdawano ludowi pieniądze. Nareszcie, dnia 7 lutego, zakończono obrzędy. Postawiwszy trumnę przed wielkim ołtarzem, panowie złożyli na niej klejnoty koronne, poczem arcybiskup krakowski zbliżył się do ołtarza i nabożeństwo odprawił. U stóp ołtarza klęczała, płacząc cicho, królewna Anna; panowie ławy i krzesła zajęli. Na chórze artyści

dworscy śpiewali psalmy żałobne, wtórując organom. Wreszcie nabożeństwo skończono. Arcybiskup odszedł od ołtarza i siadł w biskupiem krześle, dlań przygotowanem. Na ambonę wszedł jeden z wymowniejszych ówczesnych kaznodziejów i piękną mowę pogrzebową wypowiedział, w której, chwaląc cnoty zmarłego, wzruszył do głębi obecnych. Gdy zszedł z ambony, wówczas ponure „Requiem“ zabrzmiało w kościele... Organy ucichły, a księża i zakonnicy, obchodząc mary, śpiewali po łacinie: „Spoczywaj w pokoju“.

Wtem do kościoła wkroczył na koniu Jerzy Mniszech... Koniuszy królewski prowadził jego konia; za nim weszło dwunastu rycerzy z chorągwiami. Zakonnicy usunęli się przed główny ołtarz i długim szeregiem tam stanęli. Gdy rycerze i Mniszech do trumny się zbliżyli, panowie zdjęli z niej klejnoty koronne i posłom je oddali. Naraz... straszliwy łoskot rozległ się w kościele... rozstąpiła się ziemia pod przedstawicielem króla. Jerzy Mniszech zapadł się pod nią i znikł obecnym z oczu... W tej samej chwili powstali posłowie i rzucili klejnoty koronne na ziemię, a rycerze drzewce chorągwi złamali... Miecznik skruszył miecz królewski, marszałek—laskę swoją. Głuchy hałas obił się o mury świątyni... wtórowały mu jęki i szlochania obecnych w kościele... Po tym obrządku panowie znowu przystąpili do mar, zdjęli z nich całun bogaty i złożyli go na ołtarzu,

poczem trumnę zanieśli napowrót do kaplicy. Za nimi szli wszyscy obecni w kościele, zawodząc głośno.

Żal narodu był szczerym, bo czasy panowania Jagiellonów do najszczęśliwszych i najświetniejszych liczyły się w Polsce, mianowicie czasy panowania dwóch Zygmuntów. Nazwali je potomni: *„Złotym wiekiem“*.

V.

Wolna elekcya.

Lubo śniegi pola zaścielają, lubo ostra, surowa zima króluje na ziemi, jednakże wieś Kamień, leżąca pod Pragą, wre życiem. Krzątają się ludzie żwawo na błoniach, zmiatają z nich śnieg, sypią dokoła wały, stawiają szopy. To naród Polski się krząta — czyni przygotowania do elekcyi. Zygmunt August umarł, syna nie zostawił, więc prymas, najstarszy urzędnik w państwie, rozesłał po kraju uniwersały, zapraszając panów do wsi Kamień na sejm elekcyjny. Kazał przygotować na ów zjazd namioty, boć pod gołem niebem, zwłaszcza w zimie, trudno radzić.

I stanęło niebawem niby miasto na błoniach wsi Kamień. W pośrodku widać wielki namiot,

tarcicami kryty; ściany jego płócienne, wewnątrz cały wysłany kobiercami. W pobliżu owego wielkiego namiotu wznoszą się mniejsze, dla posłów mocarstw zagranicznych, a dalej, pod samemi wałami — szopy o ścianach, z chrustu uplecionych. Tu szlachta usiądzie.

W wielkim namiocie stoi stół podłużny, czarnem suknem przykryty: na nim świecznik siedmioramienny. Wokół stołu — 28 krzeseł. Te przeznaczone są dla senatorów czyli starszych urzędników państwa, którzy tak wielkie mają znaczenie, iż król nawet nic bez nich postanowić nie może, a podczas bezkrólewia są władzą najwyższą.

W wałach, otaczających owe namioty, widać trzy bramy: jedna do Małopolski, druga do Wielkopolski, trzecia do Litwy prowadzi. Tak się wówczas Polska dzieliła.

Zaledwie przygotowania ukończono, zaledwie stanęły namioty i wały, na trzech drogach wiodących do wsi Kamień, zaczęły się snuć wspaniałe karoce panów. Za niemi — wozy z żywnością, ze sprzętami, ze służbą, boć nie na jeden dzień tu przyjeżdżano: sejmy czasem do miesiąca się przedłużały. Pomiędzy karocami panów widać skromne bryczki, na których wybrany przez braci na posła szlachcic wiezie z sobą trochę mięsa wędzonego oraz chleba, by módz czem głód podczas obrad zaspokoić, a pomiędzy bryczkami i karoca-

mi często przesuwa się jeździec na biednym nędznym koniku, lub pieszy wędrowiec z węzełkiem, przywiązanym do pasa, w którym ma chleba bochenek i sera krajankę. I ten także śpieszy do wsi Kamień, bo choć ubogi, prawie nikomu nieznany, kocha przecież swą ziemię, więc gdy bracia wybrali go na posła, chętnie rzucił rodzinę, rzucił zakon ojczysty, pracę domową, by radzić, kogo obrać na króla.

Zjazd panów, posłów cudzoziemskich i szlachty trwał parę miesięcy. Już śniegi były stopniały, surowa zima ustąpiła z ziemi — już skowronek oznajmił mieszkańcom wsi Kamień powrót wiosny, kiedy nareszcie wszyscy się zebrali i obrady rozpoczęto.

Dwudziestu ośmiu starców z białemi głowami zasiadło wokół stołu w wielkim namiocie. Siwe ich brody pasa sięgają. Jedni duchownych szaty mają na sobie, drudzy kontusze i żupany, lecz wszyscy wspaniale przybrani, w jedwabiach i złocie.

Najpierwsze miejsce prymas zajmuje. Infuła na głowie, suknia fioletowa, mówią, jaki urząd piastuje. Pierwszy on w państwie po królu, to też pierwszy podniósł się i głos zabrał. Przemawiał długo, poważnie, przedstawiając zebranym w namiocie panom, jak ważną chwilą jest elekcya, jak zgodnie radzić powinni Polacy, by prędzej króla wybrać, bo gdzie głowy niema, tam bezład

się wkrada; jak zastanowić się dobrze powinni, zanim głos za tym lub za owym kandydatem dadzą, aby wybór ich był rozumny. Wzruszył, przekonał obecnych; każdy w duchu postanowił stosować się do jego rad. Po tej przemowie panowie zaprosili posłów zagranicznych: wezwali najpierw posła papieskiego, pierwszeństwo panu jego oddając. Odziany w płaszcz purpurowy, kardynał Cammendoni wszedł do namiotu senatorskiego i zebranym się tam panom pokłonił z godnością, poczem głos zabrał. Nie polecał on nikogo; radził tylko w imieniu papieża, by Polacy, jako naród katolicki, króla katolika wybrali. Rada ta zgadzała się z życzeniami pnnów: i oni pragnęli króla katolika. Gdy poseł papieski się oddalił, wówczas weszli posłowie cesarscy, Rosenberg i Perstyn. Pierwszy przemówił po czesku. Wyraził najprzód swój żal z powodu śmierci Augusta; potem radził Polakom, aby wybrali królem syna cesarskiego, Ernesta, który przez babkę swą, Annę, córkę Władysława Węgierskiego, był spowinowacony ze zmarłym królem. Chwalił go, że dobry, rozumny, utalentowany, że płynnie mówi po czesku, a zatem i po polsku łatwo się nauczy, że przez niego Czechy połączyć by się mogły z Polską. Czynił piękne obietnice; lecz, jako przedstawicielowi Niemiec, panowie polscy niebardzo mu ufali i z niedowierzaniem słuchali.

Trzecim z kolei, który wszedł do namiotu senatorskiego, był Montluc, poseł francuski. Ten radził, by Polacy obrali sobie panem brata króla francuskiego, Henryka Valois. Wymowny, śmiały, przemawiał gorąco i tak się unosił nad przymiotami Henryka, takie obietnice panom czynił, iż wrażenie najsilniejsze wywołał. Obiecywał, że Henryk wystawi flotę na morzu, ubezpieczy port ryski, poprawi Akademię krakowską, że Francya w razie potrzeby pomoc zbrojną Polsce będzie przysyłać. Słuchali go z zajęciem panowie, lecz jak poprzedniemu, tak i temu odpowiedzi nie dali, bo nie od nich samych wybór króla zależał, ale od wszystkich na sejmie zebranych. Potem z kolei wystąpili z mowami poseł szwedzki i hiszpański, a mowy ich tyle czasu zajęły, iż zmierzch zaczął zapadać. Zdążyli jednak przemówić jeszcze Jan Tomicki, kasztelan gnieźnieński, i Jan Zamojski, starosta bełzki; obaj w kole senatorskiem zasiadali. Pierwszy, gdy poseł szwedzki się oddalił, podniósłszy się z krzesła, począł radzić, by zamiast cudzoziemca wybrać króla Polaka. Lecz Zamojski zaprotestował przeciw temu.

— Wybierzmy Piasta, przystaję na to — rzekł podniósłszy się z krzesła — niechaj jednakże sami wystąpią ci, co sądzą, że sami zdatni, by rządzić państwem.

I nikt nie wystąpił: każdy czuł, że być kró-

lem, to trudne zadanie, że lepiej nie nosić korony, niż spełniać źle tak ważne obowiązki.

Gdy wieczór zapadł, wówczas panowie opuścili pole elekcyi i podążyli — jedni na Pragę, drudzy do Warszawy, gdzie mieli wynajęte gospody, lub stałe mieszkania. Odjeżdżając zaprosili do siebie na wieczerzę tego i owego ze szlachty; i pusto się na polu zrobiło... Za to gwarno w mieszkaniach senatorów... Przy stołach, suto zastawionych, mówiono o kandydatach do korony; rozbierano ich przymioty, wady, a szlachta słuchała uważnie i nabierała serca do jednego lub drugiego. Nazajutrz znowu zebrali się wszyscy na polu elekcyi, prócz posłów zagranicznych, którzy do Skierniewic się oddalili i tam czekać mieli końca elekcyi — a to dla tego, aby nie przekupili szlachty. Senatorowie osobno radzili, szlachta — osobno. Niby w ulu olbrzymim, tak rojno było i gwarno. Głosy pojedyńcze, zmieszane razem, tworzyły jeden szmer podobny do brzęczenia pszczół. Chwilami wybiegały donośniejsze głosy...

— Precz z Angrestem! — krzyczał jakiś szlachcic, który nazwisko syna cesarskiego przekręcił.

— Precz z Walijczykiem! — wołał drugi, któremu również nazwisko obce, Valois, nie mogło utkwić w pamięci.

— Piasta obierzmy! — wyrwało się kilka głosów.

— Lecz kogóż? — rzucił ktoś pytanie.

— Bandurę — odpowiedziało kilku pytającemu.

Wojciech Słupski Bandura byłto sobie poczciwy szlachcic, ale wcale na króla nie zdatny, bo ani rozumu, ani energii, ani majątku, ani znaczenia nie miał. Ktoś na żart rzucił jego imię, zapewne jaki stronnik Henryka, lub Ernesta, by ośmieszyć wybór Piasta. Bandura jednak uwierzył w możność wyboru i nadąwszy się pysznie, głowę hardo podniósł. Już mu się zdawało, że korona spływa na jego skronie, gdy wtem... ogólny, serdeczny śmiech zbudził go z marzeń. Korona się rozprysła; zrozumiał, iż był celem żartów i zawstydzony wcisnął się w tłum.

Dzień cały zeszedł na takich naradach, swarami lub żartami przerywanych; nietylko dzień jeden, lecz tydzień jeden, drugi, a wreszcie i trzeci. Co wieczór dążyli panowie do miasta, szlachtę ciągnęli za sobą, zapraszali do siebie, poili, karmili, rozprawiali z nią, poczem rankiem zbierali się na polu elekcyi.

Niwy otaczające błonie zazieleniły się, drzewa i krzewy w liście się postroiły — a oni jeszcze nie wybrali pana. Zielone Świątki się zbliżały; tydzień tylko dzielił obradujących od tej uroczystości. Tydzień ten postanowili poświęcić na zbieranie głosów.

Byłto trzeci Maj. Śpiących mieszkańców Pragi i Warszawy oraz posłów, którzy tu gościną stali, zbudził huk dział i głosy bębnów; zerwali się co rychlej i przywdziawszy z pośpiechem suknie, wybiegli na ulice, by się dowiedzieć, co ten hałas znaczy. Ulicą szedł woźny, przed nim pachołkowie z bębnami. Co kilka kroków woźny się zatrzymywał: pachołkowie przestawali bić w bębny, a on głosem donośnym oznajmiał, iż w pierwszym dniu następnego tygodnia rozpocznie się głosowanie.

Radość powszechna była stąd wielka, gdyż niejeden tęsknił już za domem; niejeden czuł, że powinien wracać, bo praca zalega. Radzi byli, że sejm zbliża się do końca.

W poniedziałek, od świtu samego, gwarno już było i ludno na polu elekcyjnem, a dla bezpieczeństwa, by swary w bójkę nie przeszły, senatorowie sprowadzili rycerstwo i działa: pole jak obóz zbrojny wyglądało.

Na wałach stały działa, między namiotami snuli się zbrojni ludzie... Tu i ówdzie szlachta podzielona na gromadki, rozprawiała głośno, chwaląc tego lub owego kandydata, wykrzykując głośno imię księcia, któremu pragnęła oddać koronę. O ile z tych wykrzykników wnosić można było, Henryk Valois miał najwięcej za sobą stronników.

Nareszcie zjechali senatorowie, przystąpiono do głosowania. Wojewodowie zasiadłszy w namio-

tach zwoływali szlachtę, pytając każdego z kolei za kim głosuje, i nazwisko wybranego zapisywali. Praca ta nie w jednym dniu się skończyła, lecz kilka zajęła. Dopiero w piątek, po ukończeniu głosowania, senatorowie zebrali się znowu w swym namiocie; wojewodowie przedstawili im spisane nazwiska kandydatów tronu; senatorowie obliczyli je — i pokazało się, iż w istocie Henryk Walezyusz najwięcej głosów miał za sobą.

Gdy nazajutrz rozeszła się o tem wieść po polu, stronnicy Ernesta, którzy także dosyć byli liczni, poczęli się burzyć i odgrażać, że Francuza nigdy królem nie uznają — poczęli się zbroić i do boju szykować. Stronnicy Henryka tosamo uczynili, a inni, to tych, to tamtych stronę popierać mieli zamiar. Rycerstwo czekało rozkazu prymasa, groziła wojna domowa...

Wtem — poważny wiekiem i stanowiskiem marszałek Firlej, posłyszawszy na co się zanosi, pośpieszył do zwaśnionych, i stanąwszy w pośrodku, głosem wzruszonym przemówił:

„Widzę to na oko, miłościwi panowie a bracia, że ten pan, który nam przez Boskie sprawy jest przeznaczony i dany, nie przywiedzie sobą pożytku. Alić, kiedy wielu ludziom tak się podobało, to niema co mówić: lepiej pozwolić, niżeli krwi rozlewem braciom i ojczyźnie szkodzić. Pokaże się, iż swym uporem wiele nabroicie. Jam już stary, długie nie pożyję lata, ale wy, młodzi,

doczekacie, i nieraz moje słowa wspomnicie: „Zgubicie swarami waszemi siebie i ojczyznę waszą, kłótniami domowemi oddacie w pohańbienie swoim i obcym siebie i ziemię swoją.“

To powiedziawszy, zalał się łzami.

Przemowa ta uczyniła wrażenie: ustąpili wszyscy większości głosów. Kiedy tego samego dnia prymas, wsiadłszy do swej kolasy, kazał woźnicy zwolna objeżdżać wokół pole elekcyjne i zatrzymując się przed namiotami szlachty, pytał każdego, czy zgadza się na wybór Henryka, nie było już przeciwnych głosów. Zwoławszy przeto wszystkich razem, prymas polecił jednemu z panów ogłosić imię wybranego króla. Radosne: „Niech żyje Henryk!“ uczciło nowoobranego pana i długo, długo brzmiało w powietrzu i daleko, daleko leciało przez błonia i pola po wsiach okolicznych.

Nazajutrz rano odprawiono w katedrze warszawskiej uroczyste nabożeństwo i odśpiewano „Te Deum“, a gdy powrócono na zamek, prymas wezwał posła francuskiego i oznajmił mu, że Henryk Valois obrany został królem, oraz wręczył mu tak zwane „pacta conventa“ – prawa dla królów, na które nowoobrany musiał przysięgać podczas koronacyi. Poczem posłowie zagraniczni podążyli każdy do siebie, a z Montlukiem kilku panów polskich.

Dnia 18 Sierpnia r. 1573, poselstwo polskie stanęło w Paryżu. Lud francuski wyległ tłumnie na ulice, by obcym przybyszom się przypatrzeć. Piękne konie, przystrojone świecącemi od złota i drogich kamieni czaprakami, dorodni panowie polscy, przybrani w jedwabne kontusze, w pasy złotolite, czapki, kitami brylantowemi ozdobione, zachwycili tłumy, które witały przybyszów okrzykami radości.

Na dworze paryskim także zrobili wrażenie. Wykwintne ułożenie panów polskich i wykształcenie, z którem w rozmowie się zdradzili, łatwość wyrażania się obcą mową, zadziwiły króla Francyi i dwór cały. Wspaniale przyjmował Karol IX posłów polskich. Cała rodzina królewska zebrała się w wielkiej sali parlamentu na ich powitanie. Pod bogatym baldachimem zasiadł Karol IX, matka jego, żona i Henryk, a wokół nich dwór cały się skupił. Gdy poselstwo polskie ukazało się w progu sali, mistrz dworu pośpieszył naprzeciw niego, i powitawszy pierwszy wchodzących, poprowadził ich do tronu. Przodem poselstwa dwóch panów niosło skrzynkę srebrną a w niej akt elekcyi. Zbliżywszy się do tronu postawili skrzynkę, poczem jeden z piękną przemową wystąpił, prosząc Henryka, by koronę polską przyjąć raczył. Henryk równie piękną mową odpowiedział, że, wdzięczny wielce Polakom za okazane mu zaufanie, będzie się starał dowieść, iż wart

jest korony... Gdy skończył mówić, ozwała się ukryta w drugim pokoju muzyka i uroczyste „Te Deum“ zabrzmiało, a gdy to ucichło, najpierw król Francyi, potem wszyscy z kolei składali powinszowania Henrykowi.

Nazajutrz nowoobrany król w towarzystwie posłów polskich i panów francuskich podążył do Krakowa. Uroczysty był jego wjazd do starej stolicy... Mimo nocy jasno w niej było, jak w dzień, we wszystkich oknach gorzały światła; wszystkie kamienice postrojone były w wieńce z kwiatów, a taki tłum wyległ na ulicę, iż król musiał się co chwila zatrzymywać; lud krzyczał: „Niech żyje Henryk!“ tak głośno, że głuszył huk moździeży, co biły salwy na powitanie pana. Na bramie tryumfalnej, wzniesionej wpośród ulicy do zamku wiodącej, orzeł, sztucznie zrobiony, trzepotał skrzydłami na znak radości.

Sercem całem powitali polacy Henryka — lecz on im sercem nie odpłacił: nie pokochał ziemi, której przyrzekł być ojcem i panem. Nudził się w Polsce i tęsknił do Francyi, a gdy, w kilka miesięcy po jego koronacyi w Krakowie, przyszła wieść, że brat jego, Karol, król Francyi, umarł, lękając się, iż panowie nie pozwolą mu jechać do Paryża, tajemnie, nocą Kraków opuścił i więcej nie wrócił do Polski.

Długo czekali nań Polacy, łudząc się, że może przyjedzie. Lecz gdy z powodu bezkrólewia są-

siedzi zaczęli najeżdżać Rzeczpospolitą, gdy Tatarzy, wpadłszy na Ruś, spalili tam kilkanaście wsi i miast, setki ludzi do niewoli zabrali: wówczas znowu zwołali elekcyę i ogłosili na niej królową — Annę, siostrę Zygmunta Augusta, a na małżonka wybrali jej Stefana Batorego, księcia Siedmiogrodzkiego.

Streszczenie części piątej.

Wiek XVI.

Na niebie świeciły miliony gwiazd. Wieczór był pogodny, ciepły... Siedzieliśmy wszyscy razem na ganku; w pośrodku ciotka Ludmiła, my ciasnem kółkiem otaczaliśmy ją, zamyśleni i zapatrzeni we wspaniały krajobraz, który naprzeciw nas się roztaczał. Wyniosłe Alpy szczytami sięgały obłoków, a przy świetle księżyca przybrały one takie dziwaczne kształty, iż Bóg wie co roiło się po mej głowie. Zdawało mi się, że to nie góry, ale olbrzymy stoją naprzeciw, że trzymają się za ręce i patrzą ciekawie na nas — pigmejów... Tu i ówdzie błyszczały na górach ogniska pasterzy, niby oczy wielkie, iskrzące; jakiś szum, jakiś gwar, dochodził od tych gór, a mnie się zdawało, że to olbrzymy z nas się śmieją.

— Powiedz mi, cioteczko, czy Karpaty są równie piękne jak Alpy, na które patrzymy w tej chwili? — rzuciła naraz pytanie Terenia.

Ciocia zbudziła się z zadumy, popatrzała chwilę przed siebie, a potem rzekła:

— Wszystko, co swoje, piękniejszem się nam wydaje, bo co swoje, to kochamy goręcej, serdeczniej... Trzynastoletnią byłam dziewczynką, kiedy ojciec powiózł mnie w Karpaty. Widok ich uczynił tak silne na mnie wrażenie, jak nigdy nic potem. Zdawało mi się, że nic już piękniejszego zobaczyć nie można; jednak sprawiedliwość powiedzieć mi każe, że Alpy są wynioślejsze od Karpat, a tem samem wspanialsze widoki przedstawiają, o wiele hojniej obdarzyła je natura. Lecz i nasze Karpaty są piękne, bardzo piękne... Jestto jeden z najdłuższych łańcuchów gór Europy; ma on około 150 mil długości. A jakie rozmaite kształty przybrały góry go składające! Jedne przypominają piramidy egipskie, inne — postacie ludzkie zdają się chcieć naśladować. Jedne sterczą nagie, posępne ku niebu, niby mury olbrzymie, na których gdzieniegdzie zieleni się mech: to wapienne skały. Na innych szumią jodłowe lasy lub śmieją się łąki. Tu i owdzie wypływa z szumem bystry potok, toczy się wartko po spadzistych ścianach skał, huczy, pieni się, pryska przezroczystemi kroplami, dobiega do stóp gór i niby wstęga srebrna wije się dalej między łąkami, rozściełającemi się

u podnóża łańcucha. Najwyższe części Karpat zowią się *Tatrami*. Te prawdziwie wspaniałe przedstawiają obrazy; okolone dolinami, tworzą jak gdyby olbrzymi szaniec koło nich, na ośm mil długi, a do półczwartej mili szeroki. U stóp oweowego szańca, na dolinach, znajdują się mieszkania i osady ludzkie; na nim, a raczej na stokach gór rosną olbrzymie szpilkowe lasy. Wyżej nad lasami znajdują się pastwiska, zwane „halami“, wyżej jeszcze sterczą nagie granitowe szczyty skał. Hale i szczyty owe przez większą część roku biały śnieg pokrywa, który z końcem maja na halach topnieje. Wówczas pojawiają się na nich pasterze, zwani juhasami, rozbijają szałasy, i milczące góry naraz się ożywiają; rozlegają się na nich wesołe śpiewy juhasów, smętne fujarki, wrzaskliwe kobzy. Skały chwytają te głosy, powtarzają je tysiącznem echem, a wówczas Tatry jeszcze piękniejsze być się zdają.

— A czy te góry są bardzo wysokie? — zapytał Marcyś. — Mówiłaś nam tylko, ciociu, jak są długie.

— Łomnica, najwyższa z gór karpackich, ma 8300 stóp wysokości, a Krywań 7500 — odparła ciotka Ludmiła. — Szczyty Tatr wieczny śnieg pokrywa, zimą spadają z nich lawiny i wyrządzają wielkie szkody; najwięcej owe lawiny dokuczają mieszkańcom doliny, zwanej Kościeliską. Piękna to dolina, zamknięta dokoła ogromnemi

górami, ale jeszcze piękniejszą jest dolina „pięciu stawów“, tak zwana stąd, iż pięć jezior znajduje się w bliskości siebie. A gdy się na nie patrzy z wierzchołka skały, trudno sobie wyobrazić jak wspaniały razem tworzą obraz: każde z nich zdaje się być umieszczone na osobnem piętrze: jedno wyżej, drugie niżej, a w około nich leżą milczące, olbrzymie głazy, które świadczą, że tam kiedyś wydarzyła się jakaś straszna katastrofa, że te olbrzymie kamienie położyła jakaś siła nieludzka... Największe z tych jezior zowie się „wielkim stawem“; z niego wypływa bystry potok, który z szumem i hukiem, pietrząc się, pryskając, przepływa dolinę pięciu stawów, a potem spada z jednej ze skał w głęboką przepaść.

A jakie piękne jest owo wielkie jezioro, znajdujące się wśród Tatr, zwane „Morskie Oko!“ Olbrzymie, strome, posępne skały objęły je wokoło ścianą tak wysoką, tak prawie pod obłoki sięgającą, iż wszystko w porównaniu do niej maleńkiem, mikroskopijnem się nam wydaje: ludzie — niby robaczki, łódki płynące po jeziorze — niby zabawki dziecinne. Piękna jest nasza ziemia, pięknym jest świat cały, pięknemi są dzieła Stwórcy. Nie dziw, iż patrząc na nie Jan Kochanowski, jeden z naszych najsławniejszych poetów, taką prześliczną modlitwę wyśpiewał na cześć tego dobrego, wielkiego Boga, co nas tylu łaskami obsypał:

„Czego chcesz od nas, Panie, za Twe hojne dary?
Czego za dobrodziejstwa, którym niemasz miary?
Kościół Cię nie ogarnie, wszędzie pełno Ciebie
I w otchłaniach, i w morzu, na ziemi, na niebie!
Złota też, wiem, nie pragniesz, bo to wszystko [Twoje,
Cokolwiek na tym świecie człowiek mieni swoje.
Wdzięcznem Cię tedy sercem, Panie, wyznawamy,
Bo nad Cię przystojniejszej ofiary nie mamy.
Tyś Pan wszystkiego świata, Tyś niebo zbudował
I złotemi haftami ślicznie-ś uhaftował,
Tyś fundament założył nie obeszłej ziemi,
I przykryłeś jej nagość zioły rozlicznemi.
Za Twojem rozkazaniem w brzegach morze stoi,
I zamierzonych granic przekroczyć się boi.
Rzeki wód nieprzebranych wielką hojność mają,
Biały dzień, a noc ciemna swoje czasy znają.
Tobie gwoli prześliczne kwiatki wiosna rodzi
Tobie gwoli w kłosianym wieńcu lato chodzi,
Wino — jesień i jabłka rozmaite dawa;
Potem do gotowego gnuśna zima wstawa.
Z Twej łaski nocna rosa na mdłe zioła padnie
A zagorzałe zborza deszcz ożywia snadnie.
Z Twoich rąk wszelkie zwierzę patrzy swej ży- [wności,
A Ty każdego żywisz z Twej szczodrobliwości.
Bądź na wieki pochwalon, nieśmiertelny Panie!
Twoja łaska, Twa dobroć, nigdy nie ustanie.

Chowaj nas, póki raczysz, na tej niskiej ziemi.
Jedno niech zawsze będziem pod skrzydłami Twe-
[mi".

Skupieni około ciotki Ludmiły powtarzaliśmy za nią półgłosem słowa modlitwy i czuliśmy się wszyscy wzruszeni. Gdy umilkła, zaległa cisza uroczysta. Patrzyliśmy w gwiaździste niebo i w duszy jeszcze powtarzaliśmy słowa tej pięknej modlitwy.

— Czy dawno temu żył Jan Kochanowski?— przerwała naraz tę uroczystą ciszę Mania pytaniem, zwróconem do cioci.

— Bardzo dawno — odparła ciotka. — Więcej niż trzysta lat temu... Jan Kochanowski żył w szesnastym wieku, w owej szczęśliwej epoce, „Złotym Wiekiem" zwanej, w tej epoce, w której panowali dwaj ostatni Jagiellonowie: Zygmunt Stary i Zygmunt August, oraz dzielny Batory. Kraj nasz był wówczas bogaty, silny i rozległy: przyłączenie Prus i Pomorza za Kazimierza Jagiellończyka, Mazowsza za Zygmunta Starego, Inflant za Zygmunta Augusta, rozszerzyło granice państwa od morza Baltyckiego do morza Czarnego. Dzielni rycerze, jak książę Ostrogski, Jan Tarnowski, Roman Sanguszko, Jan Zamojski, potrafili mężnie bronić granic tego państwa, a zwycięstwami swemi przysparzali mu sławy; z nimi razem wielcy uczeni i poeci tego czasu czynili głośnem imię Polski. Kopernik zadziwił Europę

nowem odkryciem astronomicznem, Jan Kochanowski, twórca owyj pięknej modlitwy, którą mówiliśmy razem przed chwilą, pisał tak piękne wiersze, że do dziś dnia z przyjemnością je czytamy... Jakże on ślicznie wypowiedział żal swój, kiedy umarła jego ukochana córka Urszula! Posłuchajcie tego wiersza:

„Wielkieś mi uczyniła pustki w domu moim,
Moja droga Urszulo, tem znikniniem swoim:
Pełno nas, a jakby nikogo nie było:
Jedną maluczką duszą tak wiele ubyło...
Tyś za wszystkich mówiła, za wszystkich śpiewała,
Wszystkieś w domu kąciki zawżdy przebiegała;
Nie dopuściłaś nigdy matce się frasować
Ani ojcu myśleniem zbytnie głowy psować.
To tego, to owego wdzięcznie uściskając
I onym swym uciesznym śmiechem zabawiając.
Teraz wszystko umilkło: szczere pustki w domu:
Niemasz zabawki, niemasz rozśmiać się nikomu.
Z każdego kąta żałość człowieka ujmuje
A serce swej pociechy darmo upatruje...“

Możni panowie, jak biskup Lubrański, Jan Zamojski, oraz inni, własnym kosztem zakładają w tej epoce nowe szkoły i drukarnie. Oświata się szerzy: panowie, szlachta, mieszczanie, a nawet kmiecie, o ile im dozwalano, starają się usilnie o naukę dla synów; każdy czuję jej potrzebę.

Nie tylko nauki, nie tylko poezya, kwitną u nas; przemysł rozwija się także. Powstaje w tych czasach wiele rzemiosł nieznanych dotąd w kraju, osiedlają się w naszych miastach, cukiernicy, aptekarze, piekarze, perukarze i t. p. Handel się ożywia. Kupcy cudzoziemcy wywożą od nas woły, konie, zboże, broń, sukno, len, sól, srebrem i złotem płacąc za te przedmioty, więc kraj się wzbogaca, a przez to samo silniejszym się staje... Wznoszone są nowe miasta, wspaniałe kościoły, klasztory, zamki obronne, które obmurowane, ze zwodzonemi mostami, z wieżami do obrony, służyły w razie niebezpieczeństwa za schronienie dla całej okolicy. Gdy nieprzyjaciel wdarł się w granice kraju, wówczas panowie otwierali bramy zamków dla okolicznej ludności: chronili się do nich słabi, niedołężni starcy, kobiety i dzieci, czując się bezpiecznymi w potężnych ich murach.

Zamki takich możnych panów wewnątrz wspaniale bywały urządzone: miękie kobierce zaścielały ściany i podłogę, zapełniały je sprzęty wygodne; zwierciadła szklane, sprowadzane aż z Wenecyi, kwiaty, ozdoby złote, opony jedwabne, stroiły komnaty pańskie. Panowie przybierali się strojno nietylko wtedy, gdy publicznie występowali, lecz i w domu. Cienkie sukna, jedwabie, sobole i gronostaje zastąpiły dawne kożuchy i proste skromne suknie, a gdy pan gości przyjmował, to nakrywano stoły białemi obrusami, mającemi

kosztowne listwy, zastawiano je srebrem i szkłem malowanem. W jadle i piciu nawet nastąpiły zmiany, poczęto bowiem sprowadzać różne zagraniczne przysmaki: wina tokajskie, muszkatele i t. p.; a tak lubowano się w przepychu, że nawet potrawy strojono. Więc na jednym półmisku widać było srebrem ustrojonego barana, na innym— złotego koguta, i tak dalej.

Dworzanie, pachołcy, hajducy, strojni w jedwabie i atłasy, napełniali komnaty pańskie; zamki panów królewskie przypominały. Cieniste ogrody włoskie łączyły się zwykle z temi zamkami, a w nich szemrały fontanny, stały piękne posągi... Przepych otaczał panów polskich w XVI wieku, świadcząc o zamożności kraju. Obok zamków wielkich panów wznosiły się zamożne dwory szlachty, które również wewnątrz wygodnie były urządzone, również świadczyły, że kraj jest zamożnym. Nie rzadko zobaczyć było można w takich dworach ściany malowane, podłogę kobiercami zasłaną, w oknach szyby szklane, które dawne pęcherze zastąpiły. Na oknach stawiano doniczki z kwiatami; na ścianach wieszano dla ozdoby rzędy, zbroje, portrety przodków lub obrazy święte. Pod oknami, za domem, panienki zakładały wirydarze z kwiatami, dalej z jednej strony domu było podwórze, a z niem łączyły się zabudowania gospodarskie, z drugiej — sady z pasieką, któremi pracowite żony i córki szlachty się

zajmowały. Bo chociaż i one zrzuciły dawne skromne szaty i poczęły się strojniej przybierać, choć mniej samotne wiodły teraz życie i bawiły się nieraz wesoło, jednak w pracy się nie opuszczały: latem — pasieką i ogrodem się zajmowały, zimą, zebrawszy służbę niewieścią w izbie czeladnej, przędły z nią razem, szyły odzież domową, tkały grube płótno lub wełniaki, starając się tym sposobem mężom i ojcom oszczędzić wydatków, grosza przysporzyć. Przy robocie, to śpiewały pobożne pieśni, to rozmową starały się oświecać ciemne umysły czeladki, to czytały głośno żywoty świętych. Bo ówczesne niewiasty umiały czytać i pisać, a niejedna znała nawet historyę swego kraju, śpiewała umiejętnie, lub grała na jakim instrumencie... Oświata może nigdy nie była tak powszechną u nas, jak w tej epoce.

Więc, gdy ogół był zamożny i światły, kraj musiał czuć się zadowolonym ze swego położenia... Panowie, obdarzani przez królów przywilejami i majątkami, nabyli wielkiego znaczenia w kraju; bez ich woli król nie mógł nic postanowić na sejmie. Wysyłani w różnych poselstwach, zyskiwali sobie przyjaźń innych monarchów europejskich, którzy chętnie ugaszczali ich u siebie, ofiarowywali urzędy, godności, zaszczyty. Jan Tenczyński, wysłany przez Zygmunta Augusta w poselstwie do Sztokholmu, zaręczył się z Cecylią Renatą, córką króla szwedzkiego, Eryka.

Położenie szlachty było także bardzo pomyślne. Mogła zasiadać na sejmie i godzić się na to, co król z panami uradził, lub opór stawić; odznaczający się zdolnościami mogli sięgać po najwyższe urzędy. Zamożna, swobodna, wiodła życie wesołe, na dowód czego opowiem wam o pewnym obywatelu z owych czasów. Zwał się on Pszonka Stanisław; posiadał w ziemi lubelskiej piękną wioskę i znany był z nauki i dowcipu. Otóż ten Pszonka, zmówiwszy się z sąsiadami, zawiązał towarzystwo, w którem były różne urzędy, lecz nadawano je odwrotnie do przymiotów i wad, jakie posiadał ten, co miał urząd pełnić. Tak więc, *koniuszym* — mianowano takiego, co konia się lękał, aby go zmusić do jazdy konnej; *pisarzem* — takiego, co pisać nie umiał, chcąc go skłonić, żeby się pisać nauczył; *piwniczym* — tego, który nadto lubił wino; *kanclerzem* — takiego, co dużo mówił i nie umiał tajemnicy dochować. Towarzystwo to nazwanem zostało: „Rzecząpospolitą Babińską“, gdyż w Babinie rozdawane były urzędy i tam sejmy się zbierały. Król Zygmunt August, dowiedziawszy się o istnieniu Rzeczypospolitej Babińskiej, zapytał Pszonkę, czy między innymi urzędnikami mają i króla w Babinie, i kto nim jest.

— Uchowaj Boże, najjaśniejszy panie, abyśmy za życia twego innego obierali króla — odparł kłaniając się pokornie Pszonka. — Panuj, miłościwy panie, i w Babinie!

Mieszczanie nie tak hojnie byli obdarzani od królów przywilejami. Nie stali oni na równi ze szlachtą — i to zganić należy: boć przecie byli dziećmi tej samej ziemi, a zatem braćmi szlachty, i choć nie bronili kraju orężem, nie uprawiali jego niw, lecz zajmując się handlem i przemysłem, przyczyniali się do wzbogacenia Rzeczypospolitej. A jednak nie wolno im było kupować majątków ziemskich; choć posłów wysyłali na sejmy, nie wolno było tym posłom głosu zabierać podczas obrad; lecz czynni, pracowici, często dochodzili do majątków, przez co mieli znaczenie w kraju i mogli synów kształcić. Niejeden syn mieszczański zasłynął też w tej epoce z nauki.

Marcin Kromer, znany jako historyk XVI wieku, Jan Dantyszek, zdolny poeta z tej samej epoki, byli pochodzenia mieszczańskiego. Mieszczanom powierzano najczęściej obronę bram miejskich, w razie grożącego niebezpieczeństwa, więc w różny sposób służyli oni ojczyźnie i zasługiwali, by równe prawa ze szlachtą mieli.

Lepszą wszakże o wiele była dola mieszczan od doli kmiotków. Tych los w tej epoce był smutny: panowie ich nie gnębili wprawdzie, lecz odebrali im swobodę; a cóż milszego człowiekowi nad swobodę? Kmiotek w tych czasach jest *poddanym* pana: musi kilka dni w tygodniu pracować na jego roli i nie wolno mu zmieniać miejsca wedle upodobania; może tylko jednego syna do szkoły

posyłać. Jednak kmiecie dawali dowody, iż zasługiwali, aby mieli też same prawa, co inni, bo szczerze kochali swą ziemię, i w razie potrzeby potrafili się poświęcać. Garnęli się też chętnie do nauki i dopuszczeni do niej, nieraz przyczyniali się do powiększenia sławy swej ziemi. Niejaki Klemens Janicki, syn ubogiego chłopa wielkopolskiego, oddany do szkół, zasłynął jako poeta, a wysłany do Włoch przez możnego pana, Piotra Kmitę, został tam uwieńczony. Była to najzaszczytniejsza nagroda, jaką w owych czasach otrzymywali ci, co odznaczyli się talentem. Pięknie ten Janicki opisał wierszem chwilę, kiedy do szkoły poznańskiej, w której się uczył, przyjechał nauczyciel jej, Lubrański, a on powitał go wierszem:

„O pomnę, pomnę, z jakim mozołem
I dni i noce dałem na prace!
Za nic mi praca! cóż ona znaczy
Przed młodocianym moim zapałem?
Pomnę, gdy pierwszy trud mój czytałem
W sali popisów, w gronie słuchaczy,
W cześć Lubrańskiego złożyłem pieśnię;
Lud mię z oklaskiem przyjął nad miarę,
Dobrze o dziecku wróżąc zawcześnie.
Odtąd przodkując nad uczniów trzodką
Skarbiłem serce mistrza nieznacznie
I rosłem w chlubę. O jak to słodko
Kiedy, bywało, chwalić kto zacznie!

Lubiłem sławę, pragnąłem sławy,
Badałem drogi, co do niej wiodą...
Przebóg! ubóstwo, los niełaskawy
Ciężką mym chęciom bywał przeszkodą..."
. . . . . .
. . . . . .

— Zobaczysz, ciotuniu, że jeżeli ja z czasem w Górcach zamieszkam, to będę bardzo dobry dla kmiotków i będę ich do szkół posyłać, a może znowu zasłynie jaki Janicki—odezwał się Marcyś.

Ciocia pogłaskała jego jasną główkę.

— Chciałabym doczekać tej chwili—rzekła—lecz wątpię, czy Bóg dozwoli.

Tu ciche westchnienie wyrwało się z jej piersi. Umilkła i zamyśliła się, a mnie nieokreślony smutek ogarnął... Cisza zapanowała w malutkiem naszem kółku.

— Dużo opowiedziałam wam dzisiaj szczegółów, odnoszących się do XVI wieku. Teraz przekonam się, czy pamiętacie wypadki, zdarzone w tej epoce, którą wam w obrazkach skreśliłam.

Temi słowy przerwała ową przykrą ciszę ciotka Ludmiła.

— Które z was powie mi, jacy królowie panowali u nas w tej epoce — dodała następnie.

Nie wiem, skąd mi się na odwagę tego dnia zebrało, gdyż nie dając się innym wyprzedzić, rzekłam:

— Ja odpowiem, cioteczko. Po Olbrachcie objął koronę brat jego młodszy, Aleksander, po

nim Zygmunt I-szy, który oddał koronę synowi swemu, Zugmuntowi Augustowi, na którym wygasł ród Jagiellonów. Po śmierci Zygmunta Augusta panowie, zebrawszy się na sejm elekcyjny, okrzyknęli królem Henryka Walezyusza, brata króla francuskiego. Lecz ten krótko panował, gdyż dowiedziawszy się o śmierci brata swego, uszedł tajemnie do Francyi. Po Henryku panował Batory, książę Siedmiogrodzki.

— Nie zawiodła cię pamięć — rzekła ciotka i spojrzawszy na mnie uśmiechnęła się, pewno z moich kolorów, bo czułam, że mi twarz płonie.

— A czy wiesz, czem jest pamiętny rok 1506— dodała.

— Roku 1506 wpadli w granice Litwy Tatarzy; było to za panowania Aleksandra — odparłam spokojnie.

— Niechaj Terenia mi powie, jakie pamięta ważniejsze wypadki z dziejów króla Zygmunta Starego? — uczyniła nowe pytanie ciotka.

— Wojnę z mistrzem Krzyżaków, Albertem — rzekła spokojnie Terenia. — Albert nie chciał złożyć hołdu Zygmuntowi, zmienił wiarę, zamknął zakon, i zrzuciwszy płaszcz krzyżacki, przyjął tytuł księcia, lecz pokonany przez Zygmunta, przyjechał roku 1524 do Krakowa, i złożył mu hołd, a Zygmunt uznał go za to księciem pruskim... Pamiętam i to jeszcze, że roku 1530 wpadli w granice naszego kraju Wołosi, i że Jan Tarnowski pokonał ich pod Obertynem.

— Za tego króla złączyło się z koroną Mazowsze — dopełniła odpowiedź Tereni ciotka — które jeszcze Bolesław Krzywousty nadał synowi swemu, Bolesławowi Kędzierzawemu, a którego potomkowie wciąż udzielnie władali tą ziemią. Lecz gdy umarł ostatni z rodu Piastów, książę Janusz, Zygmunt Stary zajął Mazowsze i do Korony je wcielił, r. 1526. Zygmunt Stary, dobry, łagodny, a przytem rozumny, zjednał sobie miłość i szacunek całego narodu... Może ty powiesz mi teraz, jakie to nieporozumienia domowe zakłócały pierwsze lata panowania Zygmunta Augusta? — zwróciła się naraz do Mani z pytaniem ciotka Ludmiła. — Wiem, że o wojnach mówić nie lubisz, wybrałam więc inny przedmiot dla ciebie.

Mania spojrzała z wdzięcznością na ciotkę.

— Zygmunt August, nie pytając panów o pozwolenie, potajemnie się ożenił, jeszcze za życia ojca, z Barbarą Radziwiłłówną — rzekła. — Panowie chcieli, by zerwał to małżeństwo; Zygmunt odpowiedział, że tego nie uczyni. Stąd wynikły nieporozumienia między królem a narodem; wkońcu panowie ustąpili, i Barbara ukoronowaną została, roku 1550.

— Dobrześ odpowiedziała — rzekła ciotka Ludmiła. — A czy pamiętasz, na jakim-to sejmie panowie domagali się koniecznie zerwania tego małżeństwa i którzy najgłośniej się odzywali?

— Tego już nie pamiętam — z westchnieniem odparła Mania.

— W Piotrkowie r. 1549 — pośpieszyła wyręczyć ją Terenia. — Panowie: Kmita i Boratyński najuporczywiej przeciw Barbarze mówili.

Ciocia uśmiechnęła się, widząc jej gorliwość.

— Szczęśliwymi można nazwać czasy panowania Zygmunta Augusta — rzekła. — Krzątał się on gorliwie około dobra publicznego. Między innemi ulepszeniami zaprowadził i to, że odtąd miało być w Rzeczypospolitej wojsko stałe, gotowe zawsze do obrony kraju; na utrzymanie wojska tego przeznaczył czwartą część dochodów królewskich. Rozszerzył granice państwa przez przyłączenie Inflant. Inflanty leżały na północ Litwy; od zachodu sięgały brzegów morza Baltyckiego, od wschodu z Nowogrodem się łączyły. Niegdyś zamieszkiwał je lud, Kuronami zwany, pochodzenia mongolskiego. Tych Kuronów wyparli ze swych siedzib Łotysze, plemię litewskie, którzy naciskani przez Słowian tu przybyli. W roku 1202 osiedli w Inflantach zakonnicy-rycerze, noszący nazwę „Kawalerów mieczowych“. Wytępili oni pogaństwo, Łotyszów podbili i ogłosili się panami zdobytej ziemi; długi czas siedzieli spokojnie w zajętej ziemi, lecz potem poczęli napadać na nich sąsiedzi. Nie czując się na siłach opór im stawić, r. 1564 poddali się dobrowolnie Zygmuntowi Augustowi. Mistrz *kawalerów mieczowych* zostawił sobie tylko zachodnią część kraju, która otrzymała nazwę „Księstwa Kurlandzkiego“, zrzucił płaszcz zakonnika, przyjął tytuł księcia i uznał

się lennikiem Zygmunta Augusta. Zakon kawalerów mieczowych został zwiniętym.

— Lecz Magdzia nic jeszcze nie mówiła dzisiaj — zwróciła się naraz do Magdusi ciocia z pytaniem.

Magdzia była zdolną, ale przy nauce myślała często o czem innem, nie zawsze bywała przeto przygotowaną. I dziś widocznie nie była pewną siebie, gdyż schowała się za Manię; nie uratowało jej to wszakże od pytania.

— Gdzie odbywały się zwykle sejmy elekcyjne? — rzekła ciotka.

Magdusia wysunęła się zza pleców Mani.

— We wsi Kamień, niedaleko Pragi lub pod Wolą przy Warszawie — odparła śmiało.

— Bardzo dobrze — rzekła ciocia.

— Taka duża i nie miałaby wiedzieć takiej łatwej rzeczy — odezwał się Marcyś, minę pogardliwą zrobiwszy.

Magdzia pokiwała główką.

— Takiej łatwej rzeczy... No, proszę, kiedy to pytanie dla ciebie za łatwe, to powiedz mi: kiedy odbył się pierwszy sejm elekcyjny we wsi Kamień?

— Roku 1573 — odparł Marcyś. — Obrano na nim królem Henryka Walezyusza, który kilka miesięcy panował, a po nim wstąpił na tron Stefan Batory, książę Siedmiogrodzki.

Terenia, która tuż obok Marcysia siedziała,

tak się ucieszyła tą jego odpowiedzią, że pochyliwszy się do niego, ucałowała go.

— A może pamiętasz jeszcze, co dobrego zrobił dla kraju Batory? — zapytała.

— Urządził Kozaków i utworzył z nich dzielne wojsko.

— Więcej on jeszcze dokonał rozumnych rzeczy — odezwała się ciotka Ludmiła. — Założył w Wilnie akademię czyli wyższą szkołę, zaprowadził trybunały w kilku miastach, a w trybunałach tych sędziowie oskarżonych sądzili. Trybunał koronny sądził pół roku w Lublinie, pół roku w Piotrkowie; trybunał litewski w Wilnie i Nowogródku. Tak więc streściłam wam dzieje naszej przeszłości, do końca szesnastego wieku. Widzieliście, jakto powoli, stopniowo kraj się urządzał we wnątrz, rozszerzał swe granice, stawał się coraz silniejszy i bogatszy, jak ludzie nabywali powoli ogłady, nauki, jak z surowych, szorstkich, ciemnych, stali się dobrze wychowanymi i wykształconymi, jak nieznani prawie nikomu, zdobyli sobie wkońcu ogólny szacunek. Takto pracą wytrwałą pojedyńczy ludzie i narody całe z niskiego, niepozornego stanowiska wzbijają się do znaczenia i potęgi.

To powiedziawszy podniosła się; myśmy cisnęły się, by dobranoc powiedzieć, ona ucałowała każde z nas po kolei. Gdy Marcyś przystąpił do niej, rzekła:

— Jutro Niedziela; obmyślcie jaki spacer na poobiedzie. Wybór wycieczki wam zostawiam, zastosuję się do waszego życzenia.

— Idźmy do Schloss Tyrolu, tam tak pięknie.

— Podoba mi się twój projekt, jeśli go całe zgromadzenie poprze, tam pójdziemy — odparła ciocia.

— Do Schloss Tyrolu, do Schloss Tyrolu! — poczęliśmy wszyscy wołać.

Tak więc projekt Anielki nie upadł.

— Czuję się bardzo zmęczoną — rzekła ciotka — wy więc wszystko przygotujcie do spaceru i zaproście kogo chcecie, by wziął w nim udział. Tereni kasę i swobodę działania na cały dzisiejszy wieczór i jutrzejszy dzień oddaję.

To powiedziawszy oddaliła się do siebie, a my skupiliśmy się około Tereni i poczęliśmy radzić nad czekającą nas przyjemnością.

— Jutro w kościele poproszę panią L., by i ona z nami poszła — rzekła Terenia.

Przyklasnęliśmy temu projektowi.

— Lecz wybierzmy się na całe poobiedzie — radziła Magdzia. — Tam tak pięknie, nie znudzim się niezawodnie, razem będziemy się bawić wybornie.

— Trzeba będzie zabrać ze sobą podwieczorek — odezwała się Mania — owoców, ciast, kurcząt pieczonych. Oddała ci kasę ciocia, wstańmy jutro rano i wybierzmy się obie na miasto po przysmaki.

Terenia zgodziła się na ten projekt.

Nazajutrz, punkt o czwartej po obiedzie, wybraliśmy się na spacer. Pani L. chętnie w wycieczce udział wzięła, liczna więc nas gromadka przybyła do Schloss Tyrolu. Na górze, na której wznosiły się ruiny starego zamku możnej niegdyś rodziny hrabiów von Tirol, postanowiliśmy parę godzin spędzić. Przed zamkiem stały stoły, biało nakryte, otoczone krzesłami prostej roboty. Zajęliśmy je i rozłożyliśmy na stole nasze prowianty. Niebawem zjawiła się czysta niemeczka, pytając nas uprzejmie czego żądamy. Ciotka Ludmiła prosiła ją, by nam kazała przynieść mleka i bułek. Skłoniwszy uprzejmie głową i uśmiechnąwszy się mile, niemka oddaliła się. W kilka minut potem przyniosła żądane mleko i bułki, a wszystko to było czysto podane, iż przyjemnie było patrzeć. Gdy dziewczę się oddaliło ciotka Ludmiła zwróciła się do nas.

— Nie myślcie, że to służąca — rzekła. — To córka właściciela tej oberży. Frantz Görtz zamożnym jest człowiekiem, ale Niemcem, więc jest oszczędnym i pracowitym. U nas córka takiego pana Görtz siedziałaby w pokoju z książką w ręku lub elegancką robótką i z okien przypatrywałaby się gościom, zwiedzającym Schloss Tyrol, a papa za to jedną sługę więcej musiałby trzymać, płacić i żywić. Tutaj nikt za niewłaściwe nie uważa, że panna Görtz poda gościom mleko lub kawę. Dwie córki ma właściciel tej

oberży i one całe gospodarstwo same prowadzą: jedna gotuje, smaży, piecze; druga gościom usługuje, cięższą tylko robotę spełnia sługa... Marcyś wczoraj mnie pytał, dlaczego nasz kraj zubożał; otóż powiem wam, dlaczego. Dlatego, że nie umiemy tak pracować, jak inni pracują, i tak oszczędzać, jak inni oszczędzają; większość rodzin w naszym kraju wydaje nad możność.

Właśnie ciotka mówiła te słowa, gdy do Schloss Tyrolu przybyło nowe towarzystwo: poważna już wiekiem kobieta i dwie młode panienki, zapewne matka z córkami. Siadłszy przy jednym ze stołów, panie te dobyły z koszyczków pończochy i szybko drutami przebierać zaczęły, a pracując rozmawiały z ożywieniem. I do nich także zbliżyła się panna Görtz. One wydały jej jakieś polecenie, a w chwilę potem przyniesiono im trzy szklanki kawy, oraz trzy bułki.

— Te panie przyszły tutaj jakby po to, żeby potwierdzić moje słowa — odezwała się ciotka Ludmiła. — Macie żywy dowód, iż Niemcy czas i grosz potrafią oszczędzać.

— Prawda — powtórzyła pani L. — Ileż to myśmy wydały pieniędzy z powodu tej wycieczki. Owoce, ciastka, mleko, kurczęta, uczynią w rachubie codziennych naszych wydatków sporą sumę, one zaś zadowolniły się każda szklanka kawy; my wyszedłszy o czwartej z domu, nic nie robiłyśmy całe poobiedzie, one robią pończochy...

pewno w domu jest młodsze rodzeństwo. Użyją przyjemności, a rubryka codziennych wydatków nie powiększy się.

Terenia, słuchając pani L., zarumieniła się, a ja domyśliłam się dlaczego... Wszakże ciotka Ludmiła wczoraj dała jej zupełną swobodę działania, ona-to więc zbytkowny ten podwieczorek urządziła.

— Od dziś dnia będę starać się Niemców naśladować w ich pracowitości i oszczędności — rzekła. — Wstyd mi w tej chwili wydatków, jakie porobiłam tak bez zastanowienia.

— Naśladuj ich, w czem godni naśladowania — odparła ciocia. — Niech każdy stara się zdobyć sobie przymioty, tak nam potrzebne.

Słońce powoli zaczęło zapadać; złote jego promienie oświeciły wznoszące się naprzeciw Küchelberg, Porphyrgebirge, oraz inne góry, więc podnieśliśmy się, by do domu podążyć. Wracaliśmy przez Dorf Tirol. Ulica wsi wysadzona była drzewami owocowemi; na jednych czerwieniły się wiśnie, na innych dojrzewały śliwki. Marcyś, który był wielkim smakoszem, przypatrywał się z zajęciem tym drzewom.

— Powiedz mi, ciotuniu, czy w Górcach także rosną na ulicy drzewa owocowe? — zapytał.

— Nie, mój chłopcze — odparła ciotka Ludmiła.

— A dlaczego?

— Bo takie drzewa nie utrzymałyby się u nas, gdyby strzeżone nie były. Jeszcze niedojrzały owoc łakoma dziatwa by oberwała, psotne chłopaki poodzierałyby drzewa z kory, połamałyby gałęzie na bicze, i pracę ludzką zmarnowanoby, grosz wyrzucono daremnie, — boć pojmujesz, że zasadzenie takiego drzewka kosztowało wiele pracy i pieniędzy tego, co to wykonał. U nas niema poszanowania cudzej własności: do ogrodu cudzego się wkraść, poobrywać owoce, kwiaty — to rzecz tak zwykła! Tu drzewa owocowe ocieniają drogi, najpiękniejsze kwiaty rosną bez ogrodzenia, a przecież nikt nie rwie tych owoców, nie łamie gałęzi, kory nie odziera — bo szanuje rzecz cudzą, bo myśli o tem: ile-to pracy kosztowało wyhodowanie drzewa lub kwiatu; jaka to przykrość, gdy praca nasza się zmarnuje.

— To my nietylko oszczędności i pracowitości od Niemców mamy się uczyć —rzekł Marcyś.

— Nietylko, mój chłopcze. Mają oni wiele przymiotów, których nam braknie, a choć przyjaciółmi naszymi nie są, powinniśmy je uznać. Nienawidząc ich i z nich szydząc, słabszymi ich nie uczynimy, ani siebie silniejszymi; podczas gdy przyswoiwszy sobie ich przymioty, możemy zyskać wiele. Dotychczas widzieliście z moich opowiadań, jak kraj nasz powoli się dźwigał, podnosił, stawał się coraz silniejszym; teraz zobaczycie, jak stopniowo, powoli chyli się do upadku; jak

coraz bardziej słabnie, biednieje; jak inne wyprzedzają go w nauce, w wynalazkach, w oświacie.

Mnie smutno się zrobiło na duszy, słuchając tych słów, i pomyślałam sobie: „Wolałabym nie słyszeć tych opowiadań".

I nie słyszałam ich w istocie... Niestety, ostatnia-to była nasza z ciocią wycieczka: opowiadania i spacery przerwały się nagle... Nazajutrz ciotka Ludmiła nie podniosła się z łóżka, dostała silnej gorączki, potem maligny i nie odzyskała przytomności, aż w ostatnim dniu życia, jakby po to, by nas pożegnać, pobłogosławić i powiedzieć nam: „Wrócicie teraz zapewne do wioski waszej rodzinnej: pracujcie w niej uczciwie i starajcie się być użyteczni społeczeństwu, śród którego żyć będziecie".

Przez kilka dni byłam jak nieprzytomna, i niewiele pamiętam, co się u nas działo. Rzecz naturalna, iż odbył się pogrzeb; że odprowadziliśmy naszą kochaną ciotkę Ludmiłę na cmentarz; że grabarze złożyli jej trumnę do grobu — usypali nad nią mogiłę — a my wieńcami ją ustroiliśmy. Lecz wszystkie te wypadki mglisto rysują się w mej pamięci. Za to, późniejszy dzień mego życia stoi mi wyraźnie przed oczyma... Było to popołudniu. Siedzieliśmy wszyscy na ganku, zajęci każde czem innem. Marcyś układał na stole łamigłówkę — ja czytałam cicho „Rozrywki Hofmanowej" — Mania coś szyła — Magdzia ryso-

wała jakiś wzorek — Anielcia suszone kwiaty układała do kajetu... Tylko Tereni nie było wpośród nas. Brzęk owadów, które unosiły się nad kwiatami, powietrze, pełne woni tych kwiatów, to wszystko mimowoli przypomniało mi ów wieczór, kiedy to ciotka Ludmiła obiecała nam opowiadać o tem: „co kiedyś było, i o tych, co kiedyś żyli“. Zamknęłam książkę i utonęłam we wspomnieniach... Wtem we drzwiach balkonu ukazała się Terenia. W ręku trzymała list. Była mocno wzruszoną.

— Stryj pisze — rzekła. — Wkrótce tu przyjedzie po nas. Wrócimy do domu.

Zerwaliśmy się wszyscy z krzeseł.

— Do domu! — wyrwało się nam wszystkim razem z ust, a w głosie naszym brzmiała radość.

Terenia zbliżyła się do nas i siadła między nami.

— Takie jest życzenie stryja — rzekła. — Pragnie, byśmy z nim razem w Górcach zamieszkali. Lecz ja mam nadzieję, że zgodzi się na moje projekty. Ostatnie życzenie, jakie ciotka objawiła, było, abyśmy pracowały uczciwie i starały się być użytecznemi. Chcąc je spełnić, trzeba się do pracy przygotować. Dość już też i smutku nad stratą naszej ukochanej. Teraz czynem powinniśmy okazać, jak drogiem jest nam jej wspomnienie: spełniając jej życzenia, stając się takiemi, jakiemi ona pragnęłaby nas widzieć, damy dowód,

że ją prawdziwie kochamy. Więc zamieszkamy na czas jakiś w Warszawie i uczyć się będziemy pilnie. Mania nie ma zdolności ani ochoty do nauki; więc, gdy skończy cztery klasy, umieszczę ją w jakiej szkole fachowej, gdzie wykształci się na zdolną i praktyczną gospodynię. Anielcia skończywszy pensyę, ogrodnictwu się poświęci. Magdzia jest bardzo zdolna: mogłaby marzyć o uniwersytecie, bo i zdrowiem dobrem się cieszy; lecz, niestety, brak jej zamiłowania do nauki. Myśląc o niej, powiedziałam sobie: „Gdyby chciała, mogłaby zostać doktorem, lecz niema co marzyć o tem".

Magdzia zerwała się z krzesła i oplotła ręce wkoło szyi Tereni.

— Będę doktorem, będę niezawodnie — rzekła. — Zobaczysz, siostrzyczko, jak ja się teraz zacznę uczyć.

Terenia pocałowała ją w czoło.

— Czas to pokaże — odparła. — Poczem zwróciła się do mnie.

— Co do ciebie — rzekła — chciałabym, żebyś skończyła wyższą szkołę pedagogiczną i nauczycielski zawód sobie obrała.

— O tem i ja marzę — odparłam. — Podobno dogodziłaś nam wszystkim. Byle tylko stryj oporu nie stawiał.

— A ja czem będę? — zapytał naraz Marcyś, z miną pieszczocha przysuwając się do Tereni.

— O tobie pomówię ze stryjem — odparła całując go; poczem, zwróciwszy się do mnie, ciągnęła dalej.

— Gdyby moje projekty się urzeczywistniły, dogodziłabym i sobie, bo gdybyście poszli tą drogą, którą dla was wybrałam, moglibyśmy z czasem zebrać się wszyscy w Górcach, żyć razem i wspólnie pracować dla dobra wioski naszej. Górce — to wieś obszerna... Mania mogłaby gospodarstwo kobiece na szeroką skalę w nich prowadzić; Anielcia dostarczałaby miastu pięknych owoców, Magdzia leczyłaby chorych we wsi, Jadwinia założyłaby szkołę, a Marcyś ze stryjem dział gospodarstwa męskiego-by objęli. Ja zaś czuwałabym nad wami wszystkimi, aby wróciwszy po pracy do domu, było w nim każdemu z was dobrze, ciepło, spokojnie i miło.

Marzenia przyszłości złagodziły smutek, w jaki śmierć ciotki nas pogrążyła. Odtąd najczęściej o powrocie do domu rozmawialiśmy. I nadszedł wreszcie ten dzień: stryj przyjechał po nas. Projekty Tereni podobały mu się — pojechaliśmy do Warszawy, aby je urzeczywistnić.

KONIEC.

SPIS RZECZY.

Rozdz.		*Str.*
	Wstęp	1
	CZĘŚĆ PIERWSZA.	
I	Słowianie	10
II.	Uroczystości i obrzędy	22
III	Podania historyczne	37
	Streszczenie części pierwszej	53
	CZĘŚĆ DRUGA.	
I.	Chrzest Polan	65
II.	Państwo Mieszka	72
III	Bolesław Chrobry	79
IV.	Bolesław sędzią	87
V.	Ziemie przez Chrobrego zdobyte	93
VI.	Włodzimierz Wielki	99
VII.	Bolesław pod Kijowem	108
VIII.	Powrót Królewicza	111
IX.	Król rycerz i pokutnik	118
X.	Pasowanie na rycerza	124
XI.	Chrzest Pomorza	137
XII.	Pod Głogowem	145
	Streszczenie części drugiej	154

CZĘŚĆ TRZECIA.

Rozdz.		*Str.*
I.	Leszek Biały	166
II.	Z historyi Halicza	173
III.	Tatarzy	179
IV.	Koronacya króla Łokietka	188
V.	Krzyżacy i Łokietek	196
	Streszczenie części trzeciej	205

CZĘŚĆ CZWARTA.

I.	Król Kmiecy	216
II.	Dymitr Doński	225
III.	Królowa Jadwiga	236
IV.	Litwa	244
V.	Pod Grunwaldem	254
VI.	Pod Warną	264
VII.	Po wielu latach	274
VIII.	Królewicze	281
IX.	W szkole i akademii	289
	Streszczenie części czwartej	301

CZĘŚĆ PIĄTA.

I.	Hołd Pruski	317
II.	Jan z Tarnowa	324
III.	Barbara Radziwiłłówna	332
IV.	Pogrzeb ostatniego Jagiellona	342
V.	Wolna elekcya	347
	Streszczenie części piątej	359

WARSZAWA